

Prof. Tadeusz Klementewicz
O podatkach z każdej strony

Marian Falski
PPS-owiec, mason, autor elementarza

MSZ – dyplomacja w rozsypce

Dotacje unijne w oparach absurdu

30 LAT RELIGII W SZKOLE



NAUKA RELIGII A ŻYCIE

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



8. EDYCJA



NARODOWY DZIEŃ SPORTU

19 września 2020

SETKI TRENINGÓW W CAŁYM KRAJU

Więcej informacji na
www.narodowydziensportu.pl
www.facebook.com/NarodowyDzienSportu



Narodowy Dzień Sportu



@narodowydziensportu



Ministerstwo
Sportu

patron medialny



CYTATY

PROF. MARCIN KRÓL,
filozof, historyk idei
*Z jakichś powodów
do polityki idą trzecio-
albo czwartorzędni
ludzie. W Polsce
mamy nawet osoby
pięciorzędne.*
„Polska The Times”

MAREK NIEDŹWIECKI,
dziennikarz muzyczny
*Trójki już nie ma.
20 sierpnia, w wieku
58 lat, po długiej
i ciężkiej chorobie
zmarł Program Trzeci
Polskiego Radia.*
„Duży Format”

MICHELLE OBAMA
na konwencji Partii
Demokratycznej
*Jeśli myślicie, że
nie może być gorzej,
uwierzcie mi, że może.
I będzie gorzej, jeśli
teraz nie wybierzemy
zmiany.*
„Forum”

DOROTA MASŁOWSKA,
pisarka
*Nowoczesne
technologie
umożliwiają tworzenie
fikcji prawdziwszych
niż prawda i wszyscy
przestajemy je
odróżniać.*
„Polityka”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Opozycja, idź do ludzi

Jesień na wsi zapowiada początek tradycyjnych wykopków ziemniaków. I pospolite ruszenie rodzin z pomocą tym, którzy je posadzili. Bardzo ciężka praca. To było jednak dawno. Teraz wykopki bardziej się kojarzą ze zmianami kadrowymi w szeregach władzy.

Powinny być. Ale obóz rządzący znalazł się w sytuacji, którą opisuje Sienkiewicz w „Potopie” – „złapał Kozak Tatarzyną, a Tatarzyn za łeb trzyma”. I co zrobić? Klincz i, jak to w zapasach, walka w parterze. Większego wpływu na jej przebieg nie mają nawet wyborcy prawicy, a tym bardziej opozycja. Mamy więc sytuację, w której rządzący będą się zajmowali sami sobą. A od czasu do czasu wrogami starymi i nowymi.

Najwyższa pora, by na serio zająć się opozycją. Jaka jest, każdy widzi. I niewielu jej zwolenników jeszcze ma nadzieję, że z tej maki i z tymi piekarnikami można upiec coś smacznego i atrakcyjnego. A chciałoby się. Bo hegemonia PiS staje w gardle większości Polaków. Dlaczego zatem ta większość przegrywa kolejne wybory? Pierwszy powód jest już bardzo dobrze znany. Jeśli chce się wygrywać wybory i rządzić, to trzeba chodzić po ziemi i wiedzieć, jak naprawdę się żyje milionom Polaków. A żyje im się tak, że 500+, 300 zł wyprawki szkolnej i dodatkową emeryturę traktują jako bardzo szczęśliwy dar losu. I tym, którzy te pieniądze im zapewнили, są w stanie wiele wybaczyć. O wiele, wiele więcej niż ich poprzednikom. I dopóki te programy będą przez prawicę realizowane, opozycja będzie miała duży problem z wiarygodnością wśród wyborców popierających władzę. A nawet jeśli ta koncepcja kiedyś się zawali, wśród jej beneficjentów będzie żył mit o Janosiku, który choć na chwilę im ulżył.

Partii Kaczyńskiego z jej przystawkami na pewno nie zastąpi opozycja w obecnym kształcie. Opozycję mamy jak z „Lokomotywy” Tuwima. Bo jeśli jej się przyjrzeć, to ledwie zipie, działa powoli – jak żółw – ociężałe. Mamy maszynę, która dostaje od podatników wiele milionów złotych. I co z tego?

Cackanie się z opozycją doprowadzi nas do katastrofy. Musi, bo do polityki w Polsce z roku na rok trafiają ludzie coraz gorzej przygotowani, z pozorami wykształcenia i często bez większego dorobku zawodowego. W większości tacy, którzy by zginęli na wolnym rynku. Idą do polityki, bo to jedyne miejsce, w którym można się nie znać na niczym, ale gwiazdorzyć we wszystkich mediach. Sztandarowym tego przykładem jest Patryk Jaki. A media i dziennikarze, którzy z nim gaworzą, są mu równi wiedzą i mądrością. Wstyd.

Parlamentarzyści z parozdaniowymi CV są karykaturą polityki. I oczekiwanie od nich czegoś więcej niż mało rozumnego paplania jest bezbrzeżną naiwnością.

Sięgnij po książki PRZEGLĄDU

Mądre,
wartościowe tytuły



NOWOŚĆ!

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

BĄKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Nauka religii, czyli czego?**
30 lat katechizacji w szkole
- 14 Dotacje unijne – sposób na życie**
Miliony wyrzucone w błoto
- 18 MSZ to dziś atrapa**
Upadek dyplomacji
- 30 Twórcza beznadzieja**
– rozmowa z Konradem Ambroziakiem
- 52 Moja ekologia jest lepsza niż twoja**
Prawicowa wojenka w lesie

OPINIE

- 22 Jarosław Dobrzański**
Wojna o Białoruś
- 26 Tadeusz Klementewicz**
Dobre podatki to niskie podatki?

ZAGRANICA

- 34 Wielkie odchudzanie Brytyjczyków**
Wszyscy na rowery
- 37 Wirus krąży, one chorują na beczynność**
Emigracyjne szlaki Polek
- 40 Kwarantanna – as chilijskiego rządu**
Czego boi się prezydent

HISTORIA

- 42 Wzburzony ludowy ocean**
Karol Modzelewski o Solidarności

SYLWETKI

- 46 Pan od elementarza i jego tajemnice**
Kim był Marian Falski

NOWE TECHNOLOGIE

- 50 Okulary mierzą temperaturę**
Gadżety wspomagające diagnozę

KULTURA

- 54 Teatr to nie muzeum**
– rozmowa z Natalią Korczakowską
- 57 Kulturalia**
- 66 Kolory przemian**

EKOLOGIA

- 58 Sokół (nie)wędrowny**
Dokąd odlatują ptaki

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Opozycjo, idź do ludzi
- 13 Jan Widacki**
Ten ciepły człowiek Łukaszenka
- 16 Andrzej Romanowski**
Ludwik
- 21 Roman Kurkiewicz**
Nos Kleopatry, wąs Wałęsy, palec Margot
- 29 Tomasz Jastrun**
Sprawa diabelska
- 45 Wojciech Kuczek**
Odumarli



34
ZAGRANICA

WIELKIE ODCHUDZANIE BRYTYJCZYKÓW

Wszyscy na rowery



50
NOWE
TECHNOLOGIE

OKULARY MIERZĄ TEMPERATURĘ

Gadżety wspomagające diagnozę



58
EKOLOGIA

SOKÓŁ (NIE)WĘDROWNY

Dokąd odlatują ptaki

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. SŁAWOMIR OLZACKI/FORUM



Dr Paweł Grzesiowski
Pół roku życia z wirusem

Tomasz Miłkowski
Wirtualny sezon teatralny

Owocowa broń w walce
z nadciśnieniem



f Zhańbiona Solidarność

Usłyszałem w TOK FM wypowiedź działacza „demokratycznej opozycji” (chyba Bogdana Borusewicza), że to nie robotnicy zorganizowali Sierpień, ale działacze KOR, czyli opozycja. Dlatego ten strajk się powiódł, bo był polityczny. Wcześniej był strajk w Świdniku, ale on miał charakter *stricte* socjalny.

Dlatego bezpiecie łatwo udało się oddzielić strajkujących od opozycji politycznej, a strajk wygasić. W Gdańsku, klasa robotnicza stanowiła siłę strajku, ale nie miała wpływu na negocjacje z władzami.

Ciekawe, jak się czuje po tej wypowiedzi Lech Wałęsa i 10 mln członków pierwszej Solidarności, których już na samym początku oszukali działacze „demokratycznego podziemia”. Motorem późniejszych zmian byli wykształceni w neoliberalizmie na Zachodzie tacy ludzie jak Balcerowicz, którzy po raz drugi oszukali robotników i społeczeństwo, zaszczepiając w Polsce dziki kapitalizm.

Marek Głowinkowski

W procesie rzekomego unowocześniania społeczeństwa po 1989 r. nie bez znaczenia jest fakt, że przywódcy tego ruchu, ludzie, którzy przejęli władzę, media, a nawet kulturę, byli formowani na „solidarnościowych katechezach”. Do dzisiaj z dumą wspominają swoich przewodników duchowych i dobroczynność związaną z udostępnianiem im salek katechetycznych oraz środków materialnych, licytując się, który kościół jest fajniejszy i który z księży ma większy monopol na prawdę o demokracji. Swoją drogą to ciekawe, że nauczyciele polskiej demokracji wywodzą się z instytucji, która jest jej całkowitym zaprzeczeniem.

Małgorzata Matysiak

f W jakie bzdury wierzą Polacy

Dużo by mówić i pisać, ale uderzę w historyczny ton. „Żołnierze wyklęci”! Młodzi Polacy uważają ich za bohaterów, bo walczyli z komunistami. Niestety, oni nie walczyli tylko z komunistami! Musieli funkcjonować i żyć, więc napadali na niewinnych ludzi. Najczęściej na rolników! Rabowali, niekiedy mordowali. Wiem od teścia, rocznik 1934. Świetnie ich pamięta, z tej bardzo złej strony. Gdy zobaczyłem, czego uczy się moja córka na lekcjach historii, byłem rozczarowany. Nie mówiłem o tym teściowi. Szkoda człowiekowi 80+ psuć starość.

Strączyk Damiano Paweł

Jest tego bardzo wiele. 1. Że funkcjonariusz w sutannie jest namiestnikiem pana Boga na ziemi. 2. Że jakkolwiek urząd działa w interesie petenta. 3. Że homoseksualiści są tacy, bo tacy chcą być. 4. Że szczepienia to propaganda. 5. Że pan prezes chce dobra Polaków. 6. Że PiS daje. 7. Że miłość bliźniego nie kłóci się z byciem nikczemnym i można zrobić każde świństwo. 8. Że wszystkiemu winni są ONI.

Ewa Gojawczyńska

ZDJĘCIE TYGODNIA

Razem, lecz osobno.
Msza w bazylice św. Brygidy w Gdańsku w ramach obchodów 40. rocznicy porozumień sierpniowych i powstania NSZZ Solidarność.





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jak nauka religii w szkołach wpłynęła na polską młodzież?

PROF. STANISŁAW OBIREK,

antropolog kultury, teolog, były jezuita

Prof. Józef Baniak w publikacjach poświęconych postawom młodzieży wyraźnie pokazał, że lekcje religii w obecnej formie, praktycznie tożsamej z katechezą, są jednym z najsukcesowniejszych środków sekularyzacji polskiego społeczeństwa. Dla katolików, którym zależy na Kościele, to bardzo smutna wiadomość, ale z perspektywy człowieka takiego jak ja, który uważa, że im mniej religii w przestrzeni publicznej, tym lepiej, są to świetne wieści. Zwiększanie obecności religii w szkołach przyspiesza moment, w którym nasze społeczeństwo stanie się w pełni świeckie, podobnie jak stało się to w Irlandii, Hiszpanii czy Włoszech, gdzie wmuszanie treści wyznaniowych zniechęciło ludzi do katolicyzmu. Potwierdzają to badania renomowanego Pew Research Center, które w 2018 r. stwierdziło, że polska młodzież laicyzuje się najszybciej na świecie.

ANNA DZIERZGOWSKA,

nauczycielka historii, działaczka społeczna

Obecność księży, katechetów i katechetek oraz symboli religijnych w szkołach jest formą tresury – dzięki niej młodzież przyzwyczaja się do nadobecnności Kościoła w życiu zbiorowym. Niesie ona przesłanie, że kler jest częścią sfery publicznej, ma prawo wypowiadać się na każdy temat i należy go słuchać. Skutkuje to ciągłym wzmacnianiem głosu Kościoła w sprawach społecznych, co uważam za bardzo szkodliwe. Inną konsekwencją jego obecności w szkołach jest utrwalanie obrazu Polski jako katolickiego monolitu. W większości placówek uczniowie i uczennice

mają małe szanse dowiedzieć się o istnieniu pozostałych odłamów chrześcijaństwa oraz innych religii, łącznie z tymi, których wyznawcy żyją wśród nas. Coś mną telepie za każdym razem, gdy myślę o tym, że dorastają kolejne pokolenia, które nie znają innej rzeczywistości niż wszechobecność dominującego wyznania.

DOMINIKA FRYDRYCH,

katolicki portal DEON.pl

Pamiętam znak krzyża z przedszkola i parę historyjek z podstawówki i gimnazjum. W liceum sporo z nas zrezygnowało. Podczas okienka (oczywiście mieliśmy lekcję w środku dnia) graliśmy we własnoręcznie narysowane, absurdałne memo – i to chyba moje najbardziej wyraźne wspomnienie. Nie, to nie było „kształtowanie postaw inspirowanych Ewangelią”, jak chciałyby Konferencja Episkopatu Polski. Raczej nuda, trochę religijnych piosenek, film o aborcji, dwa słowa o innych wyznaniach, wszystko zakończone pożegnaniem przed czasem. Dla najtępszych takich jak ja lekcje religii to raczej folklor niż doświadczenie ewangelizacyjne albo teologiczne. Dziś można się uśmiechnąć przy piosence Maty („Żółte flamastry i grube katechetki”), ale czy jakoś pogłębiło to życie duchowe? Niespecjalnie.

JERZY KRAWIEC-MOSTOWIAK,

czytelnik PRZEGLĄDU

Lekcje religii wyrządziły młodzieży wiele szkód, przehandlowaliśmy na nie bowiem godziny matematyki, fizyki i chemii. A mogliśmy mieć religioznawstwo uczące poszanowania dla odmienności.

Not. Michał Sobczyk

Nauka religii, czyli czego?

30 lat katechizacji w szkołach – historia nieudanego projektu

Anna Walczak

Nie wybrzmiał jeszcze pierwszy wrześnieowy dzwonek, a w internecie już było słycać rozżalonych rodziców – pojawiły się zdjęcia świeżo otrzymanych planów zajęć, gdzie katecheza jest często w środku dnia, w samym centrum przeładowanego planu. Grzmi niemały już chór niezadowolonych i znów, jak co roku, odgrzewa się hasła o konieczności przeniesienia religii z powrotem do kościoła. W kontrze bardziej konserwatywni pytają, czy ta godzina naprawdę tak przeszkadza, bo przecież chodzi o sprawy nadrzędne: moralność i wychowanie dzieci w duchu wartości chrześcijańskich.

W tym roku, 30 sierpnia, minęła 30. rocznica powrotu religii do szkolnych ławek. Dobra okazja, by się zatrzymać i przyjrzeć, jak całkowicie zlaicyzowana przez lata Polski Ludowej szkoła zmieniała się w miejsce, gdzie religia jest przedmiotem uwzględnianym przy obliczaniu średniej ocen i gdzie ponad tysiącu placówek edukacyjnych patronuje Jan Paweł II.

I, co ważniejsze, jakie są skutki tego procesu. Czy Kościół katolicki osiągnął zamierzone cele? Czy młodzież – ta współczesna i ta „starsza” – wychowana przez edukację w duchu katolickim, częściej kieruje się zasadami



W 1990 r. minister edukacji Henryk Samsonowicz (z lewej), w porozumieniu z premierem Tadeuszem Mazowieckim, wydał instrukcję o powrocie religii do szkół.

środowiska wiary”, czyli do salek parafialnych.

Jak do tego doszło

Cofnijmy się jednak o 30 lat. Proces przywrócenia katechezy do szkół zainicjowała już wiosną, 2 maja 1990 r., Konferencja Episkopatu Polski, powołując się m.in. na powszechną wolę młodzieży uczestniczenia w lekcjach katechezy, zapisy w przedwojennej

przedmiot nieobowiązkowy, w wymiarze dwóch godzin tygodniowo (co nie zmieniło się do dziś) i nauczany przez księży nieodpłatnie. Szybka zmiana tego ostatniego postanowienia i obarczenie kosztami katechizacji budżetu państwa stały się wkrótce kością niezgody między przeciwnikami i zwolennikami religii w szkołach.

30 sierpnia 1990 r. ówczesny minister edukacji, prof. Henryk Samsonowicz, w porozumieniu z premierem Tadeuszem Mazowieckim wydał instrukcję o powrocie religii w szkolne mury. Tak tłumaczył tę decyzję w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” w 2012 r.: „Ja nie przywróciłem religii do szkół, tylko umożliwiłem – zgodnie z wolą większości rodziców i nauczycieli – wprowadzenie religii jako przedmiotu dodatkowego. (...) Przychodząc do rządu Mazowieckiego, mieliśmy za sobą co najmniej 10 lat rozmaitych rozmów, konsultacji, opinii [na temat powrotu religii do szkół – przyp. red.]. Jeden z moich bliskich współpracowników, sekretarz stanu w rządzie Mazowieckiego Wiktor Kulerski, nie był zachwycony wprowadzeniem religii do szkół, ale

Decyzję rządu Mazowieckiego próbowała zablokować ówczesna rzeczniczka praw obywatelskich prof. Ewa Łętowska.

katolickiej moralności? Czy została skutecznie obroniona przed rzekomymi zagrożeniami płynącymi ze świeckiego lub niekatolickiego Zachodu? Tu wątpliwości nie brakuje nawet w samym Kościele, choć zwykle wyrażane są przez tych jego przedstawicieli, których zalicza się raczej do tzw. Kościoła otwartego. Za przykład niech posłuży opinia abp. Grzegorza Rysia z 2017 r. Ówczesny biskup wprost stwierdził, że religię należy „wyrwać ze szkół i przenieść z powrotem do

konstytucji, z 1921 r., oraz – co stało się chyba najważniejszym argumentem – konieczność odreagowania i nadrobienia lat systemowej ateizacji. „Powrót katechezy do szkół jest naprawą jednej z krzywd, która spotkała społeczeństwo w czasach systemu totalitarnego” – takie słowa biskupów mogli usłyszeć Polacy uczestniczący w mszach w czerwcu 1990 r.

W lipcu wspólna podkomisja rządu i Konferencji Episkopatu Polski ustaliła, że religia wraca do szkół jako

jednocześnie uważał, że trzeba się liczyć z wolą społeczną”. Samsonowicz podkreślał również, że ludzie byli wówczas „spragnieni wartości zakazanych w okresie poprzednim”.

Choć ateści czy w ogóle orędownicy świeckiego państwa opartego na wartościach humanistycznych podnieśli wówczas niemałą wrzawę, przeniesienia religii do szkół nie udało się zablokować. „Jest rzeczą oczywistą, że nasze dzieci, całe nasze środowisko zapłaci wysoką cenę za niefortunną decyzję. Problem jednak jest o wiele szerszy. Wielu ludzi nie zdaje sobie sprawy, że wprowadzenie lekcji religii do programu szkolnego najwięcej szkody przyniesie dzieciom katolickim, a więc, o paradoksie, samemu Kościołowi”, przepowiadał na łamach „Gazety Wyborczej” pastor Kościoła ewangelicko-reformowanego Bogdan Tranda w czerwcu 1990 r.

Przypomnijmy, że decyzję rządu Mazowieckiego próbowała zablokować ówczesna rzeczniczka praw obywatelskich prof. Ewa Łętowska, lecz Trybunał Konstytucyjny oddalił jej skargę, stwierdzając, że religia w szkołach nie będzie miała wpływu na świeckość państwa ani na jej egzekwowanie.

Środowiska ateistyczne czy lewicowo-liberalne do dziś nie wybaczyły Mazowieckiemu oraz Samsonowiczowi tamtego posunięcia. Przypominają, że nie zostało ono nawet zatwierdzone przez Sejm. Zresztą sam premier Mazowiecki przyznał później, że był tej decyzji przeciwny. Prof. Henryk Samsonowicz we wspomnianym wyżej wywiadzie uznał z kolei, że „nauczanie religii w obecnym kształcie przynosi szkodę i uczniom, i samemu przedmiotowi”, podkreślając, że model ten jest „archaiczny”. Podał też w wątpliwość kompetencje katechetów czy księży co do odpowiedzi na potrzeby współczesnej młodzieży. Przyznał jednak, że na początku lat 90. tego rodzaju trudności nie wydawały się istotne.

Dokumentem, który formalnie uregulował decyzję z 1990 r., była ustawa o systemie oświaty z 1991 r. I ta brzmiała jeszcze

zupełnie „niewinnie” – mówiła bowiem o organizacji religii przez publiczne placówki na życzenie rodziców. Rozporządzenie ministra edukacji z 1992 r. przyklepało sprawę obecności religii w planie lekcji, odpowiedzialność szkół za prowadzenie katechezy – a także formalnie potwierdziło możliwość wieszania krzyży w salach szkolnych.

Czy Kościół katolicki osiągnął zamierzone cele? Czy młodzież częściej kieruje się zasadami katolickiej moralności?

Ostatecznie kwestię finansowania lekcji religii przez państwo oraz wyznaczania katechetów do pracy w szkole przypieczętował konkordat, podpisany w 1993 r.

Wreszcie kropka nad i – zapis, że „religia Kościoła lub innego związku wyznaniowego o uregulowanej sytuacji prawnej może być przedmiotem nauczania w szkole, przy czym nie może być naruszona wolność sumienia i religii innych osób”, znalazł się w konstytucji z 1997 r.

W 2007 r. decyzją ówczesnego ministra edukacji Romana Giertycha religię zaczęto z kolei wliczać do średniej ocen na świadectwie. Protestowali

postowie koalicji Lewica i Demokraci, jednak znów – bezskutecznie. Trybunał Konstytucyjny nie uznał niezgodności zapisu z konstytucją.

Głośnym echem w mediach odbity się też petycje o zdejmowanie krzyży ze ścian klas szkolnych. Prób tych dokonywali m.in. działacze Ruchu Palikota, niezaangażowani politycznie dyrektorzy szkół, nauczyciele, a na-

wet uczniowie. Ostatnio zaś np. radni Koalicji Obywatelskiej w Szczecinie. Skutki inicjatyw były różne – w 2014 r. nauczycielce z Krapkowic udało się wygrać sprawę o krzyż (w pokoju nauczycielskim) w Sądzie Okręgowym w Opolu. Na mocy wyroku miała otrzymać zadośćuczynienie w wysokości 5 tys. zł za wcześniejszą dyskryminację. Wyrok podtrzymany został przez sąd apelacyjny, skargę kasacyjną oddalił także Sąd Najwyższy.

W 2015 r. żyliśmy natomiast sprawą projektu obywatelskiego „Świecka szkoła”. Został on zainicjowany m.in. przez Katarzynę Lubnauer, liderkę Nowoczesnej, i Barbarę Nowacką,

wtedy z Twojego Ruchu. Podpisał się pod nim ponad 150 tys. osób. Projekt zakładał, że państwo nie będzie finansowało lekcji religii, i trafił do Sejmu pod koniec 2015 r. Tam przeszedł pierwsze czytanie – zgodnie z sejmową zasadą nieodrzućcia projektów obywatelskich na tym etapie legislacji. Ostatecznie przepadł, zamrożony w sejmowej Komisji Edukacji, Nauki i Młodzieży jeszcze podczas VIII kadencji Sejmu. Inicjatorzy akcji podkreślają, że mimo wszystko uznają sukces projektu, ponieważ dzięki temu udało się temat obecności religii w szkole i jej finansowania przywrócić na pierwsze strony gazet.

W obecnej kadencji Sejmu oficjalnymi orędownikami wyprowadzenia religii ze szkół z powrotem do sal katechetycznych są lewica oraz Partia Zieloni.



IV Szkoła Podstawowa w Białymstoku, zajęcia z religii w klasie I.

► Konferencji Episkopatu Polski nadal nie udało się jednak zrobić kolejnego kroku – matura z religii wciąż nie jest możliwa. Zwolennicy tego rozwiązania argumentują, że ułatwiłoby ono życie uczniom, którzy chcieliby startować na studia teologiczne i teraz muszą przechodzić dodatkową rozmowę kwalifikacyjną z wiedzy o Kościele. Prace nad projektem wprowadzenia religii na listę przedmiotów maturalnych były zapowiadane już przez rząd PiS, LPR i Samoobrony w 2006 r. Zmiany zapowiedział też obecny rząd PiS – w 2016 r., jednak miałyby to się stać dopiero w roku 2021.

Ile nas to kosztuje?

Godzin lekcji polskiego w klasach IV-VIII (dla uproszczenia nie biorę pod uwagę klas I-III, ponieważ na tym etapie polski i matematyka występują w zestawieniach wspólnie w ramach edukacji wczesnoszkolnej) jest zwykle nieco ponad 900. Matematyki jest nieco mniej – ok. 720, podobnie jak lekcji wychowania fizycznego. Czwarty w kolejności jest język obcy – ok. 540 godzin (nie licząc już drugiego języka). Piąte miejsce w polskiej szkole publicznej zajmuje właśnie religia. Uczniowie przez pięć lat „starszego” etapu podstawówki mają jej nieco ponad 360 godzin. Dalsze miejsca zajmują: biologia liczona wspólnie z przyrodą, powiedzmy, że jej kontynuacją



Gośćmi na lekcjach bywają hierarchowie kościelni, jak bp Roman Marcinkowski, który w 2014 r. odwiedził Zespół Szkół nr 2 w Makowie Mazowieckim.

sposobu nauczania katecheci podlegają wyłącznie Kościołowi – to postanowienia konkordatu, podpisanego w 1993 r. Formalnie przyklepiano wtedy zasadę, że to biskup diecezjalny decyduje o tym, wydając odpowiednie skierowanie. Dyrektor nie ma tu więc żadnego wyboru. Również kwalifikacje katechety potwierdzane są i oceniane przez biskupa – Kościół decyduje zatem o treściach przekazywanych na katechezie i w podręcznikach oraz prowadzi nadzór merytoryczny

kompetencjami nie czuwa żadna świecka instytucja. Nierzadką praktyką jest też zmuszanie uczniów do biernego udziału w religii i pozostawianie ich w tej samej sali, w której zajęcia się odbywają – szkoły i przedszkola próbują niekiedy forsować takie rozwiązania, tłumacząc się względami organizacyjnymi i brakiem możliwości zapewnienia uczniom opieki.

Uczniowie nie są zresztą jedyną grupą wciągana „tylnymi drzwiami” w praktyki religijne. Jak informuje Fundacja na rzecz Różnorodności Po-listrefa w raporcie „Szkoła to nie miejsce kultu”, problem dotyczy także nauczycieli, kierowanych do opieki nad uczniami podczas rekolekcji. Teoretycznie do 2017 r. chronił ich przepis rozporządzenia z 1992 r. w sprawie warunków i sposobu organizowania nauki religii w publicznych przedszkolach i szkołach – wprost wskazujący, że podczas rekolekcji uczniami opiekują się katecheci. Został wykreślony na fali reformy edukacji w 2017.

Pod wpływem oporu środowisk lewicowych w 2018 r. zrezygnowano jednak z innego kroku – stworzenia podstawy prawnej do pełnienia funkcji wychowawcy klasy przez nauczyciela religii. Przykłady tego rodzaju decyzji dyrektorów szkół zaczęły się przedostawać do opinii publicznej przez media, a rząd PiS wyraźnie nie

Kwestię finansowania lekcji religii przez państwo przypieczętował konkordat, podpisany w 1993 r.

– ok. 250 (celowo liczę wspólnie, ponieważ wtedy obejmujemy cały pięcioletni cykl, analogicznie do lekcji religii), historia – ok. 320, informatyka – ok. 180, fizyka i chemia – ok. 140.

Z danych MEN wynika, że religii w szkole uczy w Polsce ok. 30 tys. katechetów. Niemal równo połowa to nauczyciele świeccy, reszta – księża (ok. 8 tys.) oraz siostry zakonne i zakonniczki.

Ponieważ katecheci zatrudnieni są przez szkołę na podstawie Karty nauczyciela, wydawać by się mogło, że jako ich przełożonego należałoby wskazać dyrektora szkoły. Kłopot w tym, że w kwestiach treści czy

nad katechetami. Administracji szkoły pozostawia się jedynie kwestię organizacji szkolnego grafiku czy sprawy czysto kadrowe, związane z rozliczaniem wynagrodzeń.

To wszystko wydaje się istotne nie tylko z punktu widzenia rodziców, którzy zapisują dzieci na religię, ale i tych, którzy na to się nie zdecydowali. Jak alarmują aktywiści działający w obronie praw dzieci nieposyłanych na religię, szkoły często obsadzają księżmi czy katechetami zastępstwa za nieobecnych nauczycieli. W efekcie opiekę nad dziećmi, również tymi nieuczęszczającymi na katechezę, sprawują osoby, nad których

chciał tu dopuścić do sytuacji, w której przeciwnicy religii w szkołach miałyby dodatkowy argument w antykatechetycznej narracji. Co chyba jednak ważniejsze – wyżej opisany galimatias z podleganiem katechetów władzom kościelnym, a nie świeckim, byłby trudny do rozwiązania. Obecnie, na mocy porozumienia między Konferencją Episkopatu Polski a MEN z 2019 r. w sprawie kwalifikacji zawodowych wymaganych od nauczycieli religii, księża są formalnie zobowiązani do tego, aby mieć przygotowanie pedagogiczne do nauczania religii (nie tylko ukończone seminarium duchowne), ale mogłoby budzić wątpliwości społeczeństwa, czy może ono być uznane za ekwiwalent przygotowania pedagogicznego świeckich uczelni.

To wszystko odbywa się zaś kosztem 1,5 mld zł rocznie. Dla porównania łączna kwota subwencji oświatowej na rok 2020 wyniosła niecałe 50 mld zł. Ewentualne wycofanie religii ze szkół pozwoliłoby w aż jednej czwartej pokryć żądania 1 tys. zł podwyżki dla każdego nauczyciela w Polsce (koszt spełnienia tego postulatu oszacowano na 6 mld zł).

Katechizacja nie zatrzymuje laicyzacji

Odsetek osób wierzących długo utrzymywał się na podobnym poziomie. CBOS wskazuje, że tak było od lat 90. do roku 2005 – nie spadał poniżej 96%. Później jednak Polaków deklarujących się jako wierzący zaczęło powoli ubywać i dziś, w roku 2020, jest ich 91%. Zmniejszyła się też liczba regularnie praktykujących – z 58% w latach 90. do 50% w 2018 r. Z kolei jako niewierzący określa się 8% – i taki poziom utrzymuje się aż od 2011 r., choć w szerszej perspektywie czasowej tu także widoczny jest wzrost – w 2007 r. jako niewierzący deklarowało się tylko 4% badanych.

Jeszcze ostrzejszą zmianę widać w stosunku Polaków do religii w szkołach. W 2009 r. CBOS, oceniając pracę rządu Tadeusza Mazowieckiego z perspektywy 20 lat, zbadał również naszą opinię na temat przeniesienia religii do szkół. Ogólnie pozytywnie oceniło ją 64% badanych, źle zaś 25%. Ten stan rzeczy utrzymywał się potem dość długo – w badaniu z 2013 r. aż 82% respondentów zaznaczyło odpowiedź,

że „nie razi” ich religia w szkołach (przeciwników było 15%).

Jednak nowszy sondaż, wykonany w 2019 r. na zlecenie OKO.press (choć pojawiają się głosy kwestionujące rzetelność badań zleczanych przez media wyraźnie opowiadające się po jednej ze stron), pokazał, że za usunięciem religii ze szkół opowiedziało się aż 52% badanych. Za jej pozostawieniem było 43%.

Religia zajmuje piąte miejsce pod względem liczby godzin w polskiej szkole publicznej.

Rok wcześniej temat badała „Gazeta Wyborcza” – wtedy za powrotem katechezy do kościołów opowiedziało się 39% respondentów.

W przypadku młodzieży odchodzenie od Kościoła jest wyraźniej widoczne. Badanie CBOS dotyczące uczniów szkół ponadgimnazjalnych przeprowadzone w 2019 r. wykazało, że aż 17% deklaruje się jako osoby niewierzące. Dla porównania w 2016 r. było to 13%, w 2013 – 10%, w 1996 r. zaledwie 5%. Szybki przyrost liczebności młodych ateistów obserwowany jest od dekady. Przejawy laicyzacji młodych ludzi opisała m.in. prof. Irena Borowik w pracy „Przemiany religijne w Polsce na tle transformacji w Europie Środkowo-Wschodniej i globalizacji” z 2016 r., zaliczając do nich spadek frekwencji na niedzielnej mszy i przy konfesjonatach (CBOS pokazuje tu jeszcze silniejszy spadek niż w przypadku deklaracji wiary), zmniejszenie liczby powołań oraz – co ciekawe – zrównywanie się wskaźników religijności młodych kobiet i mężczyzn. Co w tym niepokojącego z perspektywy Kościoła? Mówiąc wprost – badacze wiedzą, że to najczęściej matki (i w ogóle kobiety) stoją na straży religijnego wychowania dzieci. To zresztą część szerszej narracji tłumaczącej lęk Kościoła przed wszelkimi zakusami na tradycyjne role społeczne kobiet i mężczyzn.

Badaczka zwróciła również uwagę na to, że młodzież częściej niż dorośli otwarcie krytykuje Kościół i kler, udziela się w ateistycznych czy humanistycznych

inicjatywach i jest negatywnie nastawiona do katechetów.

W ocenie, czy rzeczywiście mamy „modę na niechodzenie na religię”, znów przyda się CBOS. W ciągu ostatniej dekady (konkretnie od 2010 do 2018 r.) uczestnictwo w szkolnej katechezie zmniejszyło się aż o 23% (z 93% do 70%). Najczęściej rezygnują z religii uczniowie szkół w miastach powyżej 500 tys. mieszkańców – tam

na religię chodzi już tylko 44% (głównie uczniów szkół ponadpodstawowych). Na wsi jest to 78%. Widać wyraźnie zasadę, że im większe miasto, tym mniej uczniów na katechezie.

Masowy wręcz odpływ młodzieży z Kościoła potwierdzają wyniki badania amerykańskiego Pew Research Center z 2018 r. – okazuje się, że w Polsce proces ten postępuje najszybciej na świecie.

Czy religijny znaczy moralny?

Trudno ocenić, co w największym stopniu mogłoby być wskaźnikiem, na ile powszechna katechizacja jest skuteczna w krzewieniu pozytywnych postaw moralnych wśród polskiej młodzieży. Czynniki, które na to wpływają, są z pewnością zbyt złożone, by można było wyłuszczyć, na ile religia jest tu w ogóle istotna – decydującą rolę ma z pewnością środowisko rodzinne, miejsce zamieszkania, ▶

20 sierpnia 2020 roku w wieku lat 90 zmarł

Andrzej Walicki

Członek Polskiej Akademii Nauk, profesor emerytowany uniwersytetu Notre Dame, historyk idei, przenikliwy myśliciel polityczny, autor wielu wybitnych dzieł o filozofii społecznej polskiej i rosyjskiej, tłumaczonych na wiele języków.

Człowiek prawy, patriota, obrońca tego, co w polskiej tradycji najszlachetniejsze.

Łączymy wyrazy współczucia dla

Żony Joanny Schiller-Walickiej

Bronisław i Elżbieta Łagowsky

► wreszcie wpływy kulturowe, rosnąca dostępność mediów elektronicznych – i zapewne setki innych. Potwierdza to opinia samych Polaków z 2017 r. (znów CBOS): ponad trzy czwarte z nas uważa, że religia nie musi uzasadniać słusznych nakazów moralnych (ogólnie, nie tylko jeśli chodzi o młódzież), jedynie zaś co ósmy żywi przekonanie, że religia jest niezbędnym filarem moralności.

Jeśli chodzi o średni wiek inicjacji seksualnej, eksperci rzeczywiście mówią o jego obniżaniu się – z 19 lat w 2010 r. (badanie GfK) do ok. 17 lat obecnie. Trzeba tu jednak zaznaczyć, że wyższy wiek inicjacyjny obserwuje się np. w Holandii, kraju często wskazywanym przez środowiska konserwatywne jako wręcz „zdemoralizowany” przez edukację seksualną. Tam wynosi on obecnie ok. 18 lat. Ogólnie, patrząc

jest popularność amfetaminy. Ogólnie – w latach 2008-2018 nie zmienił się specjalnie odsetek uczniów, którzy w ostatnim roku używali środków odurzających. Jeśli chodzi o papierosy – od 2003 r. stały spadek, z 31% regularnie palących uczniów starszych klas szkół ponadpodstawowych do 18%. Co do alkoholu – od niemal dwóch dekad notuje się podobny poziom; ok. 76% w ciągu ostatniego miesiąca piło piwo, ale coraz więcej pije wino. Z wódką jest jeszcze inaczej – od 2013 r. notuje się spadek

z 68% do 62% w 2018 r.

To wszystko nie oznacza oczywiście, że powyższe problemy (jest ich zresztą o wiele więcej) młodzieży możemy bagatelizować. Wręcz przeciwnie, powinniśmy skupić się na nich jeszcze bardziej – począwszy od statystyk i diagnoz, aż po realizację przygotowanych przez ekspertów kampanii i programów edukacyjnych. Cóż mogą mieć wspólnego z religią? Oby kwota na nie przeznaczona nie była niższa niż obecne koszty publicznie finansowanej katechizacji.

Anna Walczak

Religii w szkole uczy ok. 30 tys. katechetów, w tym ok. 8 tys. księży.

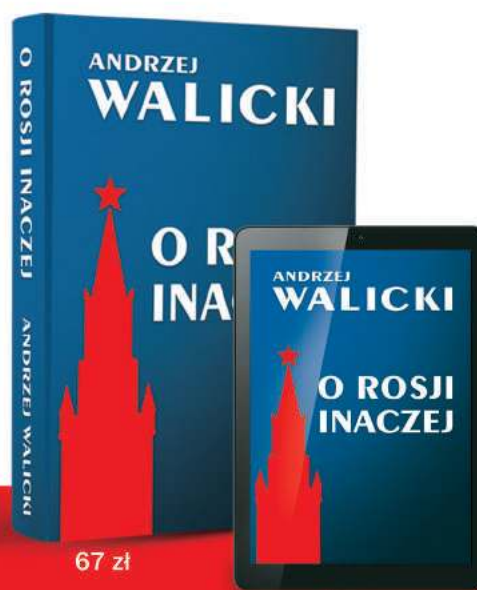
Spójrzmy jednak, czy spadek religijności Polaków – szczególnie młodzieży – pociąga za sobą różnice w tym, co można by uznać za „wskaźniki moralności”. Zaczniemy od spraw seksu – czy spadek poziomu katechizacji odpowiada np. za zmianę stosunku do współżycia przedmałżeńskiego? Okazuje się, że tu niewiele się zmienia w miarę upływu lat. Od 1998 do 2013 r. na tym samym poziomie (72-73%) pozostaje poparcie dla tezy, że „to zupełnie normalne, że kochający się ludzie utrzymują ze sobą kontakty seksualne”.

na statystyki europejskie, wiek ten wszędzie jest raczej podobny. Wyrażnie widać natomiast niższy odsetek ciężarnych nastolatków w krajach, gdzie edukacja seksualna stoi na wysokim poziomie – tu znów Holandia (a także Dania, Finlandia czy Luksemburg) stawiana jest za europejski wzór. Polska od lat nie osiąga dobrych wyników.

W kwestii uzależnień – spada procent młodzieży szkolnej (ostatnie lata szkół ponadpodstawowych) używającej dopalaczy. Spadł też nieco odsetek nieletnich, którzy kiedykolwiek w życiu palili marihuanę, mniejsza

WBREW POLITYCZNYM MITOM

**Najlepsza książka o Rosji
Zdecydowanie warto przeczytać**



67 zł

~~29,90 zł~~

19,90 zł
e-book

WWW.SKLEP.TYGODNIKPRZEGLAD.PL

Wpłaty prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

Z Galicji



Jan Widacki

Ten ciepły człowiek Łukaszenka

Nie tak dawno w ten sposób Łukaszenkę określił po powrocie z Mińska jeden z czołowych polityków PiS, ówczesna trzecia osoba w państwie, marszałek Senatu Stanisław Karczewski. Pomijając walory intelektualne tego męża i jego zdolność do analizy jakiegokolwiek sytuacji, a tym bardziej sytuacji politycznej, samo to, że tam pojechał i spotykał się z ignorowanym na europejskich salonach politycznych Łukaszenką, świadczy wyraźnie o tym, jakie liderzy PiS mieli rozeznanie w białoruskich realiach. Stosunek polskiej prawicy do Łukaszenki był dość ambiwalentny. Z jednej strony, pogardała nim jako komuchem, prymitywnym dyrektorem sowchozu, byłym komsomolcem, z drugiej – chyba trochę imponował jej model sprawowanej przez Łukaszenkę władzy.

Teraz, kiedy się okazało, że Łukaszenka to niekoniecznie „ciepły człowiek”, jakim widział go marszałek Karczewski, kiedy Białoruś stała się jednym z największych problemów Europy, przy okazji na jaw wyszła cała słabość (delikatnie mówiąc) naszej polityki zagranicznej. Na naszych oczach tysiące demonstrantów domagają się na ulicach i placach Mińska i wielu innych białoruskich miast ustąpienia Łukaszenki, a milicja i inne formacje brutalnie te demonstracje rozpędzają, aresztują i maltretują ich uczestników. Zachód, co z tego, że ewidentnie sympatyzujący z białoruską opozycją, jest jednak bezsilny. Przez wiele lat Polska była autentycznym liderem regionu. To na Polskę zwrócone były oczy Litwinów, Łotyszy, Ukraińców i Białorusinów. I co najważniejsze, Polska miała istotny wpływ na politykę wschodnią Unii Europejskiej. Dziś tę rolę przejęła Litwa, Łotwa i Estonia. To na Litwę, nie do Polski, wyjechała kandydatka na urząd prezydenta Cichanouska, to z Litwy, nie z Polski, apeluje ona do rodaków i do zachodniej społeczności międzynarodowej. Głos Polski, w której łamana jest praworządność, nie bardzo wiarygodnie mógłby brzmieć w obronie praw człowieka na Białorusi. Polska sama jest chorym człowiekiem UE, a jej pozycja w tej wspólnotie, która panu prezydentowi wydaje się „wymagowana”, staje się coraz słabsza. Polska jest niezdolna do jakiegokolwiek poważnej inicjatywy na tym forum.

Ostatnio, opóźniając *agrement* i uniemożliwiając tym samym podjęcie misji ambasadorowi Niemiec w Polsce z tego tylko powodu, że jego ojciec siedemdziesiąt parę lat temu służył w Wehrmachcie, każe Niemcom i wszystkim zachodnim Europejczykom patrzeć na nas jak na jakieś dziwadło. Jakby tego było mało, poseł Mularczyk oświadcza, że właśnie kończy obliczać wysokość reparacji, jakie Niemcy mają Polsce zapłacić za straty II wojny światowej. Przed posłem Mularczykiem jeszcze wiele pracy. Zapewne po Niemcach rachunek wystawi Rosjanom (jak tylko wyliczy wielkość

strat), Szwedom za potop, a Czechom za spalenie Gniezna... Obłęd polityki historycznej sięgnął już poziomu paranoi.

Dziś w UE głos Litwy znaczy więcej niż głos dziesięciokrotnie od niej większej Polski. Z Ukrainą stosunki mamy nijakie, z Rosją zdecydowanie złe.

Unia Europejska bezpośrednio w sprawie Białorusi jest bezsilna, podobnie jak Ameryka. Sankcje gospodarcze będą tu nieskuteczne, bo powiązania Białorusi z Europą i Ameryką są niewielkie. Większość zagranicznego obrotu gospodarczego Białorusi to obrót z Rosją. Co więcej, Białoruś jest od Rosji zupełnie zależna. Bez rosyjskiego gazu i ropy, sprzedawanych Białorusi po zaniżonych cenach, gospodarka nie byłaby w stanie funkcjonować.

Sankcje gospodarcze państw zachodnich są dla Białorusi niemal bez znaczenia. Objęcie zakazem wjazdu na teren UE kolejnych prominentów reżimu też będzie mało skuteczne. Nie bardzo, zdaje się, wybierali się do państw unijnych i czy objęto ich zakazem, czy nie, jest im chyba obojętne.

**Polska sama jest chorym człowiekiem UE,
a jej pozycja we wspólnocie staje się coraz słabsza.**

Jaka więc przyszłość czeka Białoruś? Nie ulega wątpliwości, że wydarzenia ostatnich tygodni świadczą o tym, że na Białorusi rodzi się społeczeństwo obywatelskie. Ale Łukaszenka najwyraźniej nie zamierza się z nim liczyć i wciąż wierzy w skuteczność rozwiązań siłowych. Obawiam się, że klucz do rozwiązania sytuacji na Białorusi ma tylko Putin. To z nim UE i Stany Zjednoczone powinny rozmawiać, na niego naciskać i równocześnie zapewniać, że Białoruś nie zostanie przyjęta do NATO ani UE, a każdy reżim w Mińsku będzie musiał się dogadać z Rosją, bo taka jest konieczność gospodarcza.

Putin sam, zdaje się, jest w trudnej sytuacji. Boi się chyba dwóch rzeczy: że Białoruś stanie się przykładem dla Rosji i tak jak Białorusini masowo okazują, że nie chcą już Łukaszenki, również Rosjanie mogą pokazać, że mają dość Putina. Z drugiej strony obawia się, że Białoruś, jak wcześniej Ukraina, zostanie wciągnięta w orbitę polityki Zachodu, a Rosja straci tam wpływy i bazy wojskowe.

Jedynym wyjściem wydaje się jakiś białoruski okrągły stół, pod patronatem UE, USA i Rosji. Ale te trzy podmioty musiałyby w tej sprawie się dogadać. Czy będą chciały? I czy potrafią? Jedno jest pewne. Nie odbędzie się on w Warszawie. Znacznie bardziej prawdopodobne, że jeśli nie w Mińsku, to w Wilnie.

Na razie w Mińsku wciąż, coraz brutalniej, rządzi „ciepły człowiek” Łukaszenka.

Dotacje unijne – sposób na życie

Od 2007 r. na badania i rozwój prywatne spółki otrzymały miliardy złotych dotacji unijnych. Jeśli dzięki nim zarobiły, nie musiały zyskiem dzielić się z państwem

Marek Czarkowski

24 sierpnia br. o godz. 9 wielu małych przedsiębiorców z Wielkopolski w napięciu czekało na możliwość złożenia za pośrednictwem internetu wniosku o dofinansowanie. Wielką zaletą owych grantów było to, że nie należało ich zwracać. Instytucją odpowiedzialną za podział pieniędzy w ramach „Wielkopolskiej Tarczy Antykryzysowej” była Wielkopolska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości. Wystarczyła minuta, by ponad 94 mln zł zostało rozdysponowane wśród 3133 chętnych. Pieniądze dzielono według zasady: kto pierwszy, ten lepszy. Chętnych – jak przyznała w późniejszym komunikacie Agencja – było ponad 50 tys. Aby ich zaspokoić, potrzeba było 1,696 mld zł. Wybuchł skandal. Dziennikarze mówili i pisali o „patologii”. Wojewoda wielkopolski zawiadomił NIK i prokuraturę. Do akcji wkroczyli funkcjonariusze CBA. W Agencji wszczęto kontrolę.

Identyczna historia zdarzyła się na Podkarpaciu. Tam bezzwrotne dotacje dzieliła lokalna Agencja Rozwoju Regionalnego. W kilku innych województwach miało dojść do podobnych nieprawidłowości, ale na razie sprawy zamieciono pod dywan.

Nie były to pierwsze przypadki, gdy bezzwrotne dotacje wywołały niezdrowe emocje. W roku 2009 Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości zorganizowała prawdziwą orgię rozdawnictwa. Chodziło o podział środków unijnych z Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka – podział oznaczony symbolem 8.1, czyli „Wspierania działalności gospodarczej w dziedzinie gospodarki elektronicznej”, oraz 8.2, czyli „Wspierania wdrażania elektronicznego biznesu typu B2B”.

Tylko w Warszawie po pieniążki w kolejce ustawiło się ponad 500 osób. W innych dużych miastach

także nie próżnowano. Otrzymali je ci, którzy byli pierwsi. Przy czym kasa była znacznie większa niż w 2020 r. w gospodarnej Wielkopolsce. Rzecz jasna, w 2009 r. nie starczyło dla wszystkich i wybuchł skandal. By uspokoić sytuację, ówczesne kierownictwo PARP obiecało rozmowy z „pokrzywdzonymi”.

Setki milionów złotych, które Agencja rozdysponowała w ramach tych dwóch „poddziałów”, zostały wyrzucone w błoto. W 2011 r. badała to NIK i nie wystawiła laurki.

Zacznijmy od tego, że mówienie w 2009 r. o „gospodarce elektronicznej” i „elektronicznym biznesie” w kraju, którego fundamentem rozwoju były – i nadal są – węgiel, wieprzowina i służby specjalne, trąciło absurdem. Były darmowe unijne środki, których nie trzeba było zwracać, za to trzeba było je szybko wydać. No to wydawano. W latach 2007-2009 na badania

alnie dobrać rodzaj fryzury. Pobożny student programista, zarabiający na umowy-zlecenia 5-7 tys. zł, mógł się wzbogacić o kilkaset tysięcy złotych, jeśli dobrze udokumentował wnioski o dofinansowanie strony internetowej, za pośrednictwem której można było zamawiać msze albo modlitwy w pobożnej intencji. Spółce z o.o. Zjedz24.pl przyznano ponad 834 tys. zł na projekt „Zjedz24.pl interaktywnym medium dla rynku gastronomicznego”. Wolno zgadywać, kto tu kogo zjadał. Inna firma z równie ograniczoną odpowiedzialnością o wdzięcznej nazwie Dosluchania.pl została uszczęśliwiona dotacją 831 tys. zł na realizację projektu... „Dosluchania.pl”! Według KRS głównym jej udziałowcem jest Stereo.pl Spółka Akcyjna, której numer KRS odpowiada podmiotowi o nazwie Favente Spółka Akcyjna. Ta z kolei firma wyłoniła się ze spółki

Pieniądze dzielono według zasady: kto pierwszy, ten lepszy. Chętnych było ponad 50 tys.

i rozwój przeznaczano nad Wisłą od 0,7 do 0,8% PKB, co plasowało nas w ogonie krajów Unii Europejskiej, w towarzystwie takich gigantów jak Bułgaria i Rumunia. Pieniądze z Brukseli miały poprawić sytuację.

W oparach absurdu

Wiadomo, że innowacje w biznesie nie są tanie. Stać na nie duże firmy. Małe nie mają takich pieniędzy. Lecz pomysł, że unijne dotacje ożywią ducha wynalazczości i przedsiębiorczości w Pcimiu, Pacanowie i Koziej Wólce, okazał się szalony.

Dzięki unijnym dobrodziejstwom fryzjer w Kielcach, mający przychody miesięczne rzędu 8-10 tys. zł, mógł otrzymać nawet 850 tys. na stworzenie programu komputerowego, dzięki któremu klienci mogli wirtu-

z o.o. PMA Invest. PMA posiada numer REGON. Weryfikując go w KRS, trafiamy na wielce wymowny komunikat „Pusta lista”.

Nie mam pojęcia, czym zakończył się finansowany ze środków unijnych projekt firmy 3XU Damian Joachimski, którego celem było „Wprowadzenie na rynek kompleksowej e-usługi wspomagającej organizację uroczystości weselnych”, dotacja wyniosła 817 tys. zł. W KRS nie ma śladu po niej.

Na szczęście istnieje firma Surfpeople sp. z o.o., której przyznano dotację w kwocie 280 tys. zł na „Stworzenie pierwszego w Polsce profesjonalnego portalu dostarczającego kompleksową usługę e-surfpeople dla ludzi nadających na tych samych falach”. Rozumiecie: palmy, hawajskie koszule, Elvis Presley, Beach Boys... i ludzie coś „nadający”.



Protest przedsiębiorców przed siedzibą Wielkopolskiej Agencji Rozwoju Przemysłu w Poznaniu, 27 sierpnia 2020 r.

Podobnych przykładów, godnych Sławomira Mroźka, znam tysiące. Dziś wiemy, że większość projektów była tworzona, by otrzymać bezzwrotną dotację. W normalnych warunkach „kompleksowa usługa e-surfpeople” czy „Zjedz24” nie miałyby sensu. Nikt nie wyłożyłby na to grosza.

Wyobraźmy sobie małą firmę zajmującą się tworzeniem i obsługą stron internetowych, która chce zainwestować w ryzykowny projekt milion złotych. Jej właściciel lub właściciele nie dysponują takimi środkami. Gdyby złożyli w banku wniosek o kredyt inwestycyjny, zostaliby wyśmiani z powodu wybujałej ambicji. Na szczęście były środki unijne i Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości. Jeśli wniosek został wypełniony poprawnie i złożony odpowiednio wcześniej, można było dostać kilkaset tysięcy złotych. Potem należało umiejętnie je „rozprowadzić”. Metod było bez liku. Oczywiście zgodnych z prawem.

W sklepie przyzwyczajony laptop kosztuje 2,5-3,5 tys. zł. Cena w przypadku pieniędzy „unijnych” rośnie dwu- albo trzykrotnie. Ta sama zasada dotyczy podwykonawstwa. Jeśli dobrze to rozegrano – w gronie przyjaciół – wychodziło się na swoje.

Nic dziwnego, że „Wspieranie działalności gospodarczej w dziedzinie gospodarki elektronicznej” oraz „Wspieranie wdrażania elektronicznego biznesu typu B2B” nie miało żadnego wpływu na wzrost innowacyjności polskiej gospodarki. I szybko o tych działaniach zapomniano. Nikt też nie szukał przyczyn klęski ani się nie tłumaczył. Za to rodzimy biznes oswoił się z myślą, że rząd i jego agendy rozdają na lewo i prawo bezzwrotne unijne dotacje na idiotyczne projekty.

Wyższa szkoła jazdy

Pieniądze na badania i rozwój rzędu 500-800 tys. zł są niegodne uwagi. Ciekawsze są te liczone w dziesiątkach milionów. Przyjrzyjmy się firmom biotechnologicznym i farmaceutycznym, które od lat finansują w części swoją działalność środkami unijnymi. Celem ich działalności jest najczęściej opracowanie innowacyjnej cząsteczki o znacznym potencjale terapeutycznym czy też nowego leku, który na pewnym etapie badań będzie można sprzedać ze znacznym zyskiem większym firmom lub koncernom.

Polskie firmy farmaceutyczne nie dysponują dziś funduszami, które pozwoliłyby im na wprowadzenie

na rynek odkrytego, przebadanego i chronionego patentami nowego leku. Oznaczałoby to wydatek rzędu kilku miliardów złotych i wiele lat obciążonej ryzykiem niepowodzenia ciężkiej pracy. O wiele łatwiej postarać się o dotacje na badania, wyemitować obligacje czy wejść na giełdę i dzięki sprzedanym akcjom uzyskać niezbędne środki. Problem w tym, że obligacje należy w uzgodnionym terminie wykupić. Akcje powinny przynosić zysk. Unijne dotacje zaś są bezzwrotne. Jeśli spółka zbankrutuje, nikt nie będzie się handryczył. A jeśli odniesie sukces, jej akcjonariusze zarobią. Co wtedy z dotacjami? Czy nie należałoby ich zwrócić? Choćby w części? Zapytałem o to Narodowe Centrum Badań i Rozwoju.

Odpowiedziano mi, że jeśli wsparcie dla przedsiębiorcy stanowi pomoc publiczną, to umowa o dofinansowanie, którą zawiera NCBR, nie obliguje podmiotu gospodarczego do zwrotu dochodów powiązanych z realizowanym projektem. Centrum odwołuje się w tym miejscu do obowiązującego prawa unijnego i wskazuje: „Nie-racjonalnym byłoby zobowiązanie przedsiębiorcy do zwrotu dochodu z tytułu komercjalizacji wyników badań. Po pierwsze, projekty finansowane z POIR powinny przyczyniać się przede wszystkim do rozwoju przedsiębiorstwa i poprawy jego konkurencyjności na rynku – wymaganie zwrotu środków w momencie powodzenia projektu mogłoby w praktyce skłaniać przedsiębiorców do minimalizowania dochodów po ukończeniu projektu – byłoby to sprzeczne z logiką instrumentu wsparcia. Po drugie, przedsiębiorcy nie otrzymują dofinansowania w wysokości 100% kosztów kwalifikowalnych – obowiązkowo muszą dołożyć własne środki do budżetu projektu, więc tym bardziej instytucja udzielająca wsparcia nie powinna żądać zwrotu dochodów wygenerowanych po zakończeniu projektu”.

Zostawmy na boku słynną spółkę OncoArendi Therapeutics, która pozyskała ponad 100 mln zł dotacji, a której prezesuje pan Marcin Szumowski, brat byłego już ministra zdrowia. Są inne, równie interesujące firmy. Na przykład biotechnologiczna spółka Selvita SA. W latach 2007-2013 realizowała ona kilkanaście projektów, które w ramach Programu Operacyjnego

► Innowacyjna Gospodarka uzyskała dofinansowanie na łączną kwotę niewiele ponad 42 mln zł. W roku ubiegłym nastąpił jej podział na część innowacyjną, która przyjęła nazwę Ryvu Therapeutics, oraz część usługową, która utrzymuje nazwę Selvita. Dziś jej wycena to ponad 200 mln zł. Drugie tyle, a może nawet więcej, jest warta spółka Ryvu Therapeutics.

Wydawać by się mogło, że te podmioty nie powinny mieć problemów z pozyskaniem środków na badania i rozwój w bankach albo na giełdzie. Jeśli więc składają wnioski o dofinansowanie z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, to fakt, że dotacje są bezzwrotne, musi mieć dla nich znaczenie. W ostatnich latach Selvita – w ramach Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój – zawarła sześć umów na łączną kwotę 112 519 812,57 zł. Spółka Ryvu Therapeutics podpisała zaś pięć umów na kwotę 126 090 901,71 zł.

Były darmowe unijne środki, których nie trzeba było zwracać, za to trzeba było szybko wydać. No to wydawano.

Nie najgorzej też radziła sobie inna spółka biotechnologiczna – Mabion SA. Przyznano jej trzy bezzwrotne dotacje na kwotę 118 695 881,5 zł.

Za to wybitnymi osiągnięciami może się pochwalić Celon Pharma, której w latach 2007-2013 udało się pozyskać dotacje na kwotę nie mniejszą niż 66 mln zł. Dziś jej wycena zbliża się do 2 mld zł. Od dawna jest ona aktywna na rynkach międzynarodowych i jej przyszłość – jak się wydaje – jest zabezpieczona. W maju br. Celon Pharma podpisała umowę z NCBR na dofinansowanie prac badawczo-rozwojowych na kwotę 31,2 mln zł. Była to skromna część środków, które udało się jej pozyskać. W ostatnich latach spółka zawarła aż 14 umów na bezzwrotne dofinansowanie, łącznie na kwotę 327 408 167,29 zł!

Na tym tle osiągnięcia braci Szumowskich nie wydają się imponujące.

Coś jest nie tak

Głosiciele myśli liberalnej wszelką pomoc ze strony państwa dla bezrobotnych, osób starszych, niepełnosprawnych itp. zwykli nazywać rozdawnictwem. I przestrzegają przed

finansowaniem tzw. patologii, która nie orze, nie sieje, tylko pije.

Inaczej rzecz wygląda, gdy środki publiczne trafiają do sektora bankowego, górnictwa, energetyki czy – jak w tym przypadku – prywatnych spółek działających w obszarze biotechnologii i farmacji. To są cenione inwestycje! Nawet jeśli nie przyniosą zapowiadanych efektów, a zyski trafiają do kieszeni udziałowców i kadry zarządzającej.

Oczywiście nikomu nie przychodzi do głowy, by w przypadku komercyjnego sukcesu, który jest obiecywany przy każdej okazji, oczekiwać od tych firm zwrotu choć części przyznanych dotacji. Ma to uzasadnienie w unijnych regulacjach prawnych.

Nie jest tajemnicą, że wszelkie maści lobbyści pracujący w Brukseli skwapliwie dbają, by zarówno europejskie banki, jak i wielkie zachodnie koncerny miały zapewniony dostęp do gigantycznych bezzwrotnych

dotacji i bardzo tanich kredytów, które dadzą im przewagę konkurencyjną. Bo wbrew hasłom o równości szans i zakazie korzystania z pomocy publicznej praktyka jest inna.

W 2015 r. brytyjski „Guardian” ujawnił, że Bank Światowy i Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju udzieliły niemieckiej Grupie Schwarz, do której należą Lidl i Kaufland, 900 mln dol. preferencyjnych kredytów na rozwój sieci sklepów w Polsce i w innych krajach Europy Środkowej i Wschodniej. PSS „Społem” raczej nie miałyby szans na podobną uprzejmość.

Obawiam się, że w polskich warunkach bezzwrotne dotacje unijne spełniają swoje funkcje w ograniczonym stopniu. Dane Eurostatu, które wielokrotnie przywoływałem na łamach PRZEGŁADU, wskazują, że mimo wpompowania miliardów złotych środków unijnych w programy Innowacyjna Gospodarka i Inteligentny Rozwój nasza gospodarka pod względem innowacyjności niezmiennie wlecze się w ogonie krajów Unii, wyprzedzając Rumunię i Bułgarię. Także polskie uczelnie w światowych rankingach plasują się w szóstej, siódmej i ósmej setce. I nikogo to nie interesuje.

Marek Czarkowski

Dawno powinienem o nim napisać. Ale nie chciałem – wolałem nie być posądzony o „podpinanie się”, o zajmowanie jego miejsca. A jego miejsca zajmować nie zamierzałem. Nie dorównałbym Ludwikowi ani erudycją, ani błyskotliwością, ani nawet pryncypialnością, choć tej ostatniej podobno mi nie brakuje. Dziś piszę, by dać świadectwo. Ludwik Stomma zmarł pół roku temu, 7 marca. Ja poznałem go 62 lata wcześniej, a takich, co mają tak długi staż znajomości, jest już, jak sądzę, niewielu. U mnie to się zaczęło w Krakowie, przy ulicy Szlak 5, w szkole podstawowej nr 7, 16 września 1958 r.

Tak, chodziliśmy razem do szkoły. Ludwik, kojarzony z Warszawą i Paryżem, urodził się w Krakowie i tu spędził najwcześniejsze lata. Jego rodzice, Elwira i Stanisław Stomma, mieszkali z dziećmi, Magdaleną i Ludwikiem, przy ulicy Czarnowiejskiej. Dla nas w klasie Magda była światem zupełnie innym: nie dość, że dziewczyna, to jeszcze o dwa lata starsza, a szkoła była męska. Ludwik, młodszy od Magdy, był jednak starszy ode mnie: gdy się poznaliśmy, ja miałem lat siedem, on – osiem i pół. No i on spędził już w szkole cały miniony rok, podczas gdy ja – tylko dwa tygodnie.

Od dwóch tygodni bowiem chodziłem w szkole nr 7 do klasy I c. Ale ponieważ umiałem już czytać i pisać, mama uznała, że trzeba mnie przenieść wyżej, więc tego właśnie 16 września wszedłem do klasy II a. Ale w I c zdążyłem już pozawierać przyjaźnie, toteż znalazłszy się teraz w nowym środowisku, wybuchnąłem spazmatycznym płaczem. Spazmy trwały na tyle długo, że z pierwszej ławki (mnie usadzono w drugiej) odwrócił się do mnie jakiś chłopiec, pokazał fotografię radośnie szczekającego pieska i szepnął: „Bądź zawsze taki wesoły jak ten piesek”. I to był Ludwik Stomma.

Jego odruchowa empatia. Uwaga na drugiego, wrażliwość. Gdy 40 lat później spotkaliśmy się po raz pierwszy od tych czasów, gdy sączyliśmy kawę w krakowskich Sukiennicach, dostrzegłem, że na wspomnienie niedawno zmarłego Piotra Skrzyneckiego oczy Ludwika zaszkliły się łzami. Tak, taki był, choć tej miękkości nie okazy-

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Ludwik

wał. Ale to ta empatia wyłowiła go z anonimowego dla mnie tłumu. Choć i tak zwróciłbym na niego uwagę, bo – jak się niebawem okazało – Ludwik był w klasie znakomitością. Na przerwach otaczała go gromada kolegów. A w tej gromadzie wszyscy mówili mądre rzeczy. Nie mogąc się docisnąć do Ludwika, stałem w ostatnim rzędzie kółeczka, ale to wystarczyło, by w tym właśnie gronie usłyszeć po raz pierwszy słowa „bitwa o Monte Cassino”. Oczywiście najwięcej mądrych rzeczy mówił sam Ludwik – reszta na ogół słuchała.

Gdy tego pierwszego dnia wróciłem ze szkoły do domu, gdy ochłonałem po tylu strasznych przeżyciach, opowiedziałem mamie o chłopcu od wesołego pieska i o tym, że nosi on dziwne nazwisko. A mama poprosiła, bym tego chłopca zapytał, czy nie jest on przypadkiem synem pośła na Sejm. I żeby przy jakiejś okazji sprawdził, czy aby na pewno chodzi on na religię, bo może władze znów nas oszukują. Wiedziałem, co to religia, nie wiedziałem natomiast, co to „pośła na Sejm”, lecz wyuczyłem się tej kwestii i nazajutrz wyrecytowałem ją Ludwikowi. Kiwnął głową i wrócił do rozmów z przyjaciółmi. A na religię chodził. To nie było trudno sprawdzić – lekcje odbywały się w szkole. W dorosłym wieku zostałem ateistą.

Nie zostałem przyjacielem Ludwika – na to (choć nikt mi tego nie powiedział) byłem za mały. Toteż tylko słuchałem, gdy koledzy opowiadali, jakie to wczoraj na Czarnowiejskiej były imieniny Ludwika, a jakie znów jego urodziny i ilu chłopców do niego przyszło. Gdy jednak z nową klasą już się oswoiłem, gdy zadzierzgałem nowe przyjaźnie i gdy by-

łem na najlepszej drodze, by nawet zaprzyjaźnić się z Ludwikiem – on nagle przeprowadził się do Warszawy. Zatarło mi się w pamięci, jak to się odbyło i czy było jakieś klasowe pożegnanie (może chorowałem w tym momencie), wiem tylko, że to rozstanie klasa bardzo przeżywała. Jednak Stanisław Stomma, poseł na Sejm, dostał właśnie mieszkanie w Warszawie (wszyscy wiedzieliśmy, że na Starym Mieście, na Kanonii) i teraz mógł już na miejscu pilnować spraw Polski. Oraz spraw Kościoła. A był to czas trudny, w klasie niebawem zaczął krążyć dowcip: „Jaka jest różnica między Gomułką a kurą?

rzadziej przyjeżdżał do Polski, więc przez kolejne lata spotykaliśmy się tylko w Laskach – na pogrzebach jego rodziców: w roku 2005 – ojca, w rok później – matki. Przy tych smutnych okazjach zaznajomiłem się z żoną Ludwika, Basią, bo jego siostrę, której nie zdążyłem ujrzeć w czasach szkolnych, poznałem wreszcie w latach 90. w Ottawie. A potem, nieustannie przez Ludwika zapraszany, spędziłem z nim parę lutowych dni w jego romantycznym domu pod Paryżem, w La Ferté-sous-Jouarre. Poglądy mieliśmy identyczne, pewnie po trosze pokoleniowe, podobne też chyba były

Dla mnie Ludwik Stomma będzie już zawsze tym chłopcem z pierwszej ławki, który się mną zaopiekował.

Kura znosi jaja, a Gomułka święta”. Więc Stanisław Stomma przeprowadził się do Warszawy, aby Gomułka święt nie znosił.

W czasach szkolnych ujrzałem potem Ludwika już tylko raz: przyjechał z tej swojej Warszawy (ja w niej nigdy jeszcze nie byłem) i czekał pod szkołą na koniec naszych lekcji. Nie wiem, czy miałem śmiałość do niego przemówić, w każdym razie natychmiast nadbiegła cała już klasa, wszyscy rzucili się na Ludwika, znów wokół niego zrobiło się kółeczko, a każdy krzyczał tak głośno, że – dziw nad dziwy – po raz pierwszy głos Ludwika utonął w tym gwarze.

I ponownie spotkaliśmy się dopiero po wspomnianych 40 latach. Jeszcze dziś widzę Ludwika na tle Sukiennic, jak podąża w moim kierunku, z przewieszoną przez ramię torbą podróżną, siwy już teraz – tak jak jego ojciec. Potem coraz już

nasze wrażliwości. Czy jednak mieliśmy wspólną tzw. chemię – tego już nie jestem pewien. Lecz cały ten dorosły już czas czytaliśmy nawzajem swoje teksty. Po którejś z moich książek Ludwik opublikował w „Polityce” entuzjastyczny felieton „Romanowski pamięta”. Cóż, pamięta – nawet do dziś. Tyle że mijają właśnie te 62 lata – tak lekkomyślnie przeze mnie roztrwonione.

Ludwik Stomma pozostawił olbrzymi dorobek – naukowy i publicystyczny. Co dwa tygodnie czytaliśmy na tych łamach jego Sherry Brandy. Tak, miał tu miejsce własne i nikt go już nie zastąpi. Lecz dla mnie – niech mi to zostanie darowane – będzie już zawsze tym chłopcem z pierwszej ławki, który się mną zaopiekował. A jego ówczesne życzenia, bym był „wesoły jak ten piesek”, dziś nabrały jakże nowych znaczeń.

Robert Walenciak

O tym, że nie wiadomo, kto prowadzi w Polsce politykę zagraniczną, że MSZ jest ministerstwem marginalnym i ma tam miejsce kuriozalna polityka kadrowa, pisaliśmy od wielu miesięcy. Medialne wypowiedzi Jacka Czaputowicza, Witolda Waszczykowskiego i innych prominentnych postaci PiS nasze opinie potwierdzają. Byli ministrowie słowo w słowo powtarzają to, co mówiliśmy wcześniej. W dodatku nic nie zapowiada, by ten stan miał się zmienić.

Gdzie jest pilot?

Pytanie numer 1 – kto w Polsce prowadzi politykę zagraniczną? Okazuje się, i przyznaje to sam minister (już były), że nie szef MSZ. Owszem, są obszary, gdzie może „poszaleć”, ale ostateczny głos nie do niego należy. Zarówno w sferze działań, jak i kadr. A do kogo należy? Czaputowicz w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” przyznaje, że musiał się przystosowywać do opinii i żądań „większych graczy”. Rzadko kiedy kompetentnych: „Zorientowałem się, że ci, którzy zajmują się polityką zagraniczną z doskoku, widzą ją inaczej niż ja, który muszę w tym tkwić z konieczności głębiej. Wobec niektórych kwestii, jak zbliżenie z Ukrainą, Litwą czy nawet Niemcami, były różne opinie. Działiałem więc na własną odpowiedzialność, jednak później moje działania były zwykle akceptowane, chociaż zdarzały się spięcia”.

O kim myśli, gdy mówi o tych, którzy zajmują się polityką zagraniczną „z doskoku”? Odpowiedź jest prosta – może tak mówić tylko o swoich zwierzchnikach: prezydencie Andrzej Dudzie, premierze Mateuszu Morawieckim i Jarosławie Kaczyńskim. Ale to nie koniec listy ośrodków, które próbowały kształtować politykę zagraniczną – są też na niej klub poselski PiS i sejmowa Komisja Spraw Zagranicznych. A także ambitni koalicjanci, np. Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry. I te ośrodki próbowały narzucać Czaputowiczowi swoją wolę w różnych sprawach. Przykładów, że tak było (i jest), nie brakuje.

W styczniu 2018 r. Sejm przyjął nowelizację ustawy o IPN. Wprowadzała ona kary pozbawienia wolności



Jacek Czaputowicz, który zastąpił Witolda Waszczykowskiego, od początku kierowania MSZ był deprecjonowany przez liderów PiS.

MSZ to dziś atrapa

Gdzie jest polska polityka zagraniczna? Kto ją prowadzi?

„za przypisywanie narodowi lub państwu polskiemu odpowiedzialności za zbrodnie popełnione przez nazistowskie Niemcy”. W Izraelu i USA ustawę odebrano jako próbę zastraszenia i zakneblowania badaczy i świadków Holokaustu. Ostatecznie po prawie pół roku awantur Polska wycofała się z kontrowersyjnych zapisów, kompromis został wynegocjowany przez europosłów PiS i podpisany w Izraelu, w siedzibie Mosadu.

Sprawa nowelizacji okazała się wielką międzynarodową kompromitacją Polski. A tak by nie było, gdyby włączono do niej MSZ. Tymczasem ze strony rządu ustawą zajmował się wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki. Innymi słowy – niezwykle delikatna ustawa, niosąca rozmaite reperkusje międzynarodowe, została oddana w ręce jednej z partii tworzących Zjednoczoną Prawicę. I prace nad nią poprowadzono z punktu widzenia interesów Polski skandalicznie.

Innym przykładem jest afera związana z zablokowaniem *agrément* dla ambasadora Niemiec Arndta Freytaga von Loringhove. Blokada trwała trzy miesiące. W dyplomacji taki gest niezgody na ambasadora jest

traktowany jako otwarcie nieprzyjazny i w zasadzie się nie zdarza. Żeby uniknąć nieporozumień, przed wysłaniem wniosku o *agrément* sonduje się, czy państwo przyjmujące nie będzie miało nic przeciwko nowemu ambasadorowi. Tak też było w tym przypadku. Minister Czaputowicz musiał na propozycję przyjazdu ambasadora odpowiedzieć pozytywnie, więc blokada go ośmieszyła. W tej sytuacji powód, dla którego Polska zwlekała z *agrément*, jest już sprawą drugorzędną. A jaki właściwie był ów powód? Wymieniano ich kilka. Stronę polską raziło, że ojciec von Loringhove był pod koniec wojny jednym z adiutantów w kwaterze głównej Hitlera. Polskiej prawicy miały również przeszkadzać poglądy ambasadora dotyczące praworządności czy stosunku do planowanej ustawy o dekoncentracji mediów. Była też mowa, że w ten sposób Jarosław Kaczyński chciał podkreślić niezależność i „twardość” wobec Niemiec. Którakolwiek z tych przyczyn była prawdziwa – tak czy inaczej zachowanie strony polskiej pokazuje jej nieprofesjonalizm. I słabość szefa MSZ, którego opinie okazywały się bez znaczenia.

Pierwszy rozbiór MSZ

Słabość MSZ w systemie państwa PiS przyniosła taki skutek, że ministerstwo zostało rozebrane. Wycięto z niego kilka obszarów: politykę europejską, politykę atlantycką i – o czym rzadziej się mówi – zespół działań związanych z promocją polskiej gospodarki i eksportu. Polityka europejska, czyli dawny Komitet Integracji Europejskiej, trafiła wraz z wiceministrem Konradem Szymańskim do kancelarii premiera. Sprawy atlantyckie, czyli związane ze stosunkami z USA oraz sprawami obrony – to stało się domeną kancelarii prezydenta Dudy. Jakże są tego efekty?

Czaputowicz je wymienił. Owszem, przeniesienie spraw europejskich do kancelarii premiera ułatwia koordynowanie implementacji europejskich postanowień, bo mocniejszą pozycję wobec szefów różnych resortów ma premier niż minister spraw zagranicznych. Ale na tym zalety się kończą.

Nie sposób np. oddzielić w kontaktach z państwami europejskimi spraw dwustronnych od europejskich. Mówił o tym Czaputowicz: „Unaoczniła to moja ostatnia wizyta w Hiszpanii, gdzie minister Arancha Sanchez Gonzalez chciała rozmawiać praktycznie wyłącznie o Wieloletnich Ramach Finansowych i Funduszu Rozwoju. Podobnie Heiko Maas podczas czerwcowej wizyty w Warszawie mówił, że Niemcy będą chciały rozstrzygnąć kwestie budżetowe na pierwszym posiedzeniu Rady Europejskiej. Tymczasem ta wiedza, którą miałem jako minister spraw zagranicznych, nie przeniknęła w żaden sposób do KPRM. Z przebiegu posiedzenia Rady Ministrów wynikało, że nastawiamy się na wielomiesięczne negocjacje. Pokazuje to jednak, że bez wykorzystania MSZ nasza polityka europejska będzie ułomna”.

Innym problemem, który w związku z wyłączeniem spraw europejskich z MSZ się pojawił, były ambasady. Powstał bowiem spór, komu powinna podlegać ambasada RP przy UE – MSZ czy kancelarii premiera? Jaki powinien być klucz do jej obsady? A jak powinny być zorganizowane ambasady w państwach Unii? Szybko stało się to kwadraturą koła.

Przesunięcie spraw europejskich pod skrzydła premiera zmieniło też równowagę polityczną wewnątrz

obozu władzy. Czaputowicz dosyć dobrze to opisał: „Wcześniej premier był rozjemcą w sporach między ministrami, jak choćby między ministrem Ziobrą a mną ws. praworządności czy taktyki postępowania przed TSUE. Dzisiaj premier stał się stroną sporów z ministrem Ziobrą”. I musi wysłuchiwać publicznych żądań swojego ministra.

MSZ – kolos upadły

W III RP MSZ należało do najważniejszych resortów. Koordynowało działania związane z członkostwem Polski w NATO i w UE. A później – ze staraniami o jak najmocniejszą pozycję w ramach zachodnich struktur. Polska PiS tę politykę zakwestionowała, opisując ją jako politykę służalczości wobec Zachodu. Zaproponowała w to miejsce „politykę wstawania z kolan”, budowę Międzymorza czy sojusz polsko-węgierski.

Te działania firmował poprzednik Czaputowicza, Witold Waszczykowski. W krótkim czasie udało mu się skłócić Polskę praktycznie ze wszystkimi. I ograniczyć działania międzynarodowe do USA (żeby założyły u nas bazę wojskową, za którą będziemy

MSZ jest ministerstwem marginalnym, ma tam miejsce kuriozalna polityka kadrowa.

płacić), do UE (żeby przekazywała nam pieniądze i nie komentowała spraw praworządności) oraz propagowania pisowskich wyobrażeń o świecie. Na przykład wyświetlania filmu „Smoleńsk”. W tym czasie z agendy polskiej polityki zagranicznej zniknęła polityka wschodnia, chyba że za takową uznamy różne nieskoordynowane gesty, oraz polityka wobec Bliskiego i Dalekiego Wschodu. Skończyło się to wszystko izolacją Polski, czego symbolem był nieudany sprzeciw wobec kandydatury Donalda Tuska na przewodniczącego Rady Europejskiej – owo słynne 27:1.

Co w polityce międzynarodowej oznacza izolacja? Najkrócej mówiąc, kłopoty. Z takim państwem inni nie ustalają wspólnych działań, tylko o nich informują. Takie państwo, żeby coś załatwić po swojej myśli, musi płacić za to znacznie wyższą cenę. Czaputowicz w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” mówił, że próbował

Polskę z tej izolacji wyciągnąć. Że doprowadził do poprawy relacji z USA, które „zupełnie się załamały po nowelizacji ustawy o IPN”. „Udało mi się wyprowadzić z kryzysu stosunki z UE, których przyczyną był spór o praworządność – wyliczał. – Także z mojej inicjatywy doprowadziliśmy do zasadniczej poprawy stosunków z Niemcami, również gdy idzie o politykę historyczną. Do swoich sukcesów zaliczam też wyciągnięcie z głębokiego kryzysu stosunków z Ukrainą i Litwą”. Innymi słowy, potwierdza, że za jego poprzednika, Witolda Waszczykowskiego, stosunki z USA, Unią i wschodnimi sąsiadami znalazły się w głębokim kryzysie, dopiero on zaczął je naprawiać. „Starłem się unikać konfrontacji, ale szukać porozumienia – mówił. – Nie dlatego, żebym nie doceniał uwarunkowań geopolitycznych czy potrzeby realizacji interesu narodowego, lecz dlatego, że uważam, że środkiem do realizacji tego interesu jest niekonfrontacyjna postawa, przewidywalność i akceptowany przez innych język. Obecnie nie widzę możliwości wniesienia większej wartości dodanej do polskiej polityki zagranicznej, dlatego ustępuję”. W ten sposób przyznał się do porażki.

Czy mogło być inaczej? Czaputowicz od pierwszych dni kierowania MSZ był deprecjonowany przez liderów PiS, Jarosław Kaczyński nazywał go eksperymentem. MSZ było systematycznie ograniczane w swoich kompetencjach i pomijane.

Nie tylko Rasputin

Dlaczego PiS uczyniło z MSZ atrapę? Dlaczego zrezygnowało z narzędnika, jakim jest sprawna polityka zagraniczna? Po pierwsze, z powodu wyobrażenia PiS o świecie. Ta partia, jej eksperci, widzi świat ideologicznie, jako miejsce walki liberalizmu z cywilizacją chrześcijańską. Dominuje więc partyjne spojrzenie, bardzo uproszczone, na sprawy międzynarodowe. Dobrzy kontra źli. Po drugie, PiS widzi MSZ jako gniazdo żmij, resort obsadzony przez dwa klany – byłych komunistów, ich dzieci i wnuki, oraz ludzi Bronisława Geremka. PiS uważa

► ich za wrogów, z którymi dogadanie się jest niemożliwe. A ponieważ nie może ich wszystkich wyrzucić od razu, wyrzuca na raty, budując ośrodki prowadzące politykę zagraniczną gdzieś z boku, w kancelarii Andrzeja Dudy czy kancelarii premiera.

To spojrzenie, kadrowe, ideologiczne, określa miejsce MSZ w polskim systemie władzy. Witold Waszczykowski próbował zachować mocną pozycję ministerstwa, prowadząc agresywną politykę wobec państw Europy Zachodniej, zmieniając ambasadorów, wprowadzając ustawy, które pozwalały wyrzucać urzędników niepasujących do nowych czasów. Skończyło się marnie, Waszczykowski odszedł w niesławie. Czaputowicz próbował łagodzić, szedł na ustępstwa – też skończyło się klęską, w polityce bowiem słabemu inni wchodzi na głowę.

Efekt jest taki, że w kierownictwie MSZ, a pisaliśmy o tym wielokrotnie, nie ma nikogo, kto znałby się na pracy ministerstwa, kto wcześniej w nim pracował lub był na placówce. Są za to ludzie z politycznego nadania,

polityczni komisarze swoich środowisk. Minister Zbigniew Rau nie pracował nigdy w MSZ, nie zajmował się polityką zagraniczną (poza krótkim szefowaniem sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych), był wcześniej wojewodą łódzkim. Jego nominacja to efekt wygranej twardych pisowców z kandydatem kancelarii prezydenta, Krzysztofem Szczerskim.

W kierownictwie MSZ nie ma nikogo, kto znałby się na polityce zagranicznej.

Zastępcy Raua? Szymon Szykowski vel Sęk to były poseł Solidarnej Polski, człowiek Zbigniewa Ziobry. W MSZ nie pracował. Podobnie jak Piotr Wawrzyk, adiunkt w Instytucie Europeistyki, uznawany za eksperta PiS. Paweł Jabłoński, adwokat, przeszedł do MSZ z kancelarii premiera. Z kolei Marcin Przydacz to prawnik z UJ, członek Klubu Jagiellońskiego, w latach 2015-2019 zastępca dyrektora Biura Spraw Zagranicznych w Kancelarii Prezydenta RP.

Oto mapa kierownictwa MSZ: człowiek z PiS, człowiek od Ziobry, człowiek od premiera i człowiek od prezydenta. O ministerstwie i dyplomacji mają pojęcie ograniczone. Mówi o tym sam Czaputowicz: „Zostałem następcą obsadę stanowiska podsekretarza stanu. Powinien to być zawodowy dyplomata, gdyż bez wzmocnienia kierownictwa resortu

o kompetencje ściśle dyplomatyczne trudno będzie skutecznie prowadzić politykę zagraniczną. Na poziomie ministra i wice-

ministrów nie ma obecnie w MSZ nikogo, kto przeszedł przez szkołę dyplomatyczną, szczeble kariery czy był choćby na jakiejś placówce”.

I tylko można się dziwić, że sam tolerował taki stan rzeczy. Tak jak można się dziwić, że przez lata tolerował na stanowisku dyrektora generalnego Andrzeja Papierza. I że MSZ za Czaputowicza wyglądało tak, że minister robił swoje, wiceministrowie nabierali wiedzy, a rządził Andrzej Papierz, któremu podlegały kadry. Jak rządził (rządzi)? Ocenę tych działań wystawił w wywiadzie dla „Super Expressu” Witold Waszczykowski: „Trzeba by się pozbyć lub zdyscyplinować w MSZ pewnego »Rasputina«, który tam rządził i nie pozwalał prowadzić polityki poprzedniemu ministrowi”. Nikt nie ma wątpliwości, że myślał o Papierzu. O jego brutalnym postępowaniu z dyplomatami i skandalach, których był częścią. O tych skandalach w MSZ się opowiada, część można znaleźć na forach, raczej należą do grupy skandali obyczajowych. Co nie dziwi, bo Papierz nie jest typem intelektualisty.

A skąd wzięła się jego siła? Kto go popierał? Oczywiście nie mamy zamiaru (ani możliwości) dociekać, czy jest oficerem kadrowym ABW lub innej służby, ale oficjalnie jest podane, że pracował w UOP. Wcześniej razem z Mariuszem Kamińskim działał w Lidze Republikańskiej. To widocznie wyzwała w nim poczucie bezkarności.

Oto MSZ, kolos upadły, postrach PiS. Atrapa polskiej polityki zagranicznej. Co gorsza, i tę politykę trudno traktować jako coś poważnego. To raczej wypadkowa działań koterii tworzących aparat władzy i różnych pomysłów. Smutne.

Robert Walenciak

DOKUMENTY KOMISJI GENERAŁA SIKORSKIEGO



45 zł

**Najpierw „góra” zaczęła uciekać,
nie tylko w wojsku, ale i w administracji.
Nic dziwnego, mieli przecież
czym uciekać i za co.**

WWW.SKLEP.TYGODNIKPRZEGLAD.PL

Wpłat 45 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Nos Kleopatry, wąs Wałęsy, palec Margot

Jest prawem żartownisiów felietonistów mieszać zdarzenia, wiązać niepowiązywalne, łączyć odległe, kojarzyć nieskojarzalne. Wszystko po to, żeby próbować odnajdywać sensy i znaczenia trudniej widoczne, kiedy trzeba się posługiwać bardziej rygorystycznymi narzędziami opisu świata politycznego. Aforyzm Blaise'a Pascala: „Gdyby nos Kleopatry był krótszy, całe oblicze ziemi wyglądałoby inaczej” jest doskonałym punktem oparcia do wariacji intelektualnych na temat roli przypadku w historii, uznania potęgi drobiazgu, nieistotnej kwestii, zdawkowego gestu w czymś, co mogło zmienić bieg historii. Próbuje zestawiać ze sobą niezderzalne przecież imaginaria. Potęgę starożytnego Egiptu i Rzymu, obok rewolty robotniczej Solidarności, która zrodziła, a potem została pożarta przez najbardziej antypracowniczy wariant współczesnego kapitalizmu, zestawiać z wystawionym w „wulgarnym” geście palcem aktywistki ruchu LGBT, która z powodów politycznych trafia w środku rządowej kampanii nienawiści do aresztu za ewentualne wykroczenie? A może jednak to zestawienie niesie w sobie więcej racjonalności, niż moglibyśmy na pierwszy rzut oka się spodziewać? Upadające potęgi, kruszące systemy, znikające oczywistości, przegrywający satrapowie – oni wszyscy przy całej swojej mocy, potędze, inteligencji nie widzą nadciągającego końca. Własnego.

Sam się zdziwiłem, że w 40. rocznicę podpisania porozumień gdańskich nie poświęciłem im ani słowa. Historia tego ruchu, opozycja w PRL, polityczne trzęsienie polskiej ziemi, transformacja 1989 r., przebudowa systemu (globalna jednak, nie czysto nadwiślańska), upadek ZSRR, fukuyamowski koniec historii – wszystko to mnie ukształtowało, naznaczyło, pokierowało, chwilami pogładziło po głowie. Czy bawiąc się

w przywoływaniu rzekomej reakcji Towarzysza Mao, który na pytanie o znaczenie rewolucji francuskiej (choć dotyczyło chyba raczej wydarzeń 1968 r.) miał odpowiedzieć: „Jest jeszcze za wcześnie na ocenę”, po prostu usiłuję zatuszować swoją bezradność w ocenie tego, czym była i co sprawiła Solidarność? Tak, po części mam przekonanie, że ta forma tekstu tego nie udźwignie, a na większą, obszerniejszą, pełniejszą próbę brak mi sił i czasu. To jest opowieść tak wielowątkowa, pogmatwana i świadomie

Upadające potęgi, kruszące systemy, znikające oczywistości nie widzą nadciągającego końca. Własnego.

deformowana oraz nieświadomie przeinaczana – że wybrałem milczenie. Jest i będzie już historia Solidarności jednym z niezatapialnych polskich sporów, będzie wymagała obalania pomników, nowych tropów interpretacyjnych, szerszych kontekstów – a na koniec i tak się okaże, że wygrywa prostacki plebiscyt, czy Lech był Bolkiem, albo karkołomna próba wywindowania trzeciorzędnego działacza tego ruchu na jego papieża, herosa, giganta. Tak, mówię o wysiłkach Jarosława Kaczyńskiego, żeby kanonizować swojego nieżyjącego brata i podstawić go w miejsce nieakceptowanego Wałęsy. Ale nie to jest istotne w całej sprawie. Dzisiaj ważne jest opowiedzenie na nowo historii i dokonań PRL, zmiecionych i przemilczanych w całym procesie transformacyjnym. Zdegenerowanie się samej nowej władzy jest dość podręcznikowe i schematyczne, szkoda energii.

Zapytam sam siebie, co ma do tego Margot. I jej fuckowy palec wyciągnięty po opuszczeniu aresztu w stronę kamer telewizyjnych, czyli *de facto* w stronę zarówno obecnej opresyjnej władzy PiS, aparatu przemocy, jak i pozornych liberalnych sprzymierzeńców samej

aktywistki, która zdaniem choćby Jana Hartmana czy Tomasza Lisa nie okazała należytej wdzięczności za wyrazy politycznego wsparcia udzielone jej przez te środowiska w czasie uwięzienia. Ten rodzaj paternalistycznego dyscyplinowania jest dość charakterystyczny dla wielu innych działań i opinii świata, który utracił rząd dusz, po tym jak wyobrażał sobie, że go sprawował. Ten liberalny świat nie rozumie swojej odpowiedzialności za systemową przemoc, którą, zawłaszczając m.in. opowieść solidarnościową,

żyłował i fundował wcześniej całym rzęszom wykluczonych z innych powodów niż tożsamości seksualne i prawa mniejszości LGBT.

Tak więc odwieczny taniec wolności trwa i palec Margot dużo lepiej opisuje jego rytm i melodię niż dyscyplinujące lamenty publicystów antypisowskich.

I tylko Solidarności żal, i milionów wykluczonych, którzy utracili słowo klucz do idei mogącej ucywilizować ten straszny, opresyjny kapitalizm. Wspólny dla zbyt wielu naraz.

ROMAN KURKIEWICZ

PONIEDZIAŁEK / 07:00 - 10:00
CZWARTEK / 21:00 - 23:00

SŁUCHAJ NA WWW.HALO.RADIO
LUB PRZEZ APLIKACJĘ MOBILNĄ
HALO.RADIO NA IOS I ANDROID

HALO RADIO
MEDIUM DŁUGOWIĄTKOWE

Jarosław Dobrzański

Wojna o Białoruś

Milcząca większość nie chce, by jej kraj
był poligonem doświadczalnym
i próbą generalną przed Moskwą

Temat zawirowań politycznych na Białorusi nie schodzi z pierwszych stron gazet i czołówek wiadomości telewizyjnych. Ale w tym szumie medialnym więcej jest banałów, frazesów, dezinformacji i mitologii politycznej niż rzetelnej prezentacji faktów, nie mówiąc już o ich analizie. Zaściankowe polskie media i „politycy” znają tylko jedno „wyjaśnienie” o uniwersalnym zastosowaniu. Niepokoje u wschodniego sąsiada kojarzą im się z karnawalem Solidarności: lato białoruskie miałoby być przebudzeniem społeczeństwa od ćwierć wieku ciemzonego przez narzuconą i wrogą mu władzę. „Jest nieoczekiwane wiele podobieństw między obecną sytuacją na Białorusi a wydarzeniami w Polsce w 1980 r.”, ocenił ambasador Polski przy Unii Europejskiej Andrzej Sadoś w artykule „Białoruś – lekcje polskiej Solidarności”. To błędne rozumowanie, które w Polsce uchodzi za polityczny aksjomat i podstawę legitymizacji posolidarnościowego reżimu, podzielany niemal przez wszystkie partie, od „postkomunistów”, przez narcystyczną „lewicę”, do POPiS.

Zachowana została z czasów radzieckich i rozwinięta polityka dotowania konsumpcji zbiorowej i indywidualnej.

Zapytajmy zatem, o co dziś walczą demonstrujący na ulicach białoruskich miast i czy na pewno o to, co było kiedyś celem Solidarności. Najpierw jednak musimy odpowiedzieć na pytania, czym jest dzisiejsza Białoruś i skąd się wzięła. Jaki charakter oraz legitymację ma funkcjonująca tam władza? Kto ją popiera? Kto jest przeciw niej?

Poradziecki skansen

Dawna republika radziecka jest dziś reliktem systemu, który się rozpadł w 1991 r. W strefie poradzieckiej jest państwem najbardziej przypominającym dawne porządkie, co ma swoje gorsze i lepiej znane za granicą strony, takie jak przestarzała struktura gospodarki, uzależnienie ekonomiczne od kooperacji z Rosją, scentralizowana administracja, autorytarny system władzy i dominacja

resortów siłowych. Anachroniczność białoruska ma jednak także pewne plusy, na ogół niezauważane i niedoceniane za zachodnią granicą. Na Białorusi nie odrodziły się złe duchy z czasów przedrewolucyjnej Rosji, takie jak nacjonalizm, szowinizm, antysemityzm, które stały się plagą wielu republik poradzieckich, teoretycznie bardziej demokratycznych. Nie doszło do anarchizacji systemu politycznego i jałowej konkurencji o władzę przy rozpadzie struktur gospodarczych i społecznych. A przy całym autorytarzmie i uporczywym trwaniu u władzy Łukaszenki nie powstała tam także struktura klanowo-dynastyczna w stylu afrykańskim, znana z republik azjatyckich, której jaskrawym przykładem jest Kazachstan. Kraj nie doznał negatywnych

skutków gwałtownej, nieliczącej się z kosztami społecznymi terapii szokowej, jakich doświadczyły inne byłe republiki. Przeorała ona bezlitośnie całą strukturę ekonomiczno-społeczną wielu nowo powstałych państw i skazała miliony ich obywateli na deklację, trwałe upośledzenie ekonomiczne i ogromne trudności życiowe. Białorusinom tego lekarstwa zaoszczędzono dzięki strategii politycznej Łukaszenki, który umiejętnie posklejał kraj powstały na gruzach rozpadającego się imperium. Większość siły roboczej (dwie trzecie) zatrudniona jest w państwowym sektorze gospodarki, zachowana została z czasów radzieckich i rozwinięta polityka dotowania konsumpcji zbiorowej i indywidualnej. Przykładowo koszt utrzymania mieszkania w stolicy jest pięcio-, a nawet dziesięciokrotnie niższy niż w Warszawie, Kijowie czy Moskwie. Dotowane są

energia, gaz, paliwa, usługi publiczne, służba zdrowia, edukacja, szkolnictwo wyższe i nauka. Kiedy więc młodzież mówi tam dziś, że zarobki są na poziomie 200 dol., to jest w tym tyle samo prawdy, ile w opowieściach Polaków o 20-dolarowych zarobkach w PRL. Białorusini, bez względu na pozycję materialną, wciąż mają możliwość zdobywania na państwowych uczelniach dobrego wykształcenia, które dostępne jest za darmo, a które po wyjeździe z kraju daje im przewagę konkurencyjną na Zachodzie. W innych krajach obszaru poradzieckiego i w dawnych „demoludach” nastąpiły zjawiska ostrej dywersyfikacji społecznej, deklacji mas robotniczych i części inteligencji, elitaryzacji i wielopokoleniowego utrwalenia pozycji uprzywilejowanych, powstania miejskich gett podklasy i całych obszarów wykluczenia ekonomicznego, dziedziczenia biedy i niskiej pozycji społecznej. Najistotniejszą rolę w tych procesach odegrała rabunkowa prywatyzacja dla wybranych, do której na Białorusi nie dopuściła autorytarna władza.

W swoim patriarchalnym stylu rządzenia Łukaszenka popełniał czasem błędy. Kiedy jego kraj stał się – trochę tak jak państwa dawnego obozu socjalistycznego w latach 80. – samotną wyspą na oceanie agresywnego globalizmu i neoliberalnego kapitalizmu, który uruchomił swoje mechanizmy nieuczciwej konkurencji poprzez kontrolowanie warunków międzynarodowego handlu, Łukaszenka próbował prymitywnymi metodami przeciwdziałać najbardziej szkodliwym tego skutkom. Ponieważ sztucznie zaniżona siła nabywcza mieszkańców – do której nie wliczano niskich kosztów utrzymania i hojnych usług publicznych – stała się przyczyną emigracji, zwłaszcza ludzi młodych, których pociągał blichtr zachodniej konsumpcji, by przeciwdziałać ich odpływowi



Aleksander Łukaszenka, zanim został prezydentem Białorusi, był dyrektorem PGR Gorodec.

(głównie do Rosji, Polski i dalej na Zachód), Łukaszenka wprowadził w 2012 r. prawo, które w pewnych branżach (np. drzewnej) skutkowało faktycznym przymusem pracy. Następnie, w 2015 r., zaordynował dotkliwe szkany wymierzone w „nierobów”, które nakładały specjalny karny podatek na bezrobotnych (niesławny dekret nr 3 „o zapobieganiu społecznemu pasożytnictwu”). W kraju, którego nie dotknęła plaga bezrobocia, było to kuriozum.

Rewolucja hipsterów

Jego największym błędem – w wymiarze społeczno-politycznym, z punktu widzenia zdolności zachowania władzy – okazała się jednak inicjatywa, którą nie bez racji poczytywał sobie za największy sukces. Mianowicie rozpostarcie opiekuńczych skrzydeł autorytarnego państwa nad raczkującą branżą nowych technologii cyfrowych. Jedną z przyczyn względnego białoruskiego sukcesu gospodarczego minionych lat było uniknięcie prywatyzacji. Jednak polityka Łukaszenki w tym zakresie nie była konsekwentna. Dopuścił on bowiem do powstania prywatnych firm w sektorze informatyki, co w szybkim tempie skutkowało powstaniem rozbudowanej sfery gospodarki, której wpływy przełożyły się na politykę,

ponieważ w strefie tej wytworzyła się warstwa ludzi zarabiających olbrzymie pieniądze, reprezentujących inny, zwesternizowany system wartości i zupełnie nieprzystający do swojskich i siemiężnych wyobrażeń bałki zachodni, wielkomiejski, konsumpcyjny styl życia. To ci ludzie walnie przyczynili się do kłopotów Łukaszenki, odwiedzając mu się rewolucją hipsterów, rewolucją cyfrową 2.0. Epatujący maczyzmem wąsaty hokeista, żywy relikw ZSRR o anachronicznie konserwatywnych poglądach, nie pasował już do towarzystwa metroseksualnych nerdów, którego narodzinom patronował. Oderwana od rodzimej

Koszt utrzymania mieszkania w stolicy jest nawet dziesięciokrotnie niższy niż w Warszawie, Kijowie czy Moskwie.

gleby, powierzchownie zeuropeizowana młodzież wołałaby jakiegoś Justina Trudeau lub choćby Macrona na miejscu obciachowego byłego kierownika sowchozu i politruka wojskowego. Jednak z punktu widzenia reprezentatywności władzy to wciąż autorytarny ojciec narodu, prezydent Łukaszenka, cieszy się poparciem większości społeczeństwa. 80% poparcia w wyborach to zapewne nadgorliwość i przesada, ale jeszcze większą przesadą jest twierdzenie, że wybory wygrała (większością 70%)

jakaś nikomu nieznana pani Cichanouska, żona wideoblogera oskarżającego Łukaszenkę o „kryminalne zaniedbania”, w którego domu milicja – wedle oficjalnego oświadczenia – miała znaleźć ukryte 900 tys. dol. w gotówce i którego sloganem wyborczym było wezwanie „Powstrzymać karalucha”.

Nowa oligarchia

Powszechny pogląd głosi, że dzięki polityce Łukaszenki na Białorusi, w odróżnieniu od Rosji i innych państw poradzieckich, nie powstała warstwa oligarchów. To do niedawna było prawdą, ale rzeczywistość społeczna w błyskawicznym tempie zaczęła się zmieniać. Nie licząc Białorusinów, którzy swoje imperia finansowe zbudowali w Rosji (jak Aleksander Lucenko i Andriej Klamko), Białoruś ma już miejscowych miliardów. Charakterystyczną postacią jest wśród nich Wiktor Kistyj, wywodzący się nie z handlu walutą, przemysłu wydobywczego czy chemicznego (jak Andriej Mielniczenko), lecz właśnie z branży gier komputerowych i programowania. Powstaje także grupa milionerów, którzy łącznie, jak się oblicza, stanowią 0,1% populacji. Są to przede wszystkim ludzie pracujący w obszarze usług informatycznych. Wielu z nich uległo całkowitej asymilacji i procesowi zmian kulturowych wywołanych przez globalizację. Choć ich gigantyczne majątki powstały w strefie poradzieckiej, szybko przenieśli oni główne ośrodki swojej aktywności na Zachód (do Monako, Londynu,

Nowego Jorku), tam też ulokowali pieniądze, zakupili liczne nieruchomości, tam w elitarnych szkołach kształcą dzieci. Powstaje więc załazek wysokiej burżuazji kompradorskiej, będącej na usługach i działającej na rzecz globalnej oligarchii i Zachodu, której życie związane jest z globalną oligarchią i Zachodem, ale która dąży do zdobycia wpływów politycznych, a nawet przejęcia władzy w kraju pochodzenia. Popiera ją liczniejsza, choć wciąż mniejszościowa warstwa aspirująca do klasy średniej, złożona

► z ludzi młodych, wykształconych wedle współczesnych standardów, obecnie zatrudnionych na ekonomicznie uprzywilejowanych stanowiskach w sektorze nowoczesnych technologii i w usługach „kreatywnych”. Trudno byłoby jednak uznać ich za reprezentatywną grupę, która broni interesu ogólnego. To głośna, obdarzona siłą przebiccia i świadoma swoich partykularnych celów grupa nacisku, która dysponuje zasobami i narzędziami walki politycznej, szczególnie w obszarze komunikacji internetowej i międzynarodowego PR.

Milcząca większość

Na przeciwległym biegunie struktury społecznej znajduje się większość społeczeństwa, która ceniła bezpieczeństwo ekonomiczne, stabilność zatrudnienia, bezpłatną opiekę medyczną i bogaty pakiet usług publicznych. Nieżyczliwie i krytycznie wobec białoruskiej ścieżki ewolucji od ZSRR do niepodległości zagraniczne ośrodki opinii publicznej określały Białoruś jako Wenezuelę Europy (amerykański magazyn oligarchii biznesu „Forbes”), ostatnią dyktaturę itp. Prym wiodły finansowane przez polskiego podatnika i prowadzące wojnę propagandową z władzą na Białorusi telewizja i serwis internetowy Bielsat. Wystarczy jednak zerknąć na twarde dane, by natychmiast odrzucić te uprzedzone i podyktowane zimnowojenną agresją

Facebookiem i chwilą bieżącą hipsterskiej młodzieży starsi mieszkańcy Białorusi dobrze pamiętają czasy upadku ZSRR, rosyjską smutę doby Jelcyna, niepewność i nędzę w pierwszych latach po usamodzielnieniu się i kryzys w latach 2006-2007. Pamiętają też, co zrobiły z Ukrainy kolejne majdanowe przewroty i jaki los spotkał republiki poradzieckie, w których dokonały się dobrze wyreżyserowane i sponsorowane z zewnątrz kolorowe lub kwiatowe rewolucje. Nie chcieliby, aby ten sam los spotkał ich kraj. Nie chcieliby też, by ich kraj stał się poligonem doświadczalnym w nowej zimnej wojnie, by Mińsk był próbą generalną przed Moskwą.

Rosyjski łącznik

Rosja w odniesieniu do konfliktu na Białorusi ukazywana jest w polskich mediach w roli złego demurga, który chciałby ujrzeć rozwiązanie siłowe pacyfikujące wybuch niezadowolenia, ale nie za bardzo może sobie pozwolić na widoczną bezpośrednią ingerencję. Putin – jak utrzymują polscy komentatorzy – zaciskając zęby, popiera Łukaszenkę, choć jest nim zdegustowany do tego stopnia, że mógłby się zgodzić na zastąpienie go kimś innym. Rosja w tych analizach widziana jest jako monolit, odradzające się imperium z czasów ZSRR, które chciałoby na każdym kroku stosować bandyckie metody, gdyby nie powstrzymywał go lęk przed

tonie relacjonowały zdarzenia: promoskiewska stacja NTV, państwowa Rossija 24, a także sponsorowana przez władze RT, która w USA i w Polsce uchodzi za międzynarodową tubę propagandową Kremla. Swoje trzy grosze dorzucił skandalista Żyrinowski, mówiąc, że „solidaryzuje się z wszystkimi represjonowanymi, którzy powinni zostać zwolnieni. Wyborcy odmówili zaufania Łukaszence. Aleksandra Grigoriewicza [Łukaszenkę] czeka los Janukowycza”. Nie ma więc jednej Rosji. Ścierają się tam różne opinie i interesy. Zglobalizowana rosyjska burżuazja związana z resortami gospodarczymi oraz prywatnymi gigantami finansowymi i przemysłowymi chętnie przejęłaby w drodze prywatyzacji ogromne przedsiębiorstwa państwowe Białorusi. Szczególnie te z branży przemysłu chemicznego (takie jak potentat na światowym rynku soli potasowych Belaruskali, wokół którego toczyły się już wojny gospodarcze oligarchów rosyjskich z władzą na Białorusi), w której Rosja napotyka konkurencję białoruską na rynku chińskim. A ulokowana w resortach siłowych burżuazja narodowa chętnie przejęłaby fabryki maszyn, ciągników siodłowych i gigantycznych ciężarówek, dla których jedyną konkurencją są Komatsu i Caterpillar, a które powiązane są ściśle z rosyjskim sektorem industrialno-wojskowym. Skupiona w tych kręgach rosyjska burżuazja narodowa ciągnie w swoją stronę, podczas gdy Kreml balansuje pomiędzy konkurującymi grupami nacisku. Choć reżim Łukaszenki nie odwoływał się do białoruskiego nacjonalizmu, logika strategii pilnowania suwerenności skłoniła go do lawirowania między Rosją a USA i Europą. Kiedy się okazało, że ceną za subsydiowane dostawy rosyjskiej ropy miała być ściślejsza integracja z Rosją, Łukaszenka zaczął się ociągać i umizgiwać do Zachodu. Szybko się przekonał, że zbliżenie z Ameryką (w Mińsku po latach nieobecności zainstalowała się placówka USA) oznacza poważne kłopoty. Zrobił więc wymuszony zwrot w kierunku Rosji. Jednak nie jest raczej przypadkiem, że wszyscy opozycjoniści białoruscy odbywali staże w ośrodku szkoleniowym Departamentu Obrony USA, Marshall European Center for Security Studies w Garmisch-Partenkirchen, „uniwersytecie amerykańskiego imperializmu”.

Dotowane są energia, gaz, paliwa, usługi publiczne, służba zdrowia, edukacja, szkolnictwo wyższe i nauka.

opinie. Białoruś nie jest krajem ludzi żyjących co prawda w poczuciu minimalnego bezpieczeństwa socjalnego, ale w biedzie. Pod względem wskaźników rozwarstwienia społecznego, nierówności i odsetka ludzi żyjących w ubóstwie Białoruś wypada lepiej niż kraje dużo bogatsze, w tym cała Unia Europejska. Poziom życia jest tam nieporównanie wyższy niż na „demokratycznej” Ukrainie czy w innych poradzieckich republikach, mimo startu w 1991 r. z niższego niż one pułapu i mimo braku bogactw naturalnych i sówitego spadku po ZSRR w postaci zagłębi przemysłowych, jak na Ukrainie. W odróżnieniu od niemałej cierpliwości dla historii, żyjącej

międzynarodowymi sankcjami i ostracyzmem. Tymczasem opinie w Rosji o sytuacji na Białorusi są bardzo zróżnicowane. Garść przykładów: „Kolejki do lokali wyborczych ciągnęły się kilometrami. To nie byli ludzie desperowani, by głosować na władzę. W tych kolejkach stali ludzie żywiący nadzieje na zmiany (...). Tymczasem pogardliwie rzucono im kość – 10% na kandydatkę opozycji. Ludzie zostali obrażeni. Strzegący za pomocą bagnetów swoich 80% prezydent Białorusi zderzył się z rzeczywistym problemem”. To nie cytaty z „Gazety Wyborczej” ani „New York Timesa”, tak pisała „Komsomolskaja Prawda”, prokremlowski tabloid. W podobnym



Powyborcze protesty w Mińsku 30 sierpnia 2020 r.

Czy Białoruś zdoła zachować suwerenność nie tylko w sensie politycznym, ale również w sensie utrzymania niezależności swojego sektora finansowego i przemysłowego, pozostanie na jakiś czas kwestią otwartą. Zastąpienie Łukaszenki Wiktaorem Babaryką, byłym szefem Belgazprombanku, oznaczałoby zwycięstwo kandydata „rosyjskiego”, a dojskie do władzy nawróconego w czasie pobytu w USA na neokonserwatyzm Walerija Cepkały, kiedyś człowieka Łukaszenki, który uniezależnił się od protektora, a następnie popadł w niełaskę za sprawą podejrzeń o nieprawidłowości w zarządzanym przezeń parku technologii, byłoby sukcesem USA. W obu przypadkach Białoruś weszłaby na drogę przyspieszonej prywatyzacji i intensywnej terapii neoliberalnej. Pewne jest jedno – że Białoruś stała się solą w oku wszystkich tych, którzy wierzą w bezalternatywność neoliberalnej terapii szokowej jako drogi wyjścia z dawnego ustroju.

Podwójne standardy

Pod względem ustroju politycznego Białoruś to nie demokracja, a ostatnie wybory budziły wątpliwości, ale czy w obalonych przez Amerykanów i ich sojuszników dyktaturach w Afganistanie, Iraku, Libii zapanowała demokracja? Czy w Polsce, w której od 30 lat panuje obóz solidarnościowy podzielony na skłócone sekty („lewica”, gdy nominalnie

rządziła, bała się posługiwać instrumentami władzy), nie odbyły się niedawno wybory poprzedzone nierówną konkurencją i nieuczciwą kampanią medialną? I czy całe społeczeństwo jest w niej należycie reprezentowane? Czy w demokratycznej Francji nie mamy do czynienia od prawie dwóch lat z nieustającym buntem społecznym bezwzględnie tłumionym przez siły bezpieczeństwa i czy wybory są tam czymś więcej niż

Białorusini wciąż mają możliwość zdobywania za darmo dobrego wykształcenia na państwowych uczelniach.

przetasowaniem w łonie oligarchii? Czy do podobnie brutalnych ekscesów sił policyjnych nie dochodzi od dawna w oazie demokracji, USA? Czy nie jest prawdą, że prawie każde amerykańskie wybory prezydenckie w ostatnich dekadach były kwestionowane? Czy nie jest faktem, że w owych wyborach w ostatnich dekadach startowało aż trzech członków magnackiego klanu Bushów, w tym dwóch z powodzeniem, a trzeci był gubernatorem stanowym? Czy reżim Łukaszenki jest bardziej krwawy od zbrodniczych junt i plutokratycznych dyktatur z Ameryki Południowej, od Pinocheta po Bolsonaro, które cieszą się wśród solidarnościowych konserwatystów i liberałów wielką estymą? Od jawnie autorytarnej dyktatury wymagamy dochowania najwyższych standardów przejrzystości

politycznej, a od nowo powstałych i utrwalonych nominalnych demokracji już nie musimy?

W oparach polskiej mitologii

W Polsce pokutują odgrzane przez Brzezińskiego i Giedroycia mity prometejskie piśsudczyzny. Marzy się naszym politykom historycznym u władzy odgródzenie Rosji od Europy kordonem sanitarnym złożonym z kiedyś bliskich, a teraz wrogich jej państw. Nie ma w tym ani krzty realizmu i odpowiedzialności politycznej. To czyste awanturnictwo międzynarodowe, w dodatku podszyte egoizmem – w nieszczerym popieraniu przewrotu Polska po cichu liczy na potencjalne korzyści dla swojego rynku pracy. W obliczu ucieczki na emigrację milionów młodych, wykształconych Polaków, zwłaszcza lekarzy, dentystów, pielęgniarek, inżynierów i naukowców, przydałby się mały drenaż mózgow za wschodnią granicą, który pomógłby przy okazji w niwelowaniu presji zwiększonych oczekiwań płacowych, wywieranej przez pracowników polskich na rodzimych pracodawcach. Tymczasem z polskiej perspektywy ważnych jest tylko kilka spraw: stabilny i przewidywalny porządek polityczny na Białorusi, unikanie podsycania konfliktów

wewnętrznych, które mogłyby się rozlać poza granice, dbałość o dobre stosunki handlowe między oboma krajami i relacje kulturalne pomiędzy ich społeczeństwami. Zakłada to jednak wzajemne uszanowanie odmienności oraz wyrzeczenie się przez Polskę misjonizmu i protekcjonalnej postawy. Polska nie powinna również ułatwiać awanturniczej i agresywnej polityki mocarstwom zainteresowanym destabilizacją bezpośredniego otoczenia Rosji. Sama nie odniesie z tego żadnej korzyści, natomiast poniesie wymierne koszty polityczne i straty gospodarcze. Ale w tym celu musiałaby się wybić na prawdziwą samodzielność. Szanse na to przy poziomie obecnej klasy politycznej i obojętności społeczeństwa są mizerne.

Jarosław Dobrzański

Tadeusz Klementewicz

W ostatniej kampanii prezydenckiej wszyscy kandydaci byli zgodni w jednym: precz z podnoszeniem podatków. Jednocześnie zapewniali, że godne życie jest wartością, w imię której pragną władzy. Nawet lewicowy kandydat miał trudności z wyartykułowaniem swojego stanowiska. Zadanie nie jest zbyt trudne, gdyż lewica nawiązuje do ideałów oświecenia. Opowiada się zatem za autonomią jednostki: ni Boga, ni Pana nade mną. Do tego dokłada wolność od przemocy ekonomicznej, samorozwój (prawa reprodukcyjne, prawo do tożsamości płciowej) oraz możliwość współdecydowania o losach wspólnoty. Przy czym w lewicowej perspektywie dodatkowym warunkiem pełnego udziału w życiu wspólnoty są uprawnienia socjalne w postaci dostępu do usług publicznych – emerytury, ubezpieczenia od bezrobocia, opieki zdrowotnej, edukacji, publicznego transportu. Inny model wspólnoty tworzą liberałowie gospodarczy. Wspólnotę polityczną jako gwaranta powszechnego prawa do godnego życia zastępują rynkiem jako gwarantem powszechnej szansy bogacenia się. Każdy może wystartować w wyścigu szczurów o zdobycie pozycji w organizacji. Peleton się rozciąga. Na czele ci, którzy dobrze wybrali rodzinę: przedsiębiorcy, rentierzy. W peletonie są specjaliści o wysokich kwalifikacjach. Na samym końcu nisko opłacany prekariat.

Pojawia się w tym miejscu problem źródeł finansowania godnego życia dla wszystkich, czyli problem opodatkowania dochodów z pracy i z kapitału. Podatki są opłatą z członkostwo we wspólnocie, za korzystanie

92% Polaków chce się dzielić dochodami, a zarazem 87% uważa, że podatki są zbyt wysokie.

z tego, co ma ona do zaoferowania swoim członkom. Dlatego popularne porzekadło, że dwie rzeczy są pewne na świecie: śmierć i podatki, wyraża głęboką myśl – nikt nie jest samotną wyspą, w najróżniejszy sposób jego egzystencja współzależny od dorobku minionych i obecnie żyjących pokoleń. Zależność od wspólnoty ma swoją cenę. Rachunek wystawia potwór o nazwie fiskus, będący narzędziem



Dobre podatki to niskie podatki?

W Polsce najbardziej opodatkowana jest praca, następnie konsumpcja, a w najmniejszym stopniu kapitał

całej wspólnoty. Na temat wielkości tego rachunku toczy się wyjątkowo zmitologizowana dyskusja. Góruje w niej populizm antypodatkowy, którym chętnie posługują się i bogaci, i biedni. Jedni działają we własnym interesie, drudzy stają się pożytecznymi idiotami kreuzusów. Jedni mogą zaoszczędzić na kolejny kupon

najbogatszych gospodarstw domowych dysponowało 39% całkowitego dochodu, a 1% mógł nawet sobie pozwolić na wydatki przekraczające 6 tys. zł *per capita*? Natomiast dolne 20% gospodarstw przejmowało tylko 7,8% całkowitego dochodu. Rzadko bogactwo to pochodzi z „kreatywnej” pracy, gdyż tylko 10 tys. osób ma dochody powyżej 40 tys. zł miesięcznie. Rzadko też źródłem bogactwa były firmy operujące na globalnym rynku dzięki innowacyjnym produktom, takie jak CD Projekt. Źródłem bogactwa bywają najczęściej rodzinne spadki (od ok. 35% do połowy majątku), które PiS zwolniło z podatków. Drugim są koneksje polityczne na styku państwa i sektora energetycznego, przemysłu wydobywczego czy telekomunikacji (Jan Kulczyk). Tu rodzi się jedna trzecia wielkich fortun. W Polsce taką możliwość stworzyła okazyjna wyprzedaż majątku produkcyjnego PRL. Dalej idą spekulacje aktywami

totolotka, drudzy – zafundować sobie pływającą plażę na jachcie. Słowo populizm oznacza tutaj bezkrytyczne uznawanie tego, co zdecydowana większość uważa za bezalternatywny drogowskaz w działaniach w sferze publicznej. Co ciekawe, 92% Polaków chce się dzielić dochodami, a zarazem 87% uważa, że podatki są zbyt wysokie. Czy rzeczywiście tak jest, w sytuacji gdy według GUS w 2018 r. 20%

finansowymi czy obchodzenie przepisów podatkowych. Na przykład w USA po reformie prezydenta Trumpa beneficjentami zmiany podatku CIT z 35 do 21% są wielonarodowe firmy oraz właściciele komercyjnych nieruchomości. Przy czym ok. 40% zysków korporacji trafi do rajów podatkowych, a następnie do sektora finansowego. Średnia światowa stawka podatkowa spadła w latach 1985-2018 z 49% do 24%. Przyczynił się do tego sojusz menedżerów z właścicielami i udziałowcami spółek. Ich wspólnym dążeniem jest zwiększanie wartości

popytowa. Spadają wówczas inwestycje. Rozpoczyna się stagnacja.

Koszty stworzenia harmonijnej wspólnoty pokrywają podatki. To dzięki nim dochody 10% najbogatszych Europejczyków są nie osiem, lecz sześć razy większe od dochodów 50% gorzej zarabiających. Ciekawe jest porównanie obciążeń podatkowych pracy i kapitału w Polsce na tle społeczeństw Unii Europejskiej. Potrzebne dane i ich klasową interpretację zawiera raport Jakuba Sawulskiego, opracowany dla Instytutu Studiów Strukturalnych SGH. Polski

z własności (odsetki od lokat, dywidendy, czynsz z najmu, wzrost wartości akcji) o kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt. Dziwi więc brak podatków majątkowych, głównie spadkowego i katastralnego – realnego podatku od wartości prywatnego majątku. Tym bardziej że w roku 2017 przeciętne obciążenie podatkami od majątku i dochodu wyniosło w Polsce średnio 7,3%, prawie dwukrotnie mniej niż średnia w UE (13,1%). Dla porównania – w Szwecji podatek dochodowy wynosi 18,9%, w Wielkiej Brytanii 14,2%, jeszcze niższy niż w Polsce jest w Rumunii (6,1%). Podatki dochodowe Polaków należą do najniższych w Europie. 32% podatku płacą ci, których dochody przekraczają 85 tys. Jednak te 32% płacą od sumy przekraczającej 85 tys. Tymczasem w czołowych krajach UE prawie wszędzie próg jest wyższy, często powyżej 50% (Francja, Belgia, Szwecja). Większość *golden boys* korzysta z możliwości wspólnych rozliczeń. Robi to ogółem 9,3 mln podatników. Wiele mówi fakt, że średnie miesięczne dochody osób korzystających z liniowego CIT przekraczają 18 tys. zł. W konsekwencji średnie opodatkowanie kapitału wynosi w Polsce 22%. W UE-15 natomiast 30%.

Niskie jest też w Polsce efektywne obciążenie dochodów korporacji. U nas oscyluje wokół 11%, przy regionalnej średniej 16%. W UE-15 danina od korporacji sięga 18%. Przy czym im bardziej dochodowa jest polska firma, tym mniejsza jej danina w postaci podatków i składek.

Źródłem bogactwa bywają najczęściej rodzinne spadki, które PiS zwolniło z podatków.

giełdowej firm, dzięki czemu ci pierwsi otrzymują wysokie pensje i bonusy, drudzy zaś – dywidendy bądź zyski kapitałowe.

Podatki to cena cywilizacji

Spółeczeństwo bez dużego zróżnicowania kondycji życiowej swoich członków jest bardziej harmonijne, gdyż nie trawi go zażarta walka o status społeczny. Nie przypomina społecznej dżungli. Wzrost nierówności zmniejsza poczucie wspólnoty i ogranicza zaufanie do instytucji państwa i do prawa. W takim społeczeństwie szybko rośnie przestępczość, w następstwie rosną wydatki na policję i liczbę więźniów. Przykładem są USA, gdzie na 100 tys. mieszkańców w więzieniach przebywały 103 osoby przed zastosowaniem reaganomiki i 373 po destrukcji *welfare state*. Obecnie to już 666 osób, w Polsce 196.

Nierówność dochodów i majątków zatem pociąga za sobą nierówność życiową ludzi – obniża jakość zdrowia, długość życia, możliwość samorealizacji. Z badań szwedzkiego socjologa Görana Therborna wynika, że nierówności dochodowe zmniejszają wartość wskaźnika rozwoju społecznego o jedną czwartą. Jest jeszcze jeden poważny argument makroekonomiczny. Mianowicie w wypadku lepiej zarabiających skłonność do konsumpcji maleje wraz z rosnącym dochodem. Bogaci wydają bowiem tylko 9%, biedni zaś 14% uzyskanych dochodów. Tym samym im większe są dysproporcje dochodowe między klasami, tym bardziej rośnie luka

system podatkowy ma charakter regresywny, obciąża bowiem w większym stopniu niższe dochody. Co więcej, opodatkowanie pracy jest liniowe, czyli takie samo zarówno dla niskich, jak i wysokich dochodów. Wynosi ono 37% i stanowi europejskie kuriozum. Na dodatek specjaliści z wysokimi zarobkami, głównie menedżerowie, uciekają przed fiskusem w fikcyjne samozatrudnienie. W roku 2017 było ich 166 tys. Składki ubezpieczeniowe w Polsce są na poziomie zbliżonym do unijnego (ok. 13-14%). Polskę jednak charakteryzuje wysokie obciążenie składkami pracowników, niskimi zaś przedsiębiorców. Pracownik płaci 19,52% na ubezpieczenie emerytalne i 8% na rentowe, razem 27,52%. Biznesmen natomiast, a jest ich 2 mln, płaci na

Biznesmen płaci na przyszłą emeryturę mniej niż zarabiający 3 tys. zł spawacz.

przyszłą emeryturę od 60% przeciętnego wynagrodzenia, czyli mniej niż zarabiający 3 tys. zł spawacz. Dlatego ZUS w 90% finansują pracownicy.

W 2017 r. 24,2 tys. podatników w Polsce osiągnęło dochód przekraczający 1 mln zł, 10% najlepiej zarabiających Polek i Polaków przejęło 40% dochodu narodowego – w Niemczech wskaźnik ten wyniósł 35%, w Czechach 29%, a w Szwecji 27,7%. Średnia unijna oscyluje wokół 34%. Prawidłowość jest taka, że dochody z pracy najemnej w dochodzie rozporządzalnym wzrastają o kilka procent, natomiast dochody

Regresywny system podatkowy w Polsce to rezultat elastycznych form zatrudnienia, stosunkowo niewielkiej kwoty wolnej od opodatkowania, niskich podatków od samozatrudnionych menedżerów i liniowego podatku dla przedsiębiorców. W sumie więc w Polsce obowiązuje podatek liniowy, tzn. proporcjonalny do dochodu pojętego całościowo jako podatek dochodowy, składki na ubezpieczenie zdrowotne i emerytalne, VAT i akcyza. Osoba zarabiająca 50 tys. zł miesięcznie płaciła w 2017 r. 1172,56 zł na tzw. duży ZUS, który tworzy składka na ubezpieczenie zdrowotne, społeczne

► i fundusz pracy. Oddaje on fiskusowi 20% dochodu. Tymczasem pracujący na podstawie umowy o pracę oddaje 30%. W Polsce najbardziej opodatkowana jest więc praca, następnie konsumpcja, a w najmniejszym stopniu kapitał. Dlatego słusznie zauważa Ryszard Bugaj, że „kapitalizm w Polsce budowano na podatkowych sterydach”.

Te dane ujawniają brak podstaw, poza chęcią łatwej akumulacji, do nacisków polskiego biznesu i jego politycznych reprezentantów na utrzymanie niskich podatków od zysków i dochodów kapitałowych. Najgłośniej w ich imieniu przemawiają teraz wolnorynkowcy z Konfederacji. Wbrew opinii uparczywie lansowanej przez lobbystów biznesu koszty pracy, wraz ze składkami płaconymi przez pracodawców, to tylko 36% ogólnych kosztów. Tyle samo wynosi przeciętna w pozostałych krajach OECD. Wszystkie państwa OECD

Polski system podatkowy w większym stopniu obciąża niższe dochody.

mają wysoką progresję podatkową w stosunku do dochodów z pracy w przeciwieństwie do Albanii, Czarnogóry, Rosji i Białorusi, które mają podatek liniowy od płac. Dlatego lewicowa formacja musi się domagać zniesienia podatku liniowego dla przedsiębiorców, jak również ryczałtowych składek zusowskich. Zamiast tego powinna postulować, a w nieodległej przyszłości wdrożyć, realny progresywny system podatkowy, w tym od zysków kapitałowych (dywidend), także przez powiązanie ich z innymi dochodami. Powinien powrócić zniesiony przez PiS podatek spadkowy i podatek majątkowy od nieruchomości (kataster). Unikanie opodatkowania (ok. 10% zobowiązań) mógłby utrudnić rozbudowany system przepływu informacji o operacjach w sektorze bankowym, gdyby politycy chcieli z niego skorzystać. Ich zadaniem byłoby też zwiększenie przejrzystości wydatków publicznych i ich demokratycznej kontroli. Niezbędne jest także przeciwdziałanie manipulacjom cenami transferowymi i innym technikom optymalizacji podatkowej nie tylko w Polsce, ale również w całej UE, a w szerszej perspektywie – w całej

globalnej gospodarce, o co apeluje od lat Thomas Piketty.

Progresywni razem

Do sprawiedliwego systemu podatkowego prowadzi odbudowa przeciwwagi klas pracowniczych wobec biznesu, i to w skali co najmniej UE. Do tego konieczna jest odbudowa układów zbiorowych,

ZUS w 90% finansują pracownicy.

a także stworzenie kanału dialogu na poziomie zakładu pracy, tak jak w Niemczech. Konieczne byłyby też: odmrożenie płac w budżetówce, ograniczenie umów cywilnoprawnych i powrót do postulatu wzmocnienia samorządu pracowniczego, skracania czasu pracy (za tę samą płacę), solidarnych emerytur czy ustanowienia dochodu podstawowego na bazie 500+. Polski świat pracy potrzebuje odważnej i konsekwentnej reprezentacji klasowych interesów. Nie może liczyć na

wsparcie mainstreamowych mediów ani ekonomistów bankowych. Niemal kultem otaczają oni tzw. krzywą Laffera. Według niej każda próba podwyższenia stopy podatkowej kończy się spadkiem przychodów do wspólnej kasy. Te tak sprzyjające korporacjom pseudonaukowe prawdy ogłaszane w salach wykładowych i raportach think tanków o polityce gospodarczej każą myśleć o przechwyceniu akademii przez korporacje i ich lobbystów.

Podatki dochodowe Polaków należą do najniższych w Europie.

Ale postulat progresywnego opodatkowania przedsiębiorstw, ich właścicieli, udziałowców i menedżerów ma jeszcze inne uzasadnienie. Jednym ze źródeł profitów z inwestycji w sektorze produkcyjnym są innowacje. Otóż wiele współczesnych gigakorporacji zawdzięcza swoją rynkową pozycję wynalazkom, które powstały w sektorze publicznym dzięki finansowanym ze wspólnej kasy pracom badawczo-rozwojowym oraz różnym dotacjom do badań, jak w wypadku firm braci Szumowskich. Ten państwowy sponsoring innowacji kształtował się np. w Wielkiej Brytanii

na poziomie 10 mld funtów rocznie. Dzięki temu wsparciu pojawiły się ogromne fortuny w telekomunikacji (Bill Gates, Elon Musk, Jeff Bezos, Mark Zuckerberg) bądź w przemyśle farmaceutycznym (biotechnologie, genomika). Państwo administrujące wspólnymi funduszami sfinansowało takie innowacje jak ekrany dotykowe, system nawigacji satelitarnej GPS, strony www, algorytm wyszukiwarki Google. Każdy produkt jest wytworem kolektywnej pracy wielu osób, także minionych pokoleń, głównie ludzi nauki i wynalazców. Przedsiębiorców wspierają i instytucje państwa, publiczna infrastruktura naukowa, prawo spółek i inne przepisy prawa handlowego, system edukacji zapewniający dobrze wykształconych naukowców, inżynierów, menedżerów i system finansowy umożliwiający pozyskiwanie wielkich ilości kapitału na rozwój firm, prawa patentowe, i prawa własności intelektualnej chroniące ich wynalazki, oraz łatwo dostępny rynek dla ich produktów... Są to koszty ponoszone przez społeczeństwo. Z tej racji laureat tzw. ekonomicznego Nobla, Herbert Simon, oszacował, że 90% dochodów pochodzi z innych źródeł niż osławiona przedsiębiorczość, bohaterka naszych czasów. Bogaci nie mają prawa do całego majątku, który przecież powstaje też w wyniku niedopłaconej pracy produkcyjnej i intelektualnej. Kumulacja majątków i kapitału daje ogromną władzę nad przyszłością cywilizacji, bo ich posiadacze rządzą naszym życiem według swoich potrzeb, tj. zajadłej akumulacji

kapitału, a także fantazji, bo np. myślą o podróży na Marsa. By temu zapobiec, płace trzeba powiązać z produktywnością pracy, likwidować śmieciówki, skracać czas pracy. Bez takiej spójnej osłony instytucjonalnej żadna gospodarka narodowa nie wyzwoli się ze statusu półperyferii. Tania praca nie wymusza innowacyjności firm, zwłaszcza małych, a bez niej nie ma konkurencyjnej gospodarki.

Prof. Tadeusz Klementowicz jest profesorem nauk społecznych w Zakładzie Teorii Polityki i Myśli Politycznej Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Sprawa diabelska

Wchodzę do wydawnictwa, na stole stoi wieża książek i lśni jak szklany wieżowiec. Udaję, że tych książek nie widzę, chyba jestem zawstydzony. Tak czasami reaguje się na cud. A to cud, że „Dom pisarzy w czasach zarazy” w końcu napisałem (tytuł proroczo wymyśliłem trzy lata temu), cud, że słowo stało się ciałem. Począłem zbierać materiał do tej opowieści 40 lat temu. Pisałem, odkładałem, nie miałem pomysłu, jak pisać, po czym wracałem do książki. W latach 90. miałem gotową jakby głowę komety, a za nią ciągnął się ogon rozproszonych słów. Jak spleść w jedno tak wiele rozmaitych wątków? To historia budynku na warszawskim Czerniakowie w latach 40., gdy jeszcze zanurzony był w ruinach, losy jego mieszkańców, znanych pisarzy, moja historia rodzinna. Ważny dla mnie był każdy szczegół, też brzęk butelek stawianych o świecie pod drzwiami. A nad wszystkim jak czarna chmura wisiał stalinizm. Jak to możliwe, że pisarze podpisali wtedy pakt z diabłem, że niemal wszyscy? Nie mogłem znaleźć formuły na opowiadanie tej historii. 20 lat temu poddałem się. Trzy pudła pełne dokumentów spojrzały na mnie z wyrzutem. A ja przez te lata udawałem, że nie czuję, że siedzę na tej nienapisanej książce jak na kolcu. Cztery lata temu, gdy tylko milimetry dzieliły mnie od nicości, a jednak tu wróciłem, coś się we mnie przełamało. A teraz biorę książkę do ręki, dotykam gładkiej, błyszczącej skóry i mam wrażenie, że ona dostaje gęsiej skórki. To rzadko się zdarza książkom.

Mikołaj Pawlak, rzecznik praw dziecka, mówi o wychwytywaniu przez edukatorów seksualnych „rozchwianych” dzieci i podawaniu im leków mających powodować zmianę płci. Za chwilę będziemy palili czarownice. I nasila się walka z LGBT, PiS potrzebny jest zawsze wróg, LGBT świetnie brzmi, trochę jak choroba, coś groźnego i obrzydliwego. Nie ma to wyraźnego kształtu, potwór wielogłowy, zdobny w narządy płciowe, używane nie po bożemu. Można rzec, że czterech jeźdźców Apokalipsy. A to monstrum straszy prezesa. Podejrzewa się, że zablokował sferę seksu. Stąd agresja. To znany psychologiczny mechanizm, świetnie pokazany w filmie „American Beauty”. A lud polski, ten narodowy, konser-

watywny, usztywniony, załapuje się na LGBT, bo lud ma często powikłany seks, także przez kościelną edukację. Kościół sobie z seksem nie radził i nie radzi, stąd tylu pedofilów wśród księży. Upieram się też, że jakaś seksualna trauma leży u źródeł myślenia polskiej prawicy narodowej, zdechły szczur w studni. Przy okazji perfidnie gra się na emocjach, LGBT ma szczególnie zagrażać polskim dzieciom. Gej, transwestyta to potencjalny pedofil. Dzieci uczone są masturbacji i innych niecznych praktyk. LGBT to zaraza przywleczona z Zachodu, który moralnie gnije. Od Europy musimy brać pieniądze, ale broń Boże obyczaje, Polska będzie inna. Ostoja cywilizacji, której grozi zagłada. A ci nasi strażnicy moralności nocą myk do burdelików, z pejczykami w teczuszkach.

Wczoraj spotkanie z sąsiadami. Zauważyłem, że zawsze jest podobny scenariusz „długich nocnych rozmów rodaków” w wieku XXI. Więc o zniewoleniu Polski, nie jak za czasów Mickiewicza przez carat, ale przez PiS. Drugi temat to podróże. Polacy nauczyli się jeździć po świecie, tym bardziej zaraza dla nich dolegliwa. Trzeci

to jedzenie. Jak wiadomo, to główny temat dialogów w zachodnim świecie i w Japonii. Dосkoczyliśmy więc do zamożnego świata. A zupełna nowość to oczywiście gadanie o pandemii. Tu jest wyraźny podział, część ludzi śmiertelnie boi się zarazy, a część nic. Ja należę do tych drugich. Sąsiadka nie pozwoliła mi się pocałować na powitanie, co za nietakt, że miałem taki zamiar. Sąsiad nie podał mi ręki. Śmiertelnie boją się zachorować. Szanuję ten lęk i nie kpię z niego. W końcu życie to najcenniejszy dar, jaki mamy. Nie wykluczam zresztą, że wkrótce powiedzą komuś znajomi: wiecie, mamy sąsiada, był z niego taki chojrak, a teraz leży pod respiratorem. I właśnie dowiaduję się, że mój przyjaciel padł ofiarą zarazy. Bardzo chorował, serce chciało mu wyskoczyć z piersi. Zaraził się na pogrzebie Pilcha. Był z nim blisko i serdecznie wspierał go w chorobie. A tu taka odpłata. Sprawa diabelska. Wiem, że skoro nikt nie umarł, to Pilchowi bardzo by się spodobała ta zaraza na jego własnym pogrzebie.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Twórcza beznadzieja

Polskie nastolatki oceniają siebie bardzo źle.
Dziewczęta myślą o sobie gorzej niż chłopcy

Rozmawia Beata Igielska

Nie można się do pana dodzwonić, z czym nastolatki tak tłumnie przychodzą w chwili rozpoczęcia roku szkolnego?

– Obserwuję duży niepokój związany z rozpoczęciem roku. Ale też widzę nadzieję – nastolatki są zadowolone, że mogą wrócić do swojego środowiska społecznego, zobaczyć się ze znajomymi. Te, które mają znajomych, bo bardzo wielu młodych ludzi ich nie ma. Z drugiej strony są napompowane przerażającymi komunikatami z telewizji i innych mediów, przerażeni są też rodzice i nauczyciele. Te przerażenia się łączą.

Jak covidowa izolacja wpłynęła na nastolatki?

– Izolacja skonfrontowała nas jako społeczeństwo z wielką niepewnością. Jeden z moich nastoletnich pacjentów izolację określił jako stan trochę wakacji, trochę szkoły, trochę więzienia. Taka ambiwalencja i niepewność jutra jest bardzo nieprzyjemną emocją, od której chcemy w różny sposób uciec.

Niepewność jutra przede wszystkim dotyczyła dorosłych, a ich stan rzutował na dzieci.

– Z jednej strony, lęk szedł z dorosłych na dzieci, z drugiej, dzieci i młodzież spotkały się z ograniczeniem podstawowych praw, np. nie mogły wychodzić z domu bez opieki dorosłych. Nagłośniła to Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę. Nie dość, że było to pogwałcenie praw, to jeszcze często dzieciom z przemocowych rodzin zamykało drogę ucieczki.

Problemy psychiczne polskich nastolatków widoczne w badaniu HBSC 2020 (Health Behaviour in School-aged Children)* pewnie jeszcze bardziej się uwidoczniają przez pandemię. Już słychać narzekania rodziców, jak to dzieci snują się w piżamach przez cały dzień, śpią do godz. 13, są apatyczne.



KONRAD AMBROZIAK

– psychoterapeuta, przewodniczący rady trenerów DM Polskiego Towarzystwa Dialogu Motywującego, prezes Fundacji Psycho-Edukacja.

– Zamknięcie w domach zburzyło również dorosłym plan dnia. Już nie muszę się ubrać, by iść do pracy czy szkoły – ta zewnętrzna motywacja, by „coś zrobić”, została przerzucona na mnie w stu procentach. Jeśli sam z siebie muszę wykrzesać wewnętrzną motywację, bez zewnętrznych podpopek, mogę słabo działać.

W raporcie pod wieloma względami polskie nastolatki wypadły najgorzej spośród 45 krajów. Dlaczego nasze dzieci tak źle siebie postrzegają? To oczywiście вина nas, dorosłych?

– Tych czynników jest dużo. Na pewno jednym z nich jest ukąszenie neoliberalne. Kazano nam wierzyć, że jesteśmy doskonali, że ma być do końca „świetnie” – musimy świetnie wyglądać i świetnie zarabiać. Musimy być bardzo inteligentni. I wiecznie młodzi. Postawiono nam bardzo duże wymagania zwiększające

krytycyzm. Myślimy: jeśli nie spełniam tych wymagań, coś ze mną nie tak. Poza tym uwierzyliśmy w diabelskie tezy: świat to dżungla, człowiek człowiekowi wilkiem, musimy ze sobą walczyć, a nie współpracować. Tu wkraczamy na teren zaufania społecznego – zniszczyliśmy sieci społeczne. A to właśnie zaufanie i sieci społeczne dają nam oparcie. Z jednej strony, czujemy się samotni, z drugiej, musimy sprostać koszmarnym wymaganiom. Jednocześnie wiemy, że nie jesteśmy w stanie im sprostać. Niezależnie od tego, jak bardzo byśmy się starali, sukces nigdy nie będzie na miarę naszych oczekiwań. **Zachód też ma neoliberalizm, a jednak tamte dzieci tak źle siebie nie oceniają.**

– To rzecz bardziej dla socjologów. Polskę od innych krajów różni niski poziom zaufania społecznego. Nie lubimy innych, nie ufamy im, życzymy

źle. To powoduje poczucie izolacji. A bliskość leczy, zapewnia dobrostan psychiczny. Także współdziałanie z innymi – że mogę do kogoś się odezwać ze swoimi problemami, ktoś może mi pomóc, nie wyśmiewa mnie, nie skrytykuje. Tego nam brak. **Raport HBSC pokazuje już 11-letnie dziewczynki widzące siebie jako grube i brzydkie.**

– Gdy go przeglądałam, uderzyła mnie dysproporcja między dziewczętami a chłopcami. Dziewczęta gorzej o sobie myślą, gorzej siebie postrzegają i są podatne na bardziej destruktcyjne zachowania niż chłopcy.

Kultura macho?

– Jeśli mówimy o tej kulturze, mówimy o gender, to angielskie słowo mające ostatnio w Polsce straszną prasę. Nie zastanawiamy się, co takiego w społeczeństwie się dzieje, że dziewczynkom jest gorzej niż chłopcom.

Wiele badań pokazuje, że dziewczynki bywają bardziej agresywne i okrutne w zachowaniach rówieśniczych niż chłopcy. Raport pokazuje, że w dodatku częściej się upijają.

– Są poddane większej presji. Oczekiwanie społeczne jest takie, żeby kontrolowały zachowania silniej niż chłopcy. Muszą też o wiele bardziej się starać, żeby osiągnąć to samo co chłopcy. Z drugiej strony spotykają się z nowoczesnym przekazem kulturowym, że dziewczynka nie musi być słaba, może odnosić sukcesy. Takie podejście zwiększa napięcie. Im więcej zaś cierpienia, tym chętniej sięgamy po używki. Uzależnienia budują się na ucieczce od cierpienia albo są próbą maksymalizacji przyjemnych doznań.

W wieku 15 lat 3% więcej dziewczynek niż chłopców sięga po papierosy. To próba odreagowania. Dziewczynki także gorzej oceniają swoje zdrowie.

– Bo są bardziej wyczułone na punkcie swojego ciała, wstuchują się w nie, zwracają na nie uwagę, bardziej niż chłopcy kontrolują odruchy.

15-letni chłopcy również widzą siebie jako otyłych. Zajmują pod tym względem niechlubne pierwsze miejsce wśród badanych krajów.

– Postrzeganie własnego ciała jest związane z edukacją seksualną. Nie rozmawiamy z młodzieżą o cielesności, seksualności, nie pokazujemy, że ciała mogą być różne, odbieramy jej możliwość skutecznej edukacji. A młodzi nie żyją w próżni, mają dostęp do internetu, do pornografii. Czerpią z niej wzorce zachowań seksualnych, a jest ona nieprawdziwa, dosadna, wyolbrzymiona, pokazuje zachowania przemocowe. Albo oglądają takie programy jak „Wyspa miłości”, gdzie wszyscy są piękni i młodzi, mają szukać miłości, a tak naprawdę program polega na eliminacji kolejnych przeciwników.

Nastoletni pacjent izolację określił jako stan trochę wakacji, trochę szkoły, trochę więzienia.

Takim programem uczymy: jesteśmy społeczeństwem neoliberalnym, mamy eliminować konkencję i gnać w wyścigu szczurów.

– Wyścig szczurów jest dziś dramatyczny, bo o ile kiedyś dawał nadzieję, że jeżeli weźmiemy w nim udział, mamy szansę na sukces, o tyle teraz młodym ludziom często wydaje się, i słusznie, że niezależnie od tego, jak szybko będą biegać, raczej nie dotrą na szczyty drabiny społecznej. To rodzi marazm, beznadzieję, zastanawianie się, dlaczego mam w tym uczestniczyć.

Również to, co się dzieje z klimatem, nie sprzyja dobrostanowi psychicznemu dzieci. Od naukowców słyszą, że za 40 lat z winy człowieka ten świat spłonie. To po co mają gnać?

– Ale optymistyczne jest to, że właśnie młodzi są niezwykle wrażliwi na kwestie klimatyczne czy praw człowieka. W nich jest nadzieja, jeśli znajdą w sobie dość siły, żeby ją sprowadzić na nas i nią zarażać.

Stół niby jednocy, tworzy tradycje, a w raporcie znów łądujemy na

ostatnim miejscu pod względem codziennego spożywania wspólnych, rodzinnych posiłków. Deklaruje to tylko 37% chłopców w wieku 11 lat oraz 29% dziewcząt.

– Łatwo można ulec pokusie spytania: a co to się porobiło, wcześniej przecież tego nie było?! Czy faktycznie wcześniej nie było? Umiejętności rozmowy, przebywania z drugim człowiekiem musimy się uczyć. Nie tak dawne odkrycie, z połowy lat 90., mówi, że empatyczna komunikacja, bliskość z drugim człowiekiem może leczyć. Ale nas nikt tego nie nauczył. Być razem, komunikować się nie umieliśmy wcześniej, ale jakoś się udawało. Doszła jednak presja, której się poddaliśmy, a to powoduje wzrost frustracji i niechęć do wspólnoty. Każdy jest sam ze swoim cierpieniem.

Intensywną aktywność fizyczną prowadziło 10% mniej dziewcząt niż chłopców. Im starsze dziewczynki, tym mniej się ruszają.

– Młode osoby aktywności fizycznej trzeba uczyć, trzeba im wpajać, że ruch może poprawić nastrój. Jest on trudny, więc jeśli mają do wyboru iść poćwiczyć albo zjeść ciastko, wybierają to drugie, bo ono szybko i bez wysiłku poprawi nastrój.

Nasze nastolatki nie odstają od przeciętnej, jeśli chodzi o odchudzanie się: co piąty się odchudzał, co czwarty dostrzegał taką potrzebę.

– Wracamy do standardów, które sobie narzucamy albo które zostały nam narzucone – takiego wiecznego niezadowolenia z siebie. Jednak żyjemy w kulturze, która mówi: nie możesz być z siebie niezadowolony, bo masz siebie kochać. To rodzi napięcie. Jak mam siebie kochać, skoro nie jestem idealny? Nie chodzi o narcyzm, tylko o akceptowanie siebie, widzenie swoich dobrych stron i tego, co moglibyśmy poprawić. Samoocena cały czas się zmienia. Zrobimy coś fajnego – dobrze o sobie myślimy, coś nam nie wyjdzie – nasza samoocena spada.

Niska samoocena rodzi młodzińcze frustracje, depresje.

– Nastolatki z natury mają skłonność do uogólnień, czarno-białego myślenia. Dopiero uczą się myśleć ▶

Konrad Ambroziak – superwizor terapii poznawczo-behawioralnej. Pracuje z dziećmi i młodzieżą po traumie, z zaburzeniami afektywnymi. Współautor książki „Depresja nastolatków. Jak ją rozpoznać, zrozumieć i pokonać”, „Nastolatek a depresja. Praktyczny poradnik dla rodziców i młodzieży”, autor artykułów dotyczących terapii poznawczo-behawioralnej i zagadnień etycznych.

► abstrakcyjnie, więc wyolbrzymiają. Natomiast gdy na tę naturalną skłonność nałoży się duży krytycyzm wobec siebie, mamy depresję czy bardzo niską samoocenę.

Na co powinniśmy zwrócić uwagę my, rodzice, nauczyciele, by wyłapać, że coś niedobrego dzieje się z dzieckiem?

– Jeżeli nastolatek zaczyna opowiadać o swoich emocjach, zwłaszcza nieprzyjemnych, takich jak smutek, złość, lęk, często spotyka się z przekazem: uspokój się, weź się w garść. Takie słowa są naturalne, bo jak

się, czy naprawdę rodzina jest dla nas wartością, czy jedynie wartością deklaratywną, czy i jak chcemy ją kultywować.

Podobno jesteśmy katolickim krajem, gdzie rodzina jest wartością najwyższą. A każde badanie pokazuje, że jako społeczeństwo nie radzimy sobie z instytucją rodziny.

– Bo jeśli deklaratywność nie jest wypełniona treścią, „rodzina” staje się frazesem. Żeby to zmienić, musimy odpowiedzieć na pytanie, jacy chcemy być w rodzinie, jakie chcemy realizować wartości.

Szkola powinna być pierwszym miejscem zapewnienia dobrostanu psychicznego młodym ludziom.

ktos widzi osobę cierpiącą, czującą się źle, sam też zaczyna czuć się źle i stara się jak najszybciej poprawić nastrój tej osobie. Właśnie mówiąc: nie przejmuj się, nic się nie stało. Jej oczywiście to nie poprawia nastroju, poprawia nasze samopoczucie, natomiast prowadzi do awersyjnego traktowania emocji – przeżywam emocję nieprzyjemną, oskarżam się, że ją przeżywam, nie rozumiem, skąd się wzięła. Zamiast mówić: weź się w garść, powiedzmy: uderzyłeś się, boli cię, masz prawo płakać. Jeżeli nie udało ci się osiągnąć tego, co chciałeś, masz prawo do smutku czy rozczarowania, jeżeli czeka cię trudny egzamin, masz prawo się bać. Uczmy lepszego rozumienia emocji i wyjaśniamy, że po prostu je mamy, a to nic złego. Bardzo ważne, żebyśmy nie dyskutowali z naszymi emocjami, a bardziej wsłuchali się, skąd się wzięły i co nam mówią. Dlaczego niby mielibyśmy cały czas trzymać się w garści? Przecież jesteśmy ludźmi, mamy różne emocje. Smutek też jest bardzo potrzebny.

Tylko 51% 15-letnich chłopców i 49% dziewcząt w tym wieku deklaruje, że może liczyć na wsparcie rodziców. To znów plasuje młodych Polaków na ostatnim miejscu wśród badanych krajów.

– Bycia blisko z rodziną trzeba się nauczyć. Deklarujemy, że rodzina jest dla nas najważniejsza, ale powstaje pytanie, czy częściej spędzamy czas w pracy, czy z rodziną, czy wolimy wyjechać z kolegami na krótki weekend, czy na dwutygodniowe wczasy z rodziną? Zastanówmy

Promil naszego społeczeństwa to Żołnierze Chrystusa, broniący tradycyjnych wartości.

– Tylko czy te tradycyjne wartości kiedykolwiek były? Czy XIX-wieczna chłopska rodzina realizowała: otwartość, bezpieczeństwo, lepsze życie? Przed zniesieniem państwowości relacje społeczne były bardzo trudne. Nie mówimy więc o jakimś micie?

Co możemy zrobić, żeby rodzina nie była tylko mitem?

– Wykonywać codzienną pracę, odpowiadając na trudne pytania: co jest ważne dla mnie i moich bliskich, jak mediować między tymi potrzebami.

Jeśli dzieci mają do wyboru iść poćwiczyć albo zjeść ciastko, wybierają to drugie, bo szybko i bez wysiłku poprawi nastrój.

Ale jesteśmy leniwi, panie doktorze.

– Lenistwo jest przyrodzone. Każdy z nas ma ochotę nic nie robić. Krótkoterminowo lenistwo jest super, długoterminowo może przynieść przykre konsekwencje opisane w raporcie.

Nasze 15-latkę zajęły również ostatnie miejsce wśród badanych krajów, jeśli chodzi o odczucie wsparcia ze strony kadry dydaktycznej.

– Fundacja Psycho-Edukacja, gdy tylko zaczęła się pandemia, ruszyła z programem wsparcia psychologicznego dla nauczycieli. Pierwsza reakcja? Dlaczego wspieramy tych zdechłych nauczycieli, a nie rodziców, skoro to oni mają problem. Jako społeczeństwo bardzo się napracowaliśmy, żeby zniszczyć albo podważyć zaufanie społeczne do nauczycieli.

Profesja nie jest poważana ani dobrze wynagradzana. No to nie dziwny się, że dzieciaki nie mają zaufania do nauczycieli. Nie pomogła też reforma cofająca szkoły do XIX w., do nauki pamięciowej. Nauczyciele muszą realizować rozbudowane podstawy programowe. Nie mają czasu na wsłuchiwanie się w stany psychiczne ucznia. Muszą go odpytać z budowy ameby, a nie rozmawiać z nim i go wspierać. **Albo zastanawiać się, dlaczego od pół roku dziewczynka rysuje w zeszytach krzyże.**

– Bo ważne jest, co zapisała w tym zeszytach, a nie jej rysunki. Sfrustrowany nauczyciel nie będzie dobrze wykonywał swojej pracy. Szkoła powinna być pierwszym miejscem zapewnienia dobrostanu psychicznego młodym ludziom.

Ale czy nauczyciele są na tyle kompetentni, żeby dzieciom pomóc?

– Badania wyraźnie pokazywały, że na edukację nauczycieli, którzy pracowali w dawnych gimnazjach, poszło bardzo dużo środków. Oni okazali się najbardziej kompetentni spośród kadry nauczycielskiej, jeśli chodzi o pomoc psychologiczną. Na pewno kompetencje warto w każdym zawodzie podnosić, natomiast jest to kwestia motywacji. Jeżeli nie wierzę, że to, co robię, jest wartościowe, jeżeli nie jest to tak odbierane przez społeczeństwo, spada chęć do rozwoju, samokształcenia.

To kwestia nie tylko motywacji, ale i pieniędzy. Porządne szkolenia są drogie, bo nie myślę o studiach podyplomowych w Wyższej Szkole Gotowania na Gazie, których nauczyciele kończą mnóstwo, dla papierka.

– Problemem Polski jest słaby dostęp do opieki psychologicznej, ale też do wykształcenia psychologicznego – jest ono sprywatyzowane i wiąże się z poważną inwestycją. Nie można w Polsce zrobić drogą państwową kursu psychoterapeutycznego.

Z raportu wyzierają nastolatki zostawione samym sobie, niemające wsparcia znikąd. W tym ze strony rówieśników.

– Z rówieśnikami to jest tak: zostałem przez rodziców nastawiony, że inny mnie skrzywdzi i wyśmiej,

mam mu nie ufać, nie rozmawiać o swoich kłopotach, bo te rozwiązuje się w domu. Dodatkowo rodzice pokazują swoim zachowaniem postawę nieufności i wyobcowania – nie mają przyjaciół, nie spotykają się ze znajomymi, nie uczestniczą w formach społecznych, np. wspólnotach religijnych czy wolontariacie. Jeżeli więc rodzice mi tego nie modelują, ja również nie wchodzę w relacje społeczne i nie umiem ich budować.

przykre rozpoznanie. Ale jest twórcze, bo pozwala nam się zmienić, pójść w innym kierunku. Może warto tak spojrzeć na ten raport?

Jako na twórczą beznadzieję?

– Tak, bo wiemy już, że coś nie działa, może więc jesteśmy w stanie to zmienić? W edukacji możemy wprowadzać projekty, starać się zachęcać młodzież do współpracy. To byłby właściwy kierunek. Tyle że po reformie zboczyliśmy z niego. Znow

– Jedyna recepta, jaka mi przychodzi do głowy: bądźmy uważni i na siebie, i na bliskich w otoczeniu. Uważni, czyli akceptujący, dopuszczający do siebie zarówno przyjemne, jak i nieprzyjemne emocje. Jeżeli będziemy mogli je spostrzec, mogą nas czegoś nauczyć, a jeżeli będziemy od nich uciekać, nigdzie nas to nie doprowadzi. Dojdziemy do ściany.

Do ściany doszły natomiast nasze nastoletnie dzieci.

– Tak, mówimy o potężnym problemie społecznym. Jest nim zarówno bardzo zły stan psychologiczny młodzieży, co pokazuje raport, jak i to, że za ten stan odpowiada w dużym stopniu polski system edukacji.

Beata Igielska

Co takiego w społeczeństwie się dzieje, że dziewczynkom jest gorzej niż chłopcom?

Jakie są źródła zjawisk opisanych w raporcie?

– Spójrzmy na ten przynębiający raport jako na coś bardzo ważnego. W terapii akceptacji i zaangażowania, którą posługuję się na co dzień, jest pojęcie twórczej beznadziei. To taki moment terapii, kiedy jesteśmy w stanie zobaczyć, że dotychczasowe zachowania nie służyły naszym celom, wartościom. To bardzo

atomizujemy dzieci w szkołach, wkładamy im do głowy rzeczy zupełnie niepotrzebne. I mają prawo się buntować. Wiedzę klikają i już. Potrzebne są im umiejętności intelektualne do jej porządkowania i psychologiczne do radzenia sobie w życiu.

Co zrobić, żeby dzieciom samopoczucie psychiczne nie pogarszało się z wiekiem? By dziewczynkom nie było tak źle?

*Międzynarodowa sieć badawcza HBSC (Health Behaviour in School-aged Children) od 1982 r. co cztery lata publikuje raport na temat zdrowia fizycznego, relacji społecznych i dobrego samopoczucia psychicznego. W najnowszym przebadano 227 441 uczniów w wieku 11, 13 i 15 lat z 45 krajów Europy i Ameryki Północnej.



**Filharmonia
Narodowa**

Dyrektor Artystyczny
Andrzej Boreyko

20/21

**zapraszamy na koncerty
nowego sezonu artystycznego
2020/2021**

filharmonia.pl

Tomasz Borejza

Wielka Brytania należy do krajów, które pandemia COVID-19 dotknęła najmocniej. Zmarło ponad 40 tys. osób. Wśród wytłumaczeń, dlaczego śmiertelność *per capita* okazała się na Wyspach jedną z najwyższych, pojawiają się powszechna otyłość oraz kiepski ogólny stan zdrowia obywateli. Potwierdzają to statystyki. 63% Brytyjczyków ma nadwagę, a 31% jest klinicznie otyłych. Wskaźnik masy ciała przekracza u nich 30. Dla mężczyzny mającego 180 cm wzrostu to waga co najmniej 98 kg. W oficjalnych statystykach da się znaleźć miasta, gdzie otyłość dotyka ponad 70% dorosłych, jak w robotniczym Doncaster. Jako przyczynę wskazuje się zamiłowanie do gotowych dań z supermarketu, których jakość jest wątpliwa, a wartości odżywcze znikome, ale nie tylko. Rządowe dane podkreślają, że przyczyną co szóstego przedwczesnego zgonu na Wyspach jest brak aktywności fizycznej.

Rząd postanowił właśnie zająć się jednym i drugim i zorganizować wielkie odchudzanie. Władze mówią, że chodzi o profilaktykę przed drugą falą pandemii i zadbanie o wydolność systemu opieki zdrowotnej. Argumentują, że im lepszy będzie ogólny stan zdrowia Brytyjczyków, tym mniej pojawi się ciężkich przypadków i tym łatwiej lekarze zapewnią opiekę potrzebującym. Argumentację wspierają wyniki nowych badań, które pokazują, że otyłość zwiększa ryzyko zgonu z powodu COVID-19 o prawie 50% i znacząco podnosi ryzyko wyładowania na oddziale intensywnej opieki medycznej. Jednocześnie poprawa kondycji mieszkańców Wysp ma zapewnić wytchnienie budżetowi publicznej służby zdrowia, która dziś tylko na leczenie cukrzycy typu II wydaje 5-10 mld funtów rocznie. Ta druga liczba to niemal 10% całego budżetu służby zdrowia. Wyliczono nawet – takie dane podawał minister zdrowia i opieki społecznej Matt Hancock – że gdyby każdy otyły Brytyjczyk zrzucił teraz 2,5 kg, kraj na opiekę zdrowotną wydałby w ciągu pięciu najbliższych lat o 100 mln funtów mniej.

Postanowiono więc zadbać o profilaktykę. Opracowano kompleksowy

Wielkie odchudzanie Brytyjczyków

Rząd planuje do 2030 r. połowę mieszkańców przesadzić na rowery

plan wielkiego narodowego odchudzania, w którym kluczowe są dwa elementy. Po pierwsze, rząd planuje do 2030 r. połowę mieszkańców przesadzić na rowery, a już dziś zadbać, by jak najwięcej osób zamieniło cztery kółka na dwa. Po drugie, chce zadbać o ich dietę.

Bez cukierków przy kasie

Boris Johnson plan narodowego odchudzania ogłosił po swoimemu. Najpierw powiedział, że kiedy z powodu COVID-19 trafił na intensywną terapię, był zbyt gruby. A później dodał, że zabrał się za siebie i zrzuci kilogramy, biegając z psem. „Najlepszą rzeczą w bieganiu rano jest wiedza, że nic gorszego nas już tego dnia nie spotka”, zachęcał do pójścia w swoje ślady. Jednocześnie podkreślał,

Są miasta, gdzie otyłość dotyka ponad 70% dorosłych mieszkańców.

że rząd nie chce być nadopiekuńczy i nikogo do odchudzania nie będzie zmuszać. Być może dlatego, że jeszcze jako publicysta Johnson naśmiewał się ze wszystkich kampanii społecznych mających na celu poprawę zdrowia publicznego. Zdanie zmienił dopiero, tak przynajmniej mówi, na OIOM-ie, kiedy się okazało, że dodatkowe kilogramy przybliżają go do śmierci.

Sama kampania pozostaje w zgodzie z brytyjskim charakterem narodowym, który najbardziej ze wszystkich nie lubi przesady. Najwięcej uwagi poświęcono reklamom niezdrowych produktów. Jedzenie o dużej zawartości tłuszczu, cukru lub soli nie będzie mogło być reklamowane w telewizji przed godz. 21, kiedy oglądają ją dzieci. Konsultacjom

zostanie poddany też plan całkowitego zakazu reklamy takich produktów w internecie. To odpowiedź na dane, które pokazują, że reklam niezdrowego jedzenia jest w telewizji najwięcej wtedy, kiedy ogląda ją dużo dzieci, oraz badania dowodzące, że reklamy tego rodzaju mają znaczący i negatywny wpływ na dietę młodych ludzi.

Zajęto się także marketingiem w sklepach i zaplanowano liczne ograniczenia w ekspozycji słodkich, chipsów oraz reszty śmieciowego jedzenia. Najciekawszy jest zakaz ich sprzedawania w okolicach wejścia i – to znacznie ważniejsze – kas. Wprowadzono go, ponieważ policzono, że prawie połowa produktów leżących przy kasach w brytyjskich supermarketach to jedzenie niezdrowe. Oprócz tego pojawi się zakaz promowania takich produktów metodą: „Kup jedno opakowanie, drugie dostaniesz gratis”. Rząd będzie chciał zachęcać, by zamiast tego pojawiło się więcej promocji na owoce i warzywa. Na razie nie wiadomo, jaki dokładnie ma pomysł, by to osiągnąć.

Dużo uwagi zostanie też poświęcone informacjom, które otrzymują konsumenci. Wszystkie firmy zajmujące się karmieniem ludzi i zatrudniające ponad 250 osób będą miały obowiązek informować o kaloryczności dań. Być może podobny obowiązek zostanie nałożony na producentów alkoholu, by uświadomić nabywcom, jak bardzo trunki mogą wpływać na liczbę centymetrów w pasie. To jednak dopiero będzie poddawane konsultacjom. Tak samo jak ewentualna zmiana wymogów dotyczących informacji, które muszą się znajdować na produktach spożywczych. Rząd chce sprawdzić, czy obecny system jest



„Anglia będzie wielkim narodem pieszych i rowerzystów”, napisał Boris Johnson.

kilka problemów, najłatwiej można by pokonywać na rowerze.

Praktyczną i zdystansowaną formę dokument zawdzięcza zapewne zawodowi dwóch głównych autorów koncepcji, pozwalającemu im mówić do ludzi w sposób zrozumiały i skupiony na istotnych sprawach. Były dziennikarz Boris Johnson przy jego tworzeniu korzystał z pomocy dziennikarza Andrew Gilligana, jednego z najważniejszych doradców rządu, zajmującego się jego polityką odnośnie do rowerów. Gilligan pomagał Johnsonowi już wcześniej jako rowerowy burmistrz Londynu, pracując jednocześnie dla konserwatywnego „Timesa” i odbierając nominację do dziennikarskich nagród za materiały śledcze poświęcone politykom laburzystów. Wcześniej – pisał wtedy dla lokalnej gazety – był nagradzany za teksty poświęcone przekrętom w londyńskim ratuszu, które miały miejsce za czasów poprzednika Johnsona, Kena Livingstone’a.

Lepiej nie zrobić nic, niż zrobić coś bez sensu

Wyrazem pragmatyzmu jest zawarte w strategii stwierdzenie, że przy inwestycjach publicznych lepiej nie robić nic, niż robić coś bez sensu. Jego praktyczną realizację da się znaleźć w rozwiązaniach dotyczących

Rower ma się stać narodowym środkiem transportu.

rozwoju sieci dróg rowerowych. Publiczne dotacje na ten cel uzależniono od spełnienia dwóch kryteriów. Pierwszym jest zgodność projektu z jasno sprecyzowanym zbiorem dobrych praktyk. Na przykład droga rowerowa, która biegnie przy ruchliwej ulicy, musi być fizycznie oddzielona od jezdni dla samochodów i zapewniać bezpieczny przejazd przez skrzyżowania. Musi także oddzielać rowerzystów od przechodniów, bo dużo uwagi poświęcono zagrożeniu, którym użytkownicy dwóch kółek są dla pieszych. Drugie wymaganie dotyczy miejsca powstającej drogi w spójnym planie ścieżek rowerowych ▶

wystarczający i w jaki sposób dałoby się go poprawić.

Planowane są także kampanie, które poprawią umiejętności kulinarne Brytyjczyków. Tak by zamiast kupować śmieciowe, gotowe jedzenie z supermarketów, byli w stanie zrobić coś samemu. Do pomocy zostaną też zaangażowani lekarze rodzinni, którzy na Wyspach odgrywają bardzo ważną rolę. Będą zachęceni do ustalania w przypadku pacjentów otyłych planów ćwiczeń oraz diety. Pojawiają się nawet recepty na ruch fizyczny, a lekarz będzie mógł przepisać pacjentowi rower.

Odważna wizja dla rowerzystów i pieszych

Ten – co ciekawe – będzie refundowany. Wyasygnowane zostaną środki na zakup rowerów dla przychodni zdrowia, a one później będą udostępniać dwa kółka „na receptę” pacjentom, którzy muszą schudnąć, a nie stać ich na własne. To na razie pilotaż, który obejmie część kraju, ale może się przyjąć na stałe. Doskonale wpisuje się bowiem w drugą część planu wielkiego odchudzania Brytyjczyków. A w niej chodzi

o sprawienie, by rower stał się narodowym środkiem transportu. Taki pomysł nie może dziwić, bo sam Boris Johnson jest zapalonym rowerzystą. Kiedy był burmistrzem Londynu, sporo zainwestował w rozwój infrastruktury rowerowej, a i teraz często w ten sposób przemieszcza się po stolicy.

„Anglia będzie wielkim narodem pieszych i rowerzystów”, napisał we wstępie do dokumentu, w którym omówiono rządową strategię. Ten nosi nazwę „Zmiana biegu. Odważna wizja dla rowerzystów i pieszych”, ma kilkadziesiąt stron i uderza typowym brytyjskim pragmatyzmem. Bardzo dalekim od formy rozmowy, którą np. w Polsce często proponują środowiska aktywistów. Skupiono się w nim na praktycznych problemach i rozwiązaniach, które mogą sprawić, że rower dla wielu osób będzie wygodniejszy nie tylko od samochodu, ale też od komunikacji publicznej. Ma to dotyczyć głównie krótkich tras, bo, jak policzono, 58% podróży w miastach odbywa się na dystansie mniejszym niż pięć mil, a 40% to trasy krótsze niż dwie mile. Takie odległości – przekonują autorzy strategii – jeżeli tylko rozwiąże się

► w danej miejscowości. Samorząd chcący sięgnąć po dotacje, nie tylko musi taki plan posiadać, ale też dokument ma być na określonym poziomie. Najważniejsze jest to, że sieć dróg nie może być dziurawa i przerywana przez przeszkody zmuszające do zejścia z roweru, które w miastach są prawdziwą zimą. Trzeba również udowodnić, że planowana droga prowadzi z jednego ważnego celu (np. szkoły) do drugiego (np. sklepu lub osiedla mieszkaniowego). Takie określenie wymagań ma spowodować, że każdy prowadzony przez samorządy remont będzie przybliżał miejscowość do stworzenia spójnej, kompletnej i bezpiecznej sieci dróg rowerowych.

A bezpieczeństwo podróży nie jest jedynym praktycznym problemem, który dostrzeżono. Innym są złodzieje rowerów. Autorzy strategii zwrócili uwagę, że na Wyspach znika nawet 300 tys. rowerów rocznie, a wiele okradzionych osób nie kupuje nowego i rezygnuje z jazdy. Dlatego część dokumentu poświęcono planom zaradzenia pladze kradzieży. Są tam pomysły standardowe – zwiększenie liczby parkingów i miejsc, gdzie można bezpiecznie przechowywać rowery, oraz stworzenie krajowej bazy danych, która pozwoli łatwo odnajdywać właścicieli i utrudni handel kradzionym towarami. Ale także zorganizowanie specjalnych jednostek

policji, których zadaniem będzie uprzykrzanie życia złodziejom, żeby nie opłacało się kraść. Zaczęto też rozdawać bonny na naprawę rowerów. Chętni mogą otrzymać 50 funtów na ich przygotowanie do jazdy, z czego bardzo się cieszą właściciele serwisów, dla których to okazja do zarobku. Zainteresowanie było tak duże, że kiedy zaczęto rozdawać bonny, rządowe serwery padły po kilku minutach. Pierwszą pulę bonów rozdano od ręki.

Przychodnie będą udostępniać rowery „na receptę” pacjentom, którzy muszą schudnąć, a nie stać ich na własne dwa kółka.

Przyjrano się również prowincji, gdzie za jedną z głównych barier uznano konieczność zostawiania roweru w okolicy przystanków. Plan jest taki, by stworzyć w autobusach i pociągach – m.in. podmiejskich – możliwość wygodnego przewożenia rowerów. Jego autorzy wyobrażają sobie, że dzięki temu przeciętny Smith mający do załatwienia sprawy w najbliższym mieście częściej pojedzie na przystanek rowerem, który będzie jego środkiem lokomocji także po dotarciu do celu i ułatwi mu powrót do domu. Tak samo ma być w aglomeracjach, gdzie dystanse są zbyt duże dla większości rowerzystów i zmuszają ich do tego, by do pracy jechać samochodem. Rząd nie

liczy oczywiście na to, że w taki sposób będą podróżować wszyscy. Ale każda rowerowa podróż to spalane kalorie, które pozytywnie wpływają na budżet publicznej służby zdrowia.

Rozwiązań jest jeszcze kilka. Przedstawiono np. plan tworzenia tzw. mini-Holandii. To miejsca – Anglicy mówią o nich sąsiedztwa – w których likwiduje się tranzytowy ruch samochodów. Robi się to za pomocą zmian w organizacji ruchu wypychających tranzyt z osiedli

mieszkaniowych, ale też fizycznych barier. W tym wysuwanych słupków, do których piloty otrzymują wyłącznie osoby mieszkające w danej okolicy lub dostawcy sklepowi. Celem jest zapewnienie bezpiecznej przestrzeni, w której można wygodnie chodzić, ale też puścić dziecko samo do szkoły.

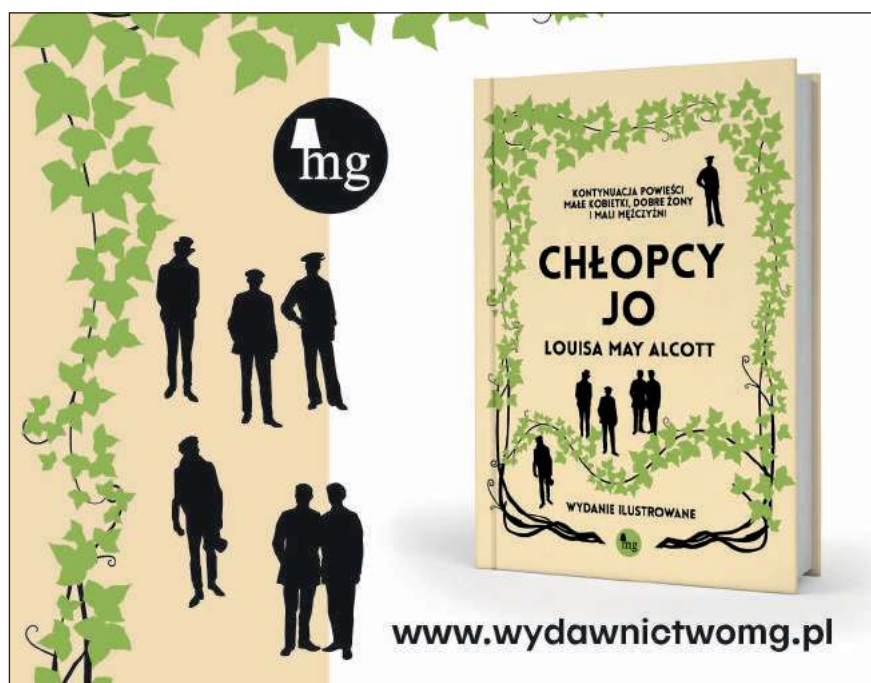
Warto przy tym zwrócić uwagę, że nie jest to żadna nowinka, ale coś, co w Polsce realizowano w czasach PRL, by później kompletnie o tym zapomnieć. Dokładnie w taki sposób budowano „gierkowskie” osiedla mieszkaniowe, w których stosowano zasadę separacji ruchu pieszego i samochodowego. Właśnie po to, by ludzie na zakupy mogli chodzić piechotą, a uczniowie podstawówek nie musieli być do nich codziennie odwożeni.

Rowerowa Brytania

Wszystkie te zmiany mają sprawić, że w 2030 r. połowa podróży na Wyspach będzie się odbywać na rowerach. Boris Johnson we wstępie do „Zmiany biegu” deklaruje, że jest dumny z planu, który zapewni największą zmianę w brytyjskich miastach „od czasu upowszechnienia się samochodów”. Dodaje też, że dzięki niemu brytyjskie ścieżki rowerowe zmienią się w wielkie, całodobowe i bezpłatne siłownie. Na realizację tej koncepcji w najbliższych pięciu latach przeznaczono 2 mld funtów. Mniej, niż wydaje się na bieżące łatanie dziur w drogach.

Ale, przekonują Johnson i Gilligan, to zaledwie początek.

Tomasz Borejza



Zuzanna Muszyńska

Wirus krąży, one chorują na bezczynność

Polki emigrantki w dobie pandemii

Kasia woziła o świcie pielęgniarki i pracowników lotniska. Magda wyprowadzała opalonych gości na krawędź wzgórza – skok w górę, klik, zdjęcie lądowało na Instagramie. Cindy nie chciałyby już wracać do robienia makijażu gwiazdom telewizji. Tak-sówkarka z Dublina, hotelarka spod Aten i berlińska kosmetyczka. Polskie siłaczki, którym czasem brak sił, nigdy jednak – pomysłów na życie. Przez lata przemierzały emigracyjne szlaki, aż drogę zastąpił im koronawirus.

Zająć czymś ręce

Siedzą na ławce blisko siebie, kończą jeść lody – Mandeep, Becca i Oliwka. Kasia robi im zdjęcie. Udało jej się wyluzować podczas zamknięcia, które zaczęło się w Irlandii 15 marca. – Na początku myślałam, że oszaleję bez pracy – opowiada. Szybko dodaje, że bardzo kocha męża i córki.

Od zawsze marzyła, żeby hodować konie – w Prudniku albo w Strzegomiu. – A najlepiej dostać się do telewizji – śmieje się – jak Smoleń i Olejnik! Tak jak oni skończyła zootechnikę. Wnuczka ułana, ostatnią klacz sprzedała, będąc w czwartym miesiącu ciąży. W Polsce pracowała jako hipoterapeutka i instruktorka jeździectwa. Do Irlandii poleciła odwiedzić kuzyna. Spacerując z psem znajomych, trafiła na stajnię wyścigową. Spytała, czy szukają pracowników. Szukali. Trafiła do opieki nad młodymi końmi.

rozmowę w H&M kupiłam za wygraną w totolotka – wspomina. – 56 euro, akurat wystarczyło.

Udało się. Przepracowała w sklepie siedem lat, potem została tak-sówkarką. Jeździć da się w ramach grafiku mamy i żony. Znajomi tak-sówkarze doradzili, żeby spróbować. Zdała egzamin, odeszła z H&M. Zaliczyła wpadki – klientka, którą zawiozła okrężną drogą na dworzec, spóźniła się na pociąg. Kasia nie wzięła od niej ani grosza. Kolejnych pasażerów uprzedzała, że się uczy. Z Irlandczykami można o wszystkim

Biegły angielski to podstawa. Uczyła się od zawsze, do perfekcji opanowała język nie w Irlandii, lecz na Islandii. – Irlandczycy nigdy mnie nie krytykują za drobne błędy, jeśli już, to pomagają. Mąż pomaga w pisaniu – za co Kasia, dyslektyczka i dysgrafka, jest mu wdzięczna.

Mieszkają w magicznym Ashbourne. Dwie główne ulice, jeden kościół, cztery puby. Jest kilka szkół, starsza córka chodzi do specjalnej, z językiem gaelickim (otworzy jej to ścieżki kariery). Nie ma tu dużych firm. Kiedy uruchomi swoją siedzibę Netflix, ceny

Kasia przepracowała w sklepie siedem lat, potem została taksówkarką.



Z Irlandczykami można o wszystkim pogadać – o drodze przez Dublin i przez życie.

Po przedłużonym z powodów osobistych urlopie w Polsce nie miała do czego wracać. Znalazła pracę w irlandzkiej kwiaciarni, gdzie zastał ją kryzys 2008 r. i skazał na dwumiesięczną bezczynność. Chętnie podjęła się nowego wyzwania w firmie farmaceutycznej. Zwolnili ją po roku, gdyż mówiła po angielsku lepiej niż menedżerka. Poszła do sądu i wygrała. Wróciła do Polski koniowozem, z klaczą. Znow spróbowała szczęścia jako florystka, już na swoim, i znow dogonił ją kryzys. Zdążyła wszystko pozamykać, niewiele stracić. Kolejny raz była gotowa na Irlandię. Przyjechała na Wyspy bez grosza. – Ciuchy na

pogadać – o drodze przez Dublin i przez życie.

Pobudka codziennie o czwartej, praca do popołudnia, chyba że zarobi szybciej. Rano wiezie pielęgniarki i pracowników lotniska; lekarzy i pracowników Facebooka – później. W aucie Kasi jest miejsce na wózek inwalidzki. Od dwóch lat korzysta z tego udogodnienia Rosie. Zostały dobrymi znajomymi, ale Kasia nigdy nie spytała, na co choruje pasażerka. Uważa, że nie wypada. Na czas pandemii Rosie wyjechała za miasto, do rodziców. – Człowiek się przywiązuje – mówi Kasia. – Jest miło, kiedy z góry wiadomo, pod jaki adres jechać.

domów skoczą w górę. Kasia marzy o domu. Jest jeden, na który ich stać, ale czy to się utrzyma po pandemii?

Dwa tygodnie przed zamknięciem zauważyła, że po mieście kręci się mniej ludzi. Odwołano obchody św. Patryka, co dotknęło ją finansowo. Rząd wypłacał po 203 euro tygodniowo, potem zwiększył pomoc do 350 euro. Mąż, szef kuchni, pierwszy raz Wielkanoc spędził w domu.

Córki uczą się w domu. Kasia pomaga starszej w odrabianiu lekcji. – Dziś na pewno wspierałabym nauczycieli, gdyby strajkowali – wzdycha z tęsknoty za profesjonalną opieką nad dziećmi. W pierwszy poranek ▶

► bez szkoły dziewczynki wyjęły z szafy różowe sukienki i przebrały się za księżniczki. Kasia ma oko do kadrów; równolegle z zootechniką uczyła się w studium fotograficznym. Na widok córek chwyciła aparat. Tak znalazła sposób walki z monotonią codzienności. Zajęła czymś ręce.

Kogo będzie wozić, jeśli nie wróci do Dublina turyści albo korporacje przejdą na stałe na pracę zdalną? Pewnie, że taksówkarzom bywa niełatwo. Są w mieście dzielnice, gdzie dowozi się klienta, blokuje drzwi i ucieka. Po centrum hula wiatr. – To nie Londyn ani Paryż – mówi Kasia.



Historia
Peryklesa
i Magdy
zaprowadziła
ich do Grecji.

konsultingową, dużo podróżował. Zażeniał za jeszcze jedną wielką miłością swojego życia – Grecją. Jego ojciec miał działkę na Peloponezie, z której roztaczał się widok na modne wśród ateńczyków Poros. Stał na niej nigdy niedokończony dom, a że w Grecji nie sprzedaje się pochoinnie nieruchomości, młodzi mieli dokąd wracać.

Zamiana willi z ogrodem w Johannesburgu na studio w Galatas była problemem dla Magdy. Perykles wiedział, od czego i dokąd ucieka, ona nie bardzo. Nie pomógł psujący się bojler ani brak sukcesów w uprawie kwiatów na spalonym słońcem wzgórzu.

– Grecja rekordowo wcześniej zniosła zamknięcie. Czuliśmy się i czujemy bezpiecznie – mówi Magda, śledząca statystyki zachorowań. Całkowicie „zamknięto” wyspy. Na cieśninie pomiędzy Poros i Galatas, zwanej małym Bosforem, przestały kursować wodne taksówki. Uciekło, choć było już cicho; czysta woda przybrała jeszcze bardziej turkusowy odcień.

Poparcie dla rządu wzrosło do 70%. Grecy nie lubią, kiedy coś im się narzuca, ale dbają o siebie nawzajem, chronią chorych i starszych. Pomoc drugiemu człowiekowi to narodowa cecha Greków.

Na Wielkanoc procesje trwają cztery dni, w tym roku nie odbyły się. To również początek sezonu. Restauracje otworzyły się pod koniec maja, według nowych reguł. Turystyka to 20% greckiego PKB i 25% miejsc pracy. Większość rodzinnych biznesów nie ma zaplecza finansowego. Rząd zaofiarował niewielkie wsparcie. – Grecy są zahartowani przez lata kryzysu – przypomina Magda. – Z letniego zarobku potrafią się utrzymać przez cały rok.

2020 r. zapowiadał się nieźle. Hotelek Magdy i Peryklesa w sezonie 2019 zanotował 93 rezerwacje, w tym zostało na liście 20. Perykles ma dochód

Grecja rekordowo wcześniej zniosła zamknięcie. Czuliśmy się i czujemy bezpiecznie.

– Ale wystarczy wiedzieć, w jakie zakątki zajrzeć po najlepszą na świecie atmosferę. Ludzie zostają tu dla niej na zawsze.

Ona została przez połowę życia. I dalej chciałaby pokazywać turystom Dublin.

Bez uścisku, pocałunku, tańca

– Mieszkać i pracować w nadmorskiej wiosce to prawdziwe szczęście – opowiada Magda, która jako 13-latkę oznajmiła rodzicom, że wyjedzie z Polski. Rodzinny Gdańsk opuściła dla europeistyki w Poznaniu, potem dwa razy zmieniała koniec świata, wędrując za miłością – do Meksyku i do RPA. Jej mąż pochodzi z nad Morza Egejskiego. Historia Peryklesa i Magdy rozpoczęła się w Johannesburgu, gdzie dwóch Greków serwowało pizzę z pieca. Perykles puszczał piosenki Kayah specjalnie dla polskiej dziewczyny. Zamieszkali razem po roku. Perykles prowadził własną firmę

Stawiali domy. Własnoręcznie, jeden po drugim. Kiedy Perykles wyjeżdżał w podróże służbowe, Magda, utalentowana poliglotka, dogadywała się z fachowcami łamaną greką. W miasteczku okazano jej wiele życzliwości. Zakochała się w ludziach, którzy żyją nie dla pieniędzy, lecz dla pasji – tkacich, kulinarnych, rzeźbiarskich.

Pięć mieszkań dla turystów urządzili z taką samą miłością jak szóstą, własną. Perykles wyżywał się w warsztacie stolarskim, Magda zaczęła budować „turystyczną lokalną rodzinę”. Ukoronowaniem pracy były dwa wielkie wesela, greckie i polskie. Magda poczuła się w Grecji jak u siebie, bała się już tylko jednego – że kiedyś musiałaby stamtąd się wyprowadzić. Wtedy zachorowała na raka piersi. I tę próbę przeszli pomyślnie. Były ciężkie chwile, greckie Boże Narodzenie z jej rodzicami i sztuczną choinką, którą przytargał nieznoszący komercji Perykles. Dziś włosy Magdy znów sięgają ramion.

z własnej firmy. W Galatas żyje się skromnie, jedzenie jest świeże i tanie. 150 euro tygodniowo wystarczy na wszystko, razem z dobrym winem, niehodowlanymi rybami i krewetkami. – Czego najbardziej brakuje Grekom? Uścisku, pocałunku, tańca – wylicza Magda. – Mnie szokuje brak ludzi w tawernach – dodaje. – To tak jakby odebrać im ich greckość.

Wraz z wynalezieniem szczepionki ludzie wrócą do podróżowania dla przyjemności, przewiduje Polka. Przyzwyczajają się do procedur. *Slow tourism*? Był w Galatopii Louis z Ameryki, zakochał się w tym miejscu i chciałby w nim zaszcześcić ideę „zrównoważonej turystyki”. Pójdą z jego projektem do lokalnych władz. Poza tym Magda i Perykles zawsze zachęcali gości do dłuższych pobyków, zanurzania się w lokalnym życiu. Długodystansowców można lepiej poznać, zaprzyjaźnić się. Rekordzista Chris pisał u nich artykuł do „Washington Post”, kończył pracę

doktorską, w tym roku chciałby zacząć pisać książkę. Na razie Grecja nie wpuszcza Amerykanów. Ale, myśląc perspektywicznie, praca zdalna przy biurku z widokiem na Morze Egejskie – czemu nie?

Ratować życie makijażem

Ma zmęczony głos. Samochód zaparkowała pod domem, nie weszła na górę. W tle gra cicho muzyka. Cindy opowiada o sobie ostatkiem sił. Od pocznie nazajutrz, przy klientkach.

Urodziła się w Norymberdze, w wieku szkolnym przeprowadziła z rodzicami do Szczecina. W niemieckiej podstawówce spędziła jeden trudny rok, co dało wstęp do dobrego ogólniaka. – W trzeciej klasie odkryłam swoje powołanie – mówi Cindy. – Chciałam ratować życie kobietom. Makijażem.

Przyśnił jej się amerykański sen – zostać Ewą Chodakowską kosmetyki. Po maturze wyjechała na miesiąc do Anglii. Chciała studiować makijaż, ale wystarczył telefon od mamy, by wróciła do Berlina, gdzie mama zaczynała nowe życie. Cindy zdobyła fachowe wykształcenie, ale nie od razu odnalazła się w niemieckiej stolicy. Zapadła decyzja – Warszawa. Wróciła do Niemiec po pięciu miesiącach. Dostała propozycję pracy w telewizji. Miała jeździć po kraju i organizować ciuchy dla kandydatek do telewizyjnego show „przed i po”. Do Hamburga, gdzie czekało służbowe auto, zawiozła ją przyjaciółka, dalej musiała radzić sobie sama. – Po sześciu latach przerwy usiadłam za kółkiem i od razu spowodowałam wypadek – wspomina. Nie zniechęciła się. Przy drugiej edycji programu doznała olśnienia – w machinie medialnej kobieta po metamorfozie ciągle jest produktem.

Spróbowała kreatywnych sesji, ale praca z modelkami, które i tak mają piękną, młodą skórę, nie przyniosła satysfakcji. Na targach w Londynie Cindy poznała Alex Box, mistrzynię makijażu. Alex postawiła jej makijażowego tarota. Cindy wspomniła o swojej fascynacji malowaniem chorych na nowotwory. – Zrób to – poradziła Alex. Wywróżyła też dziecko. Rok później Cindy zaszła w ciążę.

Kiedy skończył się program, zrobiła dalsze kursy. Otarła się o Pro Sieben, gdzie malowała gwiazdy.

Zbliżyła się do celu finansowego i... wypalenia. Wtedy wytindrowała sobie męża, Polaka. Oboje chcieli dziecka, było cudownie.

Macierzyńskiego wysiłku nie da się porównać z żadną pracą. Przez rok Cindy dostawała zasiłek wychowawczy. Potem łapała sporadyczne zlecenia i takie też miała dochody. Mąż nie garnął się do wspierania żony na bezpłatnym urlopie. Frustracja wywołała u Cindy wolę działania. Tkwiąc w logistycznym matriksie – opieka nad Mają, gotowanie, sprzątanie, zakupy – poszła do szkoły permanentnego makijażu. Znalazła lokal za 300 euro miesięcznie, z covidowego dofinansowania dołożyła na sprzęt. Dzięki rabatom urządziła gabinet w dobrej cenie. W pierwszym tygodniu po otwarciu salonów klientki wpadły w makijażowy szal, potem się uspokoiło.

W Berlinie w pierwszym tygodniu po otwarciu salonów klientki wpadły w makijażowy szal, potem się uspokoiło.



– Chciałam ratować życie kobietom. Makijażem – mówi Cindy.

W dzień Cindy siedzi z Mają (przedszkole wciąż zamknięte). Gdy zmieni ją mąż, jedzie do salonu. Sił dodaje jej wywalczona w tak trudnym momencie niezależność. Uwielbia swoją pracę – rozmowy z klientkami, wspólne herbatki. Podczas pandemii łamie zakaz częstowania napojami, proponując wodę.

Pierwszy weekend z koronawirusem był ciężki. Bała się, więc czytała i słuchała radia jak leci. Z czasem

zaczęła filtrować wiadomości, męża poprosiła o to samo. Polska? Słuchała, co tam się dzieje. Woli swoje miasto wolności. W Berlinie jest miejsce dla każdego koloru skóry, każdej płci, każdego ubioru. Dla każdego jest klub, restauracja, dzielnica. Takiego świata pragnie Cindy dla Mai – wolnego od konwenansów, od polskiego „bo tak, bo musisz, bo nie wypada”.

Baza klientek powoli rośnie. Na razie Cindy nie może zagwarantować kobietom, że nie mają czego się bać. – W tej branży higiena była i jest kluczowa – zapewnia. – Na szczęście kobiety zawsze będą chciały zająć się wyglądem. Ładne brwi to jest to.

Jest dziwnie

Kasia znów jeździ. Dublin imprezuje na domówkach, więc na razie ma

pracę. – W Irlandii spokojnie, lepiej niż w UK – melduje, wyluzowana. – Nasz premier jest ostrożny z otwieraniem wszystkiego.

Jej mąż również nie narzeka na brak zajęć. Czekają na otwarcie szkół, to jest teraz najważniejsze.

Cindy właśnie główkuje nad ofertą specjalną. – „Zrób sobie brwi przed drugą falą”, może być? – śmieje się, z trudem maskując zmęczenie. – Jak oficjalnie ogłoszą drugą falę, wtedy będę się martwić.

Siedzi nad listą: kończące się oszczędności, brak dalszego dofinansowania, nowe przedszkole.

W sierpniu zapęłniło się też u Magdy. Po każdym gościu sprząta specjalna firma. Trwa izolacja, o ile to możliwe. – Dziwnie jest – mówi Polka. – Chciałoby się wyjść na kolację, ale to niezbyt dobry pomysł. Mamy już COVID-19, osiem przypadków na Poros i dwa w Galatas – wzdycha. – Ludzie za bardzo się rozluźnili, teraz lekko panikują.

Zamknęto się kilka restauracji, barów. Przyjechała specjalna jednostka testująca, która najpierw zbada pracowników sektora publicznego. Nie można wykluczyć lokalnego zamknięcia. Wszyscy czekają – na koniec sezonu i na następny rok, z nadzieją, że będzie lepszy.

Zuzanna Muszyńska

Kwarantanna – as chilijskiego rządu

Gdy Europa mierzy się z drugą falą COVID-19, Chile wciąż walczy z pierwszą. Prezydent bardziej boi się drugiej fali protestów społecznych



Protesty przed zbliżającym się referendum w sprawie nowej konstytucji.

Joanna Broniewska

Prawie 390 tys. potwierdzonych zakażeń, ponad 10 tys. zmarłych. Chile przoduje w światowych zestawieniach pod względem liczby zakażonych na milion mieszkańców, a nowe przypadki wciąż oscylują wokół 2 tys. dziennie. Mimo to od trzech tygodni rząd mówi o stopniowym odmrażaniu kraju. Program „Krok po kroku” ma pięć faz, a drugą jest zniesienie kwarantanny od poniedziałku do piątku w dzielnicach i miastach, które z pandemią radzą sobie najlepiej. Kryteria przejścia do drugiej fazy nie są jasne.

Santiago Centro to dzielnica, która w skali światowej plasuje się w czołówce miejsc najdłużej trwającej kwarantanny. Właśnie tutaj znajduje się Plaza de Armas, większość zabytków i znaczna część dużych firm oraz instytucji. To również newralgiczna część miasta, jeśli chodzi o wszelkie protesty i manifestacje, w tym zamieszki, które wybuchły w Chile 18 października ub.r.

Chilijczycy wyszli na ulice w protestach przeciw podwyżkom cen biletów metra. Kilka peso więcej za przejazd było bowiem kroplą, która przelała czarę goryczy. „To 30 lat, nie 30 peso”, mówili Chilijczycy. Chodziło więc o reorganizację systemu emerytalnego, służby zdrowia oraz szkolnictwa, o zmniejszenie różnic klasowych i skończenie z priorytetowym traktowaniem interesów polityków i elit. Rządzący nie mieli wyjścia – na kwiecień zaplanowano referendum konstytucyjne. Mimo to starcia z wojskiem i policją, podpalenia i protesty trwały, dopóki w kraju nie pojawił się koronawirus.

W ramach zwalczania pandemii jako pierwsza wprowadzona została godzina policyjna. W całym kraju obowiązuje ona do dzisiaj. Kilka dni później kwarantanną objęto niektóre miasta i część dzielnic stolicy. 26 marca zamknięto Santiago Centro.

Pod względem liczby zakażeń i śmiertelności maj i czerwiec były krytyczne dla regionu stołecznego. W lipcu liczba zachorowań zaczęła powoli spadać. Trzy tygodnie temu

kwarantannę zniesiono w zachodnich dzielnicach Santiago, czyli w najbogatszej części miasta. Ministerstwo Zdrowia zapowiedziało stopniowe włączanie kolejnych stołecznych dzielnic do drugiego etapu odmrażania kraju. Kryterium ma być liczba osób zakażonych na 100 tys. mieszkańców. Niedawno do dzielnic wyłączonych z kwarantanny doszła Providencia, której granica z Santiago Centro przebiega przez plac Baquedano, główne miejsce ostatnich zamieszek, nieoficjalnie przemianowane na plac Godności.

Przejście dzielnicy Providencia do drugiej fazy odmrażania wywołało publiczną dyskusję. Według ostatnich danych Ministerstwa Zdrowia szacunki w przypadku Santiago Centro wynoszą 47,3 zakażonych na 100 tys. mieszkańców, podczas gdy w sąsiedniej Providencii – 58,3. Dla wielu to potwierdzenie wcześniejszych teorii o kwarantannie politycznej. Już w kwietniu niezależne media mówiły o nieuzasadnionym z punktu widzenia liczby zakażonych utrzymywaniu zamknięcia tych części stolicy, w których w poprzednich miesiącach odbywały się najsilniejsze protesty.

Enrique Paris, minister zdrowia odpowiedzialny za tę decyzję, w rozmowie z burmistrzem Santiago Centro Felipe Alessandrim powiedział, że choć liczby są optymistyczne, na ulicach Santiago Centro znajduje się zbyt wiele osób, głównie nielegalnych sprzedawców oraz bezdomnych, stanowiących zagrożenie. 12 sierpnia Alessandri odwiedził pałac prezydencki, po czym ogłoszono przejście Santiago Centro od najbliższego poniedziałku do drugiej fazy.

Gdy pojawił się koronawirus, niezadowolone chilijskie społeczeństwo przeniosło się do mediów społecznościowych. Towarzyszą mu *cacerolazos*, protesty polegające na uderzaniu w garnki. Dźwięki te przy różnych decyzjach rządu rozbrzmiewają z okien i balkonów w całym

kraju. Mieszkańcy biedniejszych dzielnic stolicy wyszli na ulice, bo pandemia odcięła ich od źródeł utrzymania.

Paczki żywnościowe to program, którym od maja szczyli się rząd, mówiąc o milionach rozdyskrebowanych pakietów. Istotnie je rozdaje, jednak paczki docierają do osób, które ich nie potrzebują. Pojawiły się bony, ale miliony ludzi pozostają poza ich zasięgiem. W końcu władza postanowiła wspomóc Chilijczyków ich własnymi oszczędnościami – każdy może wyciągnąć 10% ze swojego funduszu emerytalnego. Rządzący nie radzą sobie z sytuacją, a mieszkańcy Chile robią się coraz bardziej niecierpliwi. Referendum konstytucyjne przełożono na październik.

Według ośrodka badań publicznych Criteria 64% Chilijczyków uważa, że protesty po pandemii będą silniejsze niż te w październiku ub.r. Naród nie tylko uwierzył, że ma siłę sprawczą, ale i zobaczył bezradność rządzących wobec obecnego kryzysu i potrzeb obywateli. Prezydent i ministrowie reagują wolno, nie zapominając o własnym interesie. A muszą

uważać. Były minister zdrowia Jaime Mañalich jeszcze w maju stwierdził, że nie zdawał sobie sprawy ze skali biedy w stolicy. Chwilę później został odwołany ze stanowiska. W internecie wrze niezadowolenie. Coraz częściej mówi się o protestach w wersji 2.0.

Chilijczycy uwierzyli, że mają siłę sprawczą, ale i zobaczyli bezradność rządzących wobec obecnego kryzysu.

Pierwszego dnia po otwarciu Santiago Centro na placu Baquedano pojawili się policjanci. Stoją przy odrestaurowanym w pierwszych dniach kwarantanny pomniku gen. Baquedana i przy świeżo odmalowanej stacji metra – zamkniętej od 18 października. Na trawnikach wreszcie odrósł trawa, działa też nowa sygnalizacja świetlna. Poprzednią spalili protestujący w pierwszych dniach zamieszek.

Szacuje się, że wraz z październikowymi zamieszkami w ubiegłym sezonie Chile straciło w stosunku do roku poprzedniego 22,7% turystów. Kolejny sezon zbliża się wielkimi

krokami, zwykle większe grupy przyjeżdżają już w październiku. Chilijskie granice pozostają zamknięte, choć rząd pomału przygotowuje się do ich otwarcia. I od razu pojawiają się teorie, że Chile nie odczuje przejścia pomiędzy pierwszą a drugą falą

koronawirusa, bo wraz z otwarciem granic pojawią się turyści zagraniczni, głównie ze Stanów Zjednoczonych. Stawka jest wysoka. W połowie grudnia na południu Chile będzie można zaobserwować zaćmienie słońca. Już pod koniec ubiegłego roku hotele znajdujące się w pasie, w którym będzie ono widoczne, nie dysponowały wolnymi miejscami. To duży i potrzebny zastrzyk finansowy dla turystyki. Z drugiej strony zagraniczni turyści i ryzyko drugiej fali koronawirusa zlewającej się z pierwszą to też nadzieja. Nadzieja dla rządzących na odłożenie protestów i referendum na kolejny rok. ■

Szkolenia Microsoft Excel

Dedykowane szkolenia dla firm:

- MS Excel - bez tajemnic (biznes i firma)
- MS Excel - finanse, księgowość, kadry
- MS Excel - poziom zaawansowany
- MS Excel - analiza danych
- MS Excel Business Intelligence + Power BI

www.szkoleniami.pl/szkolenia/



Wzburzony ludowy ocean

Karol Modzelewski o Solidarności

Karol Modzelewski wymyślił nazwę Solidarność, był rzecznikiem tego ruchu i jednym z jego liderów. Jak go widział? Czym dla niego była Solidarność? Jak skończyła? Oto kilka jego refleksji. Pochodzą one z książki „Modzelewski – Werblan. Polska Ludowa” i z wywiadów publikowanych na łamach PRZEGŁĄDU, które znaleźć można też w książce „Modzelewski. Buntownik”.

Robert Walenciak

PLEBEJSKA POTRZEBA DOKONANIA SAMOSĄDU

Robert Walenciak: Panie profesorze, był pan rzecznikiem Solidarności, mógł pan obserwować ją od środka. Co pan widział? Związek zawodowy? Ruch społeczny? Ruch, który rozbija PZPR?

Karol Modzelewski: – To się zmieniało. Moim zdaniem to było pospolite ruszenie ludzi, którzy poczuli się suwerenni. Mówię o tych, z którymi miałem do czynienia bliżej, którzy zabierali głos, byli dla załóg, dla robotników – jak dziś się mówi – liderami opinii.

R.W.: Pan też był liderem opinii.

K.M.: – Ja byłem liderem opinii na wyższym szczeblu, ale to oni napędzali ten ruch, oni organizowali ruch związkowy. Znałem tych ludzi. Nagle coś w nich wstąpiło. To było wybić się ludzi pozbawionych pewnego wymiaru samodzielności w życiu społecznym.

Andrzej Werblan: Dla nich sprawy związkowe okazały się całkiem za małe.

K.M.: – Oni traktowali to jako związek zawodowy, ale angażowali się w działanie, dlatego że chcieli zmiany.

A.W.: Wojewodę chcieli zmienić.

K.M.: – Chcieli, jak by to powiedzieć, chcieli się rządzić.

A.W.: Przypuszczam, że chcieli być PZPR-em, tylko innym.

K.M.: – Wzór partii, owszem, był istotny, dlatego że wyrażał się w tęsknocie do pewnego monolityzmu.

A.W.: I do decydowania o wszystkim.

K.M.: – Też... Ale jeśli pan już mnie pyta o zdanie, to raczej

widziałbym inny wzór. Wprawdzie nie wiem, na ile opisy rewolucji rosyjskiej są trafne, ale to wyglądało jak ruch sowietów po prostu. Ruch rad. Solidarność wydobyła potencjał aktywności zbiorowej.

R.W.: Panie profesorze, jak płynęła rzeka tej solidarnościowej rewolucji, to pan płynął razem z nią, czy próbował w jakąś stronę ją skierować?

K.M.: – Miałem świadomość, którą mieli też doradcy, że jesteśmy w sytuacji śmiertelnego ryzyka, wszyscy. Że porozumienia sierpniowe i rozlewający się na całą Polskę ruch strajkowy doprowadziły do takiej sytuacji, w której dobrze by było, gdyby udało się ją zamrozić. W tym sensie, żeby niezależny ruch masowy, ruch robotniczy, bo to trudno nazwać tylko ruchem związkowym, mógł współistnieć z istniejącym systemem, przynajmniej z jego istotnymi częściami, które udałoby się zmieścić w Układzie Warszawskim. Nie w takim sensie, że występujemy z Układu Warszawskiego, tylko w sensie, że rządzi państwem partia, która ma zaufanie Moskwy, partia nie wtrąca się do spraw związkowych, a związek rządzi się sam. I trzeba tak przebudować państwo, żeby istnienie dwóch takich podmiotów go nie rozwalilo. Co do tego drugiego, że to wymaga przebudowy państwa, ta świadomość wynikała z przebiegu wydarzeń, więc ona we mnie się rozdziła z czasem. Na początku to ja po prostu chciałem, żeby...

R.W.: Żeby to funkcjonowało?

K.M.: – Żeby ci ludzie zrozumieć, że istnieje pewna granica, poza którą żądanie zmian jest samobójcze. Ale musieli to zrozumieć sami organizatorzy związku. Te wszystkie Joanny d'Arc! Uważałem, że jak one tego nie rozumieją, to nic z tego nie

będzie. Bronek [Geremek], Tadeusz Mazowiecki, Andrzej Wielowieyski, o nich myślę, oni bali się tego samego, czego i ja się bałem. Ale oni nie wierzyli, że można tłumom wpoić świadomość zagrożenia i jakiegokolwiek realizm geopolityczny. (...) Więc oni mieli takie poczucie, że jesteśmy na tratwie, którą niesie wzburzony ludowy ocean. Ten ocean zmierza ku przepaści. Żeby odwrócić ten prąd ku przepaści, coś trzeba zrobić. No, co trzeba zrobić? Przecież nie możemy gadać do tego oceanu, bo to nic nie da. Ocean nas nie zrozumie. Musimy znaleźć kogoś, kto ten ocean poprowadzi. I to był Wałęsa.

R.W.: Naturalny przywódca ludowy.

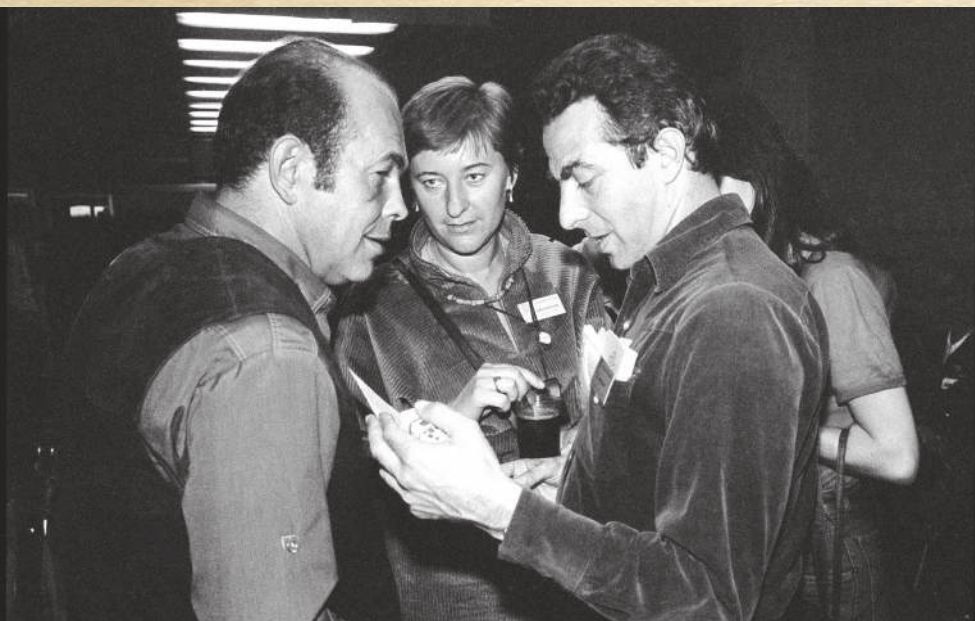
K.M.: – W Solidarności, która była ruchem anarchicznym, chodzi mi o mechanizm społeczny, jednocześnie istniał pewien samorodny kult przywódcy. Nikt tego nie wykreował. Owszem, doradcy próbowali to wspierać, lecz nie oni ten kult stworzyli. Nie oni stworzyli Wałęsę, nie oni stworzyli kult Frasińskiego. Więc ich pomysł był taki, żeby mieć wpływ na ten ocean poprzez Wałęsę, który miał pozycję przywódcy, wręcz dyktatora. Oni go wspierali, próbowali obłaskawiać, kontrolować, licząc, że dzięki temu będzie można uzyskać ten realizm.

A.W.: To się częściowo sprawdzało.

K.M.: – To się częściowo udawało, choć to była gra trudna, bo Wałęsa jest niesterowny. (...) W Solidarności była wtedy pełna demokracja, demokracja tłumy, demokracja wiecu. Ja wiem... dużo było w tym mentalności sejmikowej.

R.W.: Mentalność sejmikowa była szczególnie widoczna podczas konfliktów z przedstawicielami władzy.

K.M.: – Myśmy je nazywali zastępczymi. Przykładem był konflikt o Stanisława Cioska. Wówczas ministra ds. związków zawodowych, a wcześniej I sekretarza wojewódzkiego w Jeleniej Górze. Działacze z Jeleniej Góry domagali się, żeby związek zażądał jego dymisji. Dlaczego? Tak naprawdę oni mieli Cioskowi



Karol Modzelewski z Jackiem Kuronem podczas pierwszego krajowego zjazdu NSZZ „Solidarność”, Gdańsk, 6 września 1981 r.

za złe, że ich owinął dookoła palca w czasie negocjacji w sierpniu 1980 r. Że wystrychnął ich na dudka. Ale w tym wszystkim nie tylko była chęć rewanzu kilku działaczy, tam była też plebejska potrzeba dokonania samosądu. Nie fizycznego...

A.W.: ...ale moralnego w każdym razie...

K.M.: – Przynajmniej moralnego i politycznego samosądu na miejscowym kacyku, który reprezentował w oczach tych ludzi całą krzywdę, która ich spotykała na różne sposoby w Polsce Ludowej. (...) Jak pamiętam, Cioska najpierw oskarżano, że zbudował sobie willę. Później okazało się, że to nie była willa, tylko rezydencja przewodniczącego wojewódzkiej rady narodowej. A wtedy była taka zasada, że I sekretarz wojewódzki był zarazem przewodniczącym WRN. Dlatego go tam zakwaterowano. Jak to wyjaśniono, to trzeba było uczyć się czego innego. Więc oskarżono go, że za pieniądze publiczne uszył sobie garnitur. Okazało się, że zapłacił za ten garnitur. Więc zaczęto wołać, że do garnituru zamówił drugą parę spodni. To był ten przejaw luksusu!

R.W.: Że ma być sprawiedliwość...

K.M.: – Ma być sprawiedliwość! I trzeba rozliczyć tego sekretarza wojewódzkiego! W Bielsku-Białej był najbardziej zawzięty właśnie tego typu rewolucyjny strajk. Plebejska rewolucja. Patryk Kosmowski, którego z tego powodu wzywaliśmy na

dywanik w krajówce, jak się bardzo zdenerwował, to powiedział: „Kurwa, niech już będzie totalizm, ale ma być sprawiedliwy!”. (...)

R.W.: Uważał pan, że rząd nie ma sił, by samemu rozprawić się z Solidarnością?

K.M.: – Tak wtedy uważałem. Uważałem, że konfrontacja władz ze związkiem tylko polskimi siłami jest nie do wygrania. Że jak się zacznie – to nieuchronna będzie interwencja. Zresztą taką rozmowę miałem, prywatną zupełnie, z Romanem Zimandem. Mówiłem mu, że nasze szanse na przetrzymanie polegają na podtrzymaniu takiej sytuacji, w której polscy komuniści nie będą w stanie sami, własnymi siłami, z nami się rozprawić. A on tak spojrzał na mnie i powiedział: „Jest na odwrót, wasze szanse polegają na tym, żeby to polscy komuniści byli w stanie z wami się rozprawić”.

A.W.: Miał rację Roman Zimand.

K.M.: – Z mojej strony to był brak wyobraźni logistycznej, ponieważ do tego wcale nie potrzeba było tak wielkich sił. Ale wtedy chyba przeceniałem siłę oporu Solidarności, no i sądziłem, że aby ją złamać, trzeba by było masowego udziału wojska. A to przecież by się nie udało... To moje przekonanie tłumaczy wiele z moich słów z narady radomskiej.

R.W.: Te słowa „Bój to będzie ich ostatni”...

K.M.: – To była część dość długiego zdania. Władza to wszystko sobie zmontowała. W mojej wypowiedzi

najpierw wytłumaczyłem, dlaczego wszystko wskazuje na to, że władza zdecydowała się nas zdławić, zadusić. Potem stwierdziłem, że musimy pokazać, że jesteśmy gotowi do podjęcia konfrontacji, do obrony. Inaczej mówiąc, musimy im powiedzieć, że bój to będzie ich ostatni. Użyłem specjalnie takiej metafory, która musiała się podobać publiczności. Ale od razu wyjaśniłem, co to znaczy, że chodzą mi o zapowiedź strajku generalnego. Inaczej mówiąc, trzeba jasno powiedzieć, że odpowiedzią na zarzyny związku będzie strajk generalny. Że nie damy się zarznąć bez walki. I to oczywiście zostało wycięte. W ogóle pocięto moje wystąpienie strasznie! Na początku analizowałem sytuację i mówiłem, że związek nie jest wcale silniejszy, jest słabszy, dużo słabszy i każdy działacz o tym wie. Jest słabszy, ponieważ daleko nam do tej determinacji, jaką mieliśmy w marcu 1981 r. Z jednej strony są ludzie, którzy mówią: „Idźcie na całość, skończcie z nimi”. To oczywiście zacytowano. Ale chwilę potem mówiłem: „Inni powiadają: a odpuście, mamy dosyć takich warunków życia”. I to oczywiście wycięto! (...)

R.W.: Czy w Radomiu był pan już przekonany, że sytuacja zmierza w kierunku rozwiązania siłowego, czy jeszcze uważał pan, że jest szansa na jakiś kompromis?

K.M.: – Uważałem, że jest jeszcze cień szansy, ale musimy pokazać, że mamy mocne bicepsy.

(Modzelewski – Werblan.

Polska Ludowa, Rozmawia Robert Walenciak, Iskry, Warszawa 2017)

TAMTEJ SOLIDARNOŚCI JUŻ DAWNO NIE MA

K.M.: – W sumie przepracowałem jako robotnik jakieś trzy, cztery lata w moim życiu. Byłem robotnikiem przymusowym w fabrykach przymusowych. Natomiast czułem się bardzo związany z naszą bazą społeczną z lat 1980-1981. I chyba nie zdawałem sobie do końca sprawy, że tamtej Solidarności to już dawno nie ma. Że ta nowa Solidarność, o tej samej nazwie i postępująca się tą samą symboliką, to już jest coś zupełnie innego. I że obrony robotniczej bazy nie ma się już co spodziewać.

R.W.: A pan bronił. Dlaczego?

K.M.: – Bo wydawało mi się, że zmierzamy do zapaści ekonomicznej ▶

► i społecznej. Przesadne, być może, były moje obawy. Ale niebezpieczne. Ponieważ przez fazę ciężkiego kryzysu przeszliśmy i nie całkiem z niej wyszliśmy. Nie wszyscy wyszli i nie wszędzie. A ci, z którymi czułem się związany w latach 1980-1981, najczęściej nie wyszli. Nie mam na myśli kadry działaczy związkowych, tylko ludzi w zakładach. (...)

W Białotęcie siedziałem z robotnikiem z Rawaru. Zakłady Rawar to były zakłady wojskowe, jedne z nielicznych zakładów, które zastrajkowały 13 grudnia. I on mi opowiadał, jak było. Wyszło tam ZOMO, oni siedzieli na hali. Dowódca zomowców powiedział: wychodzić. Oni nic. Nie wyjdziecie? Nie! Ładuj broń! Trzasnęły zamki, ci wymierzili w nich lufy. I koniec. Wyszli z zakładu, przecież nie mieli swoich karabinów, żeby odpowiedzieć... Człowiek, który wyjdzie po czymś takim, już nie jest tym samym człowiekiem, co przed. Generalnie rzecz biorąc, nie można stawiać całego społeczeństwa wobec próby heroizmu, choć bywają momenty zbiorowego szału. Ale na szczęście taki moment nie nastąpił, nie połała się rzeka krwi, zginęło stosunkowo mało osób. To jest straszne, że oni zginęli, czuję się za to współodpowiedzialny, trzeba było nie chłapać jęzorem w Radomiu...

R.W.: Że bój to będzie ich ostatni...

K.M.: – Nie mówiłem tego publicznie i na pewno nie powiedziałbym tego do masowego zaplecza, mówiłem do członków Komisji Krajowej... Władza to nagrała, wypręparowała, poszła salwa propagandowa... Trafiło to do ludzi i niektórzy poszli, oczywiście nie dlatego, że ja tak powiedziałem, ale dlatego, że im tak w duszy grało. I niektórzy zginęli. Na szczęście była to tragedia na kilkanaście osób, a nie na kilkadziesiąt tysięcy czy nawet jeszcze więcej. Na szczęście ludzie w obliczu przemocy na ogół uznają, że mają żyć. Naród nie może zginąć na barykadach, naród musi żyć.

R.W.: Ale to, że się nie poszło na barykady, kluje?

K.M.: – To potem zostaje. To pamiętają ci, którzy decydują się na działalność podziemną. Oni już nie mają za plecami masowego zaplecza, ich stosunek do masowego zaplecza się zmienia. Bo ci z zaplecza, oni się złamali jak szczyraki, a my jesteśmy ci twardzi, prawdziwi

antykomuniści. I od razu przechodzimy na inną retorykę, przeciwnika już nie postrzegamy jako rządu czy jako partii, tylko jako ludzi Moskwy. Rosyjski generał w polskim mundurze, okupant, orła wrona nie pokona... To jest język wojny, ale zmienia on niepostrzeżenie tożsamość grupy, która tym językiem się posługuje. Ta nasza konspira, w której dość długo upatrywałem przedłużenie tamtej Solidarności, stała się po prostu antykomunistyczną konspiracją, bez żywej łączności z masowym robotniczym zapleczem. A oprócz tego byli ludzie, którzy znaleźli poparcie w kościołach... (...) Ci z nas, którzy chodzili do kościoła, nie czuli się tam obco.

R.W.: Obco?

K.M.: – Aktyw Solidarności w latach 1980-1981 był dość antyklerykalny. Wtedy słyszałem pełno sarkau, że ci czarni tu się szarogęszą. W tym sensie, że narzucają nam kunktatorskie stanowisko, za pomocą intryg wycinają co radykalniejszych działaczy, popierają jakiegoś Wałęsę, a nie Gwiazdę i Walentynowicz. A ten ksiądz Jankowski, taki obrzydliwie umiarkowany, poplecznik ministrów i sekretarzy. O którym mówili, że nosi swoje aspiracje na brzuchu, a przekonania w butach. Bo nosił fioletową

kamizelkę, a do czarnych butów czerwone skarpetki. Taki antyklerykalizm był w 1980, 1981 r. na porządku dziennym. (...)

R.W.: A dlaczego nowa władza przyjęła ideologię konspiratorów, stała się uległa wobec Kościoła? Co wpłynęło na to wszystko? Na ewolucję poglądów, postaw?

K.M.: – W pewnym momencie w tzw. obozie postsolidarnościowym pojawiła się świadomość, że gdzieś nam ucieka ta wielka popularność. Naród nas wybrał, naród nas kochał, a tu raptem naród przestaje nas kochać. Zrobiliśmy słuszne i konieczne, choć bolesne rzeczy, a ci szarzy zjadacze chleba – oni chcą chleba! I bezrefleksyjnie zaczynają nas odrzucać. Nie wiem, czy pan wie, że popularność to jest stan, w którym rodzi się uzależnienie. Kto jest noszony na rękach, nie zapomni tego uczucia. I jak przestają go nosić na rękach – to mu okropnie czegoś brakuje. Goni wtedy za uciekającą popularnością na różne sposoby. I wtedy jest gonitwa. Jedni zaczynają kontestować rodzący się kapitalizm, tacy jak Bugaj czy ja. Drudzy – idą z Kościołem. Bo Kościół to jest ta siła wpływowa. A inni – stawiają na dekomunizację. Że my tutaj pogonimy czerwonego. Zmobilizujemy potrzebę odwetu, która tkwi w ludziach. Pokażemy tego, który jest winien...

R.W.: Na czym polegał sukces werbalnego antykomunizmu, że zdominował on debatę?

K.M.: – Dla elit postsolidarnościowych jest to retoryka legitymizująca ich roszczenia do władzy.

(Jestem z tej Polski, która ginie,

PRZEGŁĄD nr 51-52/2009)

CO ZOSTAŁO Z MITU?

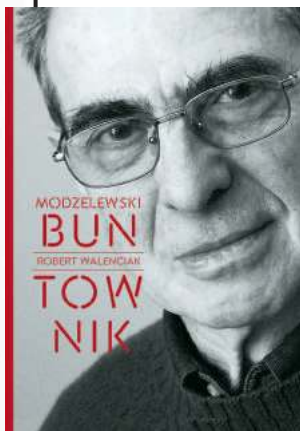
R.W.: A mit Solidarności? Wytrzyma próbę najbliższych lat? W państwie PiS?

K.M.: – Mit się zużył właściwie już na planie Balcerowicza. I zużywa się coraz bardziej. Trochę mi szkoda, że młodzi ludzie, którzy są bardzo wrażliwi na fałsz, jak będą widzieli te wszystkie akademie ku czci Solidarności, będą mieli odruchy wymiotne. A to naprawdę było wydarzenie niezwykłe w skali świata. Szkoda je tak w gnój wdeptać.

(Wasale i lokaje polityki,

PRZEGŁĄD nr 51-52/2005)

Człowiek, który nigdy nie zdradził ideałów Solidarności



65 zł

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 65 zł prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Odumarli

Wujec, Walicki, Janion, co tydzień jakieś mowy pogrzebowe, straty niepowetowane; późnym latem zebrało się na umieranie postaciom wielkich umysłów i zasług, Polska je traci i jakby sama się traciła, bo teraz ludzie umierają bardziej – zostawiają nas samych w państwie kaczytowskim. Obok smutku pojawia się rodzaj rozżalenia, że „wiedzieli, kiedy się zawinąć”, odumarli nas, ich śmierć wpisuje się w tak ponury pejzaż polityczny i społeczny, że jest podświadomie poczytywana za rodzaj ucieczki, emigracji w zaświaty. Z każdym pogrzebem postaci, dzięki której mogło się czuć „dumę z bycia Polakiem” – jakże inną od tej wyznawanej przez rząd spopolitowany z ulicznym motłochem w odzieży patriotycznej – pogrążam się w żałobie po kraju, o którym niegdyś myślałem z czułością; wielcy Polacy odchodzą, robiąc miejsce barbarzyńcom.

Właśnie minęła i moja prywatna rocznica pierwszej śmierci człowieka najbliższego, pierwszej przeżywanej tak bezpośrednio, bo w drugiej osobie (nie „on umarł”, lecz „Ty umarłeś”): od roku jestem pólsierotą. W przypadku ojca też mogę uznać, że „umarł w porę”; w ostatnich miesiącach życia pogrążony w demencji jako pensjonariusz DPS, nie doczekał pandemii koronawirusa, dzięki czemu bliscy mogli z nim być do ostatnich dni. W pierwszą rocznicę śmierci ojciec przyśnił mi się jak zwykle w kwiecie wieku, pełen energii, pochłonięty malowaniem obrazu w swojej pracowni. Poprosiłem go, żeby namalował dla mnie śmierć, skoro wie, jak wygląda, bo już ją przeżył, na co z ochotą przystał. Matka skarciła mnie za lekkomyślność: nie powinienem poruszać przy nim tematu śmierci, ojciec może się czuć niezręcznie, a nawet umrzeć ponownie. Ciekawe, że matce on nie śni się prawie nigdy, a mnie niemal co noc; mnie zawsze żywy, jej wyłącznie martwy. Na przykład ostatnio wyśniła jego zwłoki na tapczanie i zmartwiła się, co ludzie powiedzą na wieść, że to nie on został pogrzebany, a w ogóle to przecież tyle było zachodu z tą ceremonią, ach, że też nawet po śmierci tata musi ją narażać na złowrogie plotki. Być może prędzej ode mnie poradziła sobie z żałobą; wierzę, że dopiero kiedy bliski umrze także tam, po drugiej stronie, we śnie, dokonuje się praca żałoby – mnie ojciec wciąż nawiedza w pełni sił.

Pamiętam przejmującą scenę z bliskiego mi „Constans” Krzysztofa Zanussiego: bohater po powrocie z górskiej wyprawy

odruchowo biegnie do budki telefonicznej na lotnisku, żeby zadzwonić do matki, i dopiero ze słuchawką w dłoni przypomina sobie, że nie ma już do kogo dzwonić. Niedawno przeżyłem to samo na szczycie Żabiego Konia; zawsze dzwoniłem zameldować ojcu, że zdobyłem właśnie jedną z tych niedosiężnych turni, które podziwiał w panoramie Tatr, lecz nigdy nie miał okazji na nie się wdrapać. Zadzwoniłem więc do matki i poprosiłem, by poszła na cmentarz i opowiedziała mu o mojej wspinaczce, czemużby mój rytuał miał umrzeć razem z ojcem. Pamiętam, że przygotowałem mowę pogrzebową, ale kiedy przyszedł na nią czas, po raz pierwszy w życiu poczułem, że głos dosłownie uwiązał mi w gardle, jakbym owładnięty nagłą afazją nie umiał przyłożyć słów do ich znaczeń, wszystko uległo rozsypce, poprzestawiało się; zamiast przemówić, ledwo dławilem szloch.

Kiedy ojciec odchodził, jego najmłodszy wnuk właśnie przekraczał próg niemowlęstwa – wkraczał w mowność. Język dziecka właśnie się rodził, język starca obumierał:

Późnym latem zebrało się na umieranie postaciom wielkich umysłów i zasług, Polska je traci i jakby sama się traciła.

Antoś, szukając właściwych słów, zawieszał się, powtarzając poprzednie słowo tak długo, póki nie znalazł następnego właściwego, ojciec nie tyle się zawieszał, ile używał tych słów, które akurat mu wpadły do głowy, nie zawsze adekwatnych, jakby nie miało znaczenia, czy powie „kołdra”, czy „folia”, w końcu od czego mamy swoje zdrowe tby, domyślaliśmy się więc, o co mu chodziło, kiedy mówił: „Przykryj mnie folią”. Kilka dni przed śmiercią przyszedł do mnie w scenie jakby wyjętej ze „Zmęczonej śmierci” Langa: wyszedł na balkon z papierosem (za życia nigdy nie palił, więc natychmiast rozpoznałem, że śnię), trzymał go na sztorc, żeby nie upuścić popiołu, prawie cały papieros był już spopielony, został mu tylko jeden mach przy filtrze. Zanim go strzepnął do doniczki, powiedział: „Synek, zobacz, to jest moje życie”.

www.tygodnikprzeglad.pl

DOŁĄCZ DO NASZEJ SPOŁECZNOŚCI

Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku i Twitterze





Robert Walenciak

Nie da się w Polsce wskazać autora, który miałby więcej czytelników. Jeszcze kilkanaście lat temu można było śmiało twierdzić, że każdy Polak czytał jego książkę, miał ją w rękach, nosił ze sobą, wertował. To Marian Falski, autor „Elementarza”, z którego nauczyliśmy się czytać i pisać. Ale nie tylko – bo „Elementarz” pokazywał nam otaczający nas świat, mówił, jak jest zorganizowany, co w nim istotne. Chłoniliśmy to bezwiednie. Nie tylko Alę z Asem, ale i to:

*Murarz domy buduje,
Krawiec szyje ubrania,
Ale gdzieżby co uszył,
Gdyby nie miał mieszkania?*

*A i murarz by przecie
Na robotę nie ruszył,
Gdyby krawiec mu spodni
I fartucha nie uszył.*

*Piekarz musi mieć buty,
Więc do szewca iść trzeba,
No, a gdyby nie piekarz,
Toby szewc nie miał chleba.*

*Tak dla wspólnej korzyści
I dla dobra wspólnego
Wszyscy muszą pracować,
Mój maleńki kolego.*

To wierszyk Juliana Tuwima „Wszyscy dla wszystkich”. I jeżeli miałbym analizować, jak kształtowało się moje spojrzenie na świat, ten wiersz byłby na miejscu pierwszym. W genialny sposób tłumaczył bowiem, jak funkcjonuje społeczeństwo – że każdy jest potrzebny, że każdy jest godzien szacunku, że razem pracując i pozostając w zgodzie, ułatwiamy sobie życie. Kupiłem to bez mrugnięcia okiem! Myślę, że nie ja jeden.

Wielki Falski, że zaprosił wielkiego poetę do swojego „Elementarza”. Nie było tu jednak przypadku. Bo Marian Falski to nie była postać przypadkowa. PPS-owiec, mason, rewolucjonista roku 1905, więzień warszawskiej Cytadeli. Przyjaciół Stefani Sempołowskiej. W II RP urzędnik wysokiego szczebla w Ministerstwie Oświecenia. Zaangażowany w sprawy szkolnictwa i jego upowszechniania chyba jeszcze mocniej niż w pisanie kolejnych wersji „Elementarza”. W Polsce



Pan od elementarza i jego tajemnice

Wszyscy zaczynaliśmy edukację jednakowo – od „Elementarza” Mariana Falskiego

Ludowej w Polskiej Akademii Nauk. Jeden z sygnatariuszy „Listu 34”.

Historyjki, za pomocą których uczył nas składać litery, były starannie przemyślane. Na przykład inne podręczniki do nauki czytania z tamtych lat były przesycane odniesieniami do religii, uczyły szacunku dla władzy, księży, krzyża. U Falskiego inaczej – nie ma księdza ani kościoła. Gdy w drugiej połowie lat 30. władze bardzo namawiały, żeby „unowocześnić” swój elementarz, dodał rozdziały o religii, kategorycznie odmówił. Wielkim kompromisem była jego zgoda, by na obrazku przedstawiającym wieś znalazł się, wśród innych, gmach świątyni. Oto kto nas uczył czytać i pisać.

Urodził się w roku 1881 w majątku Nacz, przeszło 100-hektarowym, niedaleko Nowogródka. To tereny

dzisiejszej Białorusi. Na północ od Nowogródka, w dzisiejszych granicach Litwy, leży Zułowo, majątek, w którym urodził się Józef Piłsudski. Na południe, 50 km od Nowogródka, bliżej Mińska, leżało z kolei Oziembłowo, posiadłość licząca ok. 90 ha, dom rodzinny Feliksa Dzierżyńskiego.

Tego świata, tych dworów szlacheckich na Kresach już nie ma, a one na przełomie XIX i XX w. wydały dziesiątki rewolucjonistów, naukowców, badaczy... Ludzi aktywnych, chcących zmieniać świat. Choć potem różnie ich losy się potoczyły.

Falski na studia wybrał Politechnikę Warszawską. Tu wsiąkł w miejscową atmosferę tajnych kompletów i nieprawomyślnych lektur. I chociaż skończył uczelnię, inżynierem nie został. W Warszawie pracy dla niego nie było. Z pomocą przyszły mu tzw.

koneksje. Przyjaciół z lewicowych kółek Zygmunt Heryng zaproponował mu, by został nauczycielem „w zamkniętym domu państwa Meyerów”. „Warunki pracy miałem bardzo dobre – wspominał po latach. – Otrzymywałem po 100 rubli miesięcznie za trzy-cztery godziny lekcji, na które dojeżdżałem codziennie do posiadłości

Partii Socjalistycznej był tak wielki, że nieraz kiedy szedłem z Warszawy na Pragę lub wracając, przechodziłem przez most Kierbedzia, salutowali mi dyżurujący tam policjanci”.

Aresztowanie przyszło w roku 1906. Potem była Cytadela. I miesiące oczekiwania na proces. Falski,

przez Sempołowską broszury. To były czasy, gdy dziewczęta z bogatych domów angażowały się w działalność rewolucyjną... W ten sposób Falski poznał przyszłą żonę.

Marian Falski to nie była postać przypadkowa. PPS-owiec, mason, rewolucjonista roku 1905, więzień Cytadeli.

państwa Meyerów, Turczynka pod Brwinowem. Na stację przysyłano po mnie powóz, a po lekcjach i obiedzie odsyłało”. Ale po paru miesiącach przyszła rewolucja i Falski zrezygnował z tych luksusów.

Rewolucji towarzyszył strajk szkolny, więc w ramach Latającego Uniwersytetu uczył strajkujących uczniów szkół średnich. „Wykładałem matematykę, historię kultury i podstawowe wiadomości z ekonomii politycznej – pisał we wspomnieniach. – Do historii kultury korzystałem z notatek z wykładów Krzywickiego na Uniwersytecie Latającym, miałem też »Antropologię« Tylora, »Historię cywilizacji w Anglii« Bucle’a. Do elementów ekonomii miałem sporo notatek z wykładów zasad socjalizmu, jakie sam prowadziłem wśród robotników i wśród grupy uczniów Szkoły Technicznej Wawelberga. Prócz wykładów Krzywickiego i Iwaniukowa znałem I tom »Kapitału« Marksa, »Program rewolucji« i »Kwestię rolną« Kautskiego, niektóre pisma Engelsa”.

Potem PPS wyznaczyła mu do prowadzenia dzielnicę Pragę. Praca praktycznie non stop, niebezpieczna, bo zawsze mogą zamknąć. Partia funkcyjnym płaciła 15-20 rubli miesięcznie. Falski, jako towarzysz Rafał, oddany był jej całkowicie. „Dnie całe spędzałem na dzielnicy w biurach partyjnych i na przemówieniach po fabrykach, na które schodzili się robotnicy, przerywając nawet normalną pracę. Ja zaś, stojąc na byle skrzyni fabrycznej, klarowałem, wyzywając do walki, obalenia caratu i przejścia z kapitalizmu na demokrację i socjalizm – wspominał tamte czasy. – Niedługo znaleźliśmy osobiście znaczną część spotykanych na ulicach Pragi przechodniów. A autorytet Polskiej

o czym nie wiedział, miał wytoczone dwie sprawy. Administracyjną, z wyrokiem do wyboru – czasowe zesłanie do wschodnich guberni albo wyjazd poza granicę państwa. Oraz drugą, sądową, za przynależność do PPS, za co groziło ciężkie, wieloletnie więzienie. Więźniom pomagali Stefania



Wydanie „Elementarza” z 1971 r.

Sempołowska i adwokat Stanisław Patek. Ten sam, który później, w latach 1919-1920, był ministrem spraw zagranicznych II RP. Patek postarał się, żeby wyrok administracyjny wydany został w sobotę. Tak, by Falski zdążył wyjechać za granicę, zanim władze zorientują się, że ma jeszcze jedną sprawę przed sobą: „Jechałem do granicy z eskortą. Podobno w parę godzin po jej przekroczeniu już mnie poszukiwano, żeby zatrzymać i cofnąć do Warszawy”.

Wyjechał więc za granicę. Do Krakowa. A potem do Zakopanego, gdzie miał się skontaktować z działaczką PPS Ireną Reginą Oxner, Ginką, studentką matematyki w Zurychu, i przekazać jej przygotowane

Miał też inne szczęście. Przypomnieli sobie o nim Meyerowie i zaproponowali, by z powrotem zajął się edukacją ich syna. Akurat jechali do Genui, a stamtąd do Francji, więc mogli go zabrać ze sobą. Zatrzymali się również w Mediolanie, gdzie brat pani Meyerowej, Józef Toeplitz, był dyrektorem naczelnym Banca Commerciale Italiana. Na sezon zimowy pojechali z kolei do Davos. Tam Falski nauczył się jeździć na nartach. We Francji i w Szwajcarii mógł też spotykać się z Ireną Oxner, która kursowała między Zurychem a Monako, gdzie jej brat Mieczysław był wicedyrektorem Muzeum Oceanograficznego. Pracował na tym stanowisku do wojny. Wywieziony zmarł w Auschwitz.

Ale nie wybiegajmy w przyszłość. Latem 1908 r. Falski wrócił do Krakowa. I żeby przeżyć, zaczął dawać prywatne lekcje. Wtedy ostatecznie skryształizował się pomysł napisania podręcznika do nauki czytania i pisania. „Myśl tę podjąłem już wcześniej – to jego relacja – słuchając kiedyś czytania początkującego ucznia, gdy zauważyłem, że niektóre wyrazy czyta szybko i gładko, a nad innymi zatrzymuje się, bąka, duka, płącze litery, jakby posługiwał się dwiema odrębnymi metodami – rozpoznawaniem wyrazów z ogólnego kształtu i składaniem z liter, które wydawałoby się należy metodycznie zespolic”.

U Falskiego nie ma księdza ani kościoła.

Podszedł więc do zagadnienia systemowo. Ściągnął elementarze angielskie, szukał materiałów w Bibliotece Jagiellońskiej. Zaczął zbierać pocztówki i kolorowane obrazki. Porobił pod nimi podpisy i zaczął przeprowadzać próby na małych dzieciach, spotykanych na placach zabaw. Tak zaczęła powstawać jego metoda nauczania czytania i pisania. ▶

▶ Jeśli zaś chodzi o podręcznik, pomogły Falskiemu, jak wcześniej, koneksje i szczypta szczęścia. Zresztą opowiada o tym sam: „Przyjechał pewnego dnia odwiedzić mnie w Krakowie Stanisław Truskowski z Grodna, kolega-przyjaciel z naszego kresowego Komitetu Kółek Uczniowskich. Powiedział mi, że jeśli projektowany przeze mnie podręcznik mógłby być wydany efektownie, to sądzi, że środki na to będzie mógł zdobyć. Okazało się, że znajoma jego z Kresów, Maria Wierzbowska, właścicielka ziemiska, chciała uczcić pamięć zmarłego męża poważniejszą dotacją na jakiś cel społeczny. Zgodziła się na sfinansowanie wydawnictwa elementarza w luksusowym, graficznym wydaniu. Przyjechała do Krakowa, otworzyła konto na te wydatki. Elementarz ukazał się w roku 1910, z napisem na karcie tytułowej »Wydawnictwo imienia Tadeusza Wierzbowskiego«, w 10 tys. egzemplarzy”.

Elementarz, mimo stosunkowo wysokiej ceny, okazał się sukcesem. Posłuchajmy jeszcze raz Falskiego: „Był, przede wszystkim zewnątrz, zupełnie niepodobny do ówczesnych ubogich elementarzy. Miał duże rozmiary, sztywną estetyczną oprawę z wizerunkiem dziewczynki wśród róż, liczne kolorowe ilustracje w dużym formacie, wykonane pastelami na podobieństwo rysunków dziecięcych, dobry bezdrzewny papier. Wydawnictwo wyszło z założenia, że pierwsza książka w życiu dziecka powinna być piękna i pozostawiająca po sobie jak najmielsze wspomnienia.

Gdy w drugiej połowie lat 30. władze namawiały go, żeby dodał rozdziały o religii, kategorycznie odmówił.

Również pod względem treści i metody odbiegał ten elementarz od wszystkich innych. Nie było w nim ani sylab do składania, ani wyrazów i zdań bez związku, tak licznych w ówczesnych podręcznikach do nauki czytania.

Teksty aż do momentu poznania wszystkich liter były wykonane małymi literami pisanymi, z nielicznymi wielkimi pisanymi, wprowadzanymi tylko z konieczności przy imionach własnych. Wysiunięcie na plan pierwszy liter pisanymi, zamiast jak w innych elementarzach

liter drukowanych, podnieść miało rolę umiejętności pisania w życiu, w przeciwieństwie do tradycji nadającej główne znaczenie umiejętności czytania – przede wszystkim dla odczytywania książek do nabożeństwa, mniejsze zaś znaczenie pisaniu, redukowanemu często tylko do umiejętności podpisywania własnego nazwiska literami, a nie krzyżykami.

Wszystkie teksty w »Elementarzu« miały charakter świecki, wykluczały całkowicie, tak uporczywie bronioną przez kler, tradycyjną tematykę religijną”.

Historyjki, za pomocą których uczył nas składać litery, były starannie przemyślane.

To wspomnienie Mariana Falskiego. Dodajmy, że historyjki służące do nauki liter pokazywały dzieci w ich naturalnym środowisku: w rodzinnym domu, z rodzicami, w szkole, w grupie rówieśników. Falski miał naturalną umiejętność nawiązywania kontaktów z dziećmi, rozmawiania z nimi, spoglądania na świat ich oczami. To też jedna z tajemnic jego sukcesu.

Także w roku 1910, w maju, odbył się ślub Mariana Falskiego i Ireny Oxner. Młodzi zamieszkali w wynajętym dwupokojowym mieszkaniu przy krakowskim Rynku. Umeblowali je wynajętymi w tandeciarni stołem, prostymi krzesłami i dwoma żelaznymi łózkami. Utrzymywali się z lekcji udzielanych przez Falskiego w prywatnych szkołach, z tantiem

za „Elementarz” i z comiesięcznej „dotacji”, którą Irena Oxner otrzymywała od rodziców.

W międzyczasie, już wspólnie, opracowali „Pierwszą czytanekę”. Tak zastała ich I wojna światowa. Ten okres spędzili w Krakowie, Zakopanem i Wiedniu. W tym czasie Falski podjął studia i badania z zakresu psychologii czytania.

Po odzyskaniu niepodległości przeniósł się do Warszawy. Tu też pomogło mu szczęście, bo ministrem wyznań religijnych i oświecenia

publicznego został Ksawery Prauss, u którego, gdy ten przed wojną prowadził szkołę w Zakopanem, Falski udzielał lekcji. Napisał więc list z pytaniem o zatrudnienie. Odpowiedź przyszła natychmiast – Prauss zapraszał i rezerwował etat. Tak towarzyszył Rafał został państwowym urzędnikiem.

A jak tłumaczył ten krok? „Światopoglądowo należałem do lewicy Polskiej Partii Socjalistycznej, do tego jej odłamu, który po Pierwszej Wojnie Światowej i odzyskaniu Niepodległości nie przeszedł do Partii

Komunistycznej i nie opuścił kraju w celu realizowania przewrotu socjalistycznego w ZSRR, ale nie włączył się też do PPS okresu międzywojennego w Polsce, której polityczna postawa wielu spośród nas nie zadowalała. Zdecydowałem się na pracę pozapartyjną na odcinku oświaty, licząc na swobodę wypowiedzania się, postępowania w demokratycznym kraju, w zgodzie z własnym rozumieniem założeń polityki społecznej”.

Już wtedy szła za nim opinia autora znakomitego podręcznika do nauki czytania i pisania. W roku 1920 otrzymał więc od kierownika działu oświaty w Ministerstwie Spraw Wojskowych, płk. Janusza Jędrzejewicza (brata Wacława), propozycję opracowania elementarza dla żołnierzy analfabetów.

Zaangażował się poza tym – i to uważał za najważniejsze swoje zadanie – w projekty upowszechnienia oświaty na terenach niepodległej Polski. Był w tych działaniach twarzą lewicowy – walczył, do końca II RP, o powszechną, siedmioklasową szkołę, z możliwością kontynuowania nauki albo w liceach, albo w szkołach zawodowych. I był zaprzysięgłym krytykiem czteroklasowych szkół wiejskich, twierdząc, że taki system odcina wiejskie dzieci od dalszej edukacji.

Walczył o rozbudowę sieci szkół powszechnych. Był też autorem pierwszych przepisów o budowie szkół powszechnych. „Układałem je, mając w pamięci wykłady profesora higieny szkolnej Uniwersytetu Wiedeńskiego, Burgsteina”, pisał.

Państwowa posada, tantemy z kolejnych wydań „Elementarza” – Falscy powoli zapominali o krakowskich latach niedostatku. Pobudowali dom przy ulicy Lekarskiej, na wakacje jeździli do Francji i do Szwajcarii, odwiedzając w Monako brata żony.

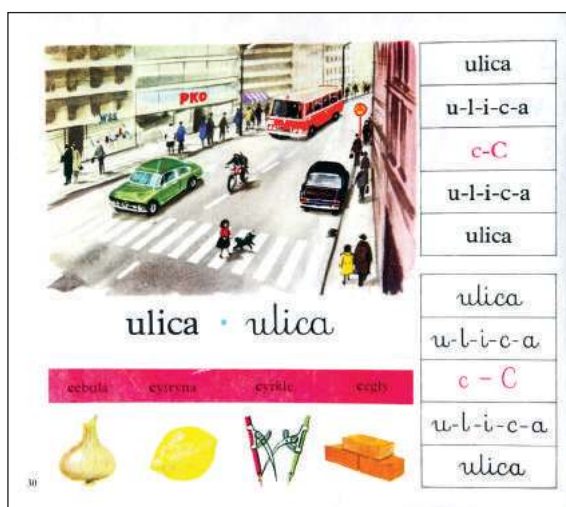
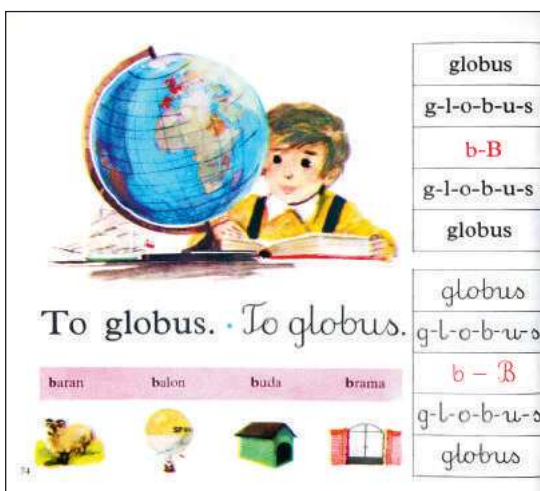
Po „Elementarzu” dla dzieci i dla żołnierzy przyszła pora na kolejne wydania. Do każdego Falski wprowadzał pewne modyfikacje, m.in. zaprosił Juliana Tuwima, by wzbogacić „Elementarz” wierszykami. Po II wojnie światowej podobne zaproszenie otrzymał Antoni Słonimski.

W wydaniu z roku 1930 pojawili się Ala i Olek. Ala miała kota – choć w następnych wydaniach kot trafił do Olka, Ala zaś miała Asa. Pierwowzorem Ali i Olka byli Alina i Jan Margolisowie. Ich matka przyjaźniła się z Falskimi. Alina Margolis to późniejsza żona Marka Edelmana, dostała zresztą na siódme urodziny egzemplarz nowego wydania „Elementarza” z wpisem: „Ali z elementarza – Autor”. Ta znajomość przeszła próbę w czasie wojny. Margolisowie znaleźli się w getcie warszawskim. Najpierw na aryjską stronę udało się wyjść Jankowi, potem Alinie. A gdy wraz z koleżanką Zosią zostały wydane przez stróża kamienicy przy Świętokrzyskiej, w której przed wojną mieszkała Zosia, i trafiły na posterunek granatowej policji, Falski je wykupił. Miał wtedy po 17 lat.

Elementarz ukazał się w roku 1910. Wydawnictwo uznało, że pierwsza książka w życiu dziecka powinna być piękna i pozostawiać najmiłsze wspomnienia.

W roku 1933 ukazały się dwa rodzaje „Elementarza” – dla szkół miejskich i dla szkół wiejskich. Oczywiście główne strony były wspólne, różnica polegała na umiejscowieniu wydarzeń w naturalnym dla dziecka środowisku.

Po II wojnie światowej w podręczniku znalazły się obrazki z odbudowy Warszawy i całego kraju po zniszczeniach. Po roku 1948, czyli w czasach stalinizmu, do elementarza zawitali



Bolesław Bierut i żołnierze pomagający chłopom założyć spółdzielnię. Październik 1956 przyniósł zmianę. W kolejnych wydaniach żaden pierwszy sekretarz, ani Władysław Gomułka, ani Edward Gierek, na stronach „Elementarza” już się nie pojawiał.

Za to pojawiły się samochody, nowoczesna architektura, fabryki, a nawet loty na Księżyc.

Zmieniały się też ilustracje. W pierwszych wydaniach po wojnie rysunki były autorstwa Tadeusza Gronowskiego. Potem – Jerzego Karolaka. A w ostatnich wydaniach – Janusza Grabiańskiego.

W roku 1950, w wieku 69 lat, Falski został przeniesiony w stan spoczynku, co bardzo boleśnie odczuł.

Z elementarza Falskiego uczyło się czytać i pisać wiele pokoleń.

Dwa lata później zaproponowano mu więc pracę w Polskiej Akademii Nauk, w Pracowni Dziejów Oświaty. W PAN pracował do roku 1965. Miał wtedy 84 lata. Nie unikał też zaangażowania politycznego. Uczestniczył w pracach Klubu Krzywego Koła, sygnował w roku 1964 „List 34”, w roku 1967 bronił przed komisją dyscyplinarną Uniwersytetu Warszawskiego studenta Adama Michnika.

„Okres mojej przeszło 25-letniej pracy w szkolnictwie po Drugiej Wojnie Światowej był okresem nieustannej szarpaniny”, pisał we wspomnieniach. I zachodził w głowę, dlaczego lepiej czuł się w II RP niż w Polsce Ludowej, mimo że światopoglądowo należał do Polski socjalistycznej. „Kiedy się dziś zastanawiam nad źródłami tej martyrologii, widzę je przede wszystkim w walce, prowadzonej przez nowy system polityczny z przeszłością – notował. – Oddawano też kierownictwo oświatą nie w ręce peda-

gogów, lecz polityków rządzących się sztywnymi doktrynami i traktujących każde najmniejsze muśnięcie tych doktryn jako przestępstwo i wrogi »rewizjonizm«. (...) Każde posunięcie tej władzy wymagano traktować jako nieomyślne i jedynie słuszne, mimo że przechodzono całe okresy, określane później przez tę samą partię jako okresy jej własnych »błędów i wypaczeń«. (...) A przecież przy dopuszczeniu ludności do głosu i krytyki, i należytych braniu tego głosu pod uwagę, można było bez żadnej szkody, a tylko z pomocą dla rozwoju socjalizmu zapobiec tym spaczniom i wypadkom”.

Socjalista do końca życia. Zmarł w roku 1974.

Robert Walenciak

W tekście wykorzystałem fragmenty książki „Z okrucichów wspomnień” Mariana Falskiego, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy.



Okulary z czytnikami termicznymi weszły do użycia najpierw w Chinach, a teraz już w 40 krajach.

Okulary mierzą temperaturę

Producenci elektronicznych gadżetów przekonują, że zapewnią nam wolność od chorób

Mateusz Mazzini

Współistniejemy już od ośmiu miesięcy, lada moment stuknie nam rok. Początkowo go lekceważyliśmy, więc później pokazał, na co go naprawdę stać. I nie zamierza zwalniać. Planuje zostać z nami na dłużej, a my wciąż traktujemy go jako tymczasowego intruza, z którym nie wiemy, jak żyć.

Koronawirus przez chwilę zapowiadał się na ambasadora wielkiej zmiany cywilizacyjnej, zwłaszcza w kwestii interakcji międzyludzkich. Na płaszczyźnie społecznej wywołał momentalny spadek zaufania między obywatelami i powrót do utrzymywania relacji z tymi, których dobrze znamy, komu ufamy, kogo poczynania jesteśmy w stanie regularnie śledzić. Ten moment ścisłej izolacji trwał jednak dość krótko. Szybko przypomnieliśmy sobie, że musimy wchodzić

w interakcje z innymi ludźmi, zwłaszcza obcymi. Nie przestaniemy przecież chodzić do sklepów, umawiać się na spotkania, podróżować do innych krajów. Problem w tym, że nadal nie wiemy, jak zrobić to bezpiecznie, a dostępnym orężem w tej walce są przede wszystkim plastik, pleksi i kawałek materiału.

Okres pandemii wyrzucił do góry nogami nasze priorytety. Niektóre potrzeby stłumił, inne wytworzył. To ostatnie zjawisko wyraźnie zarysowało się na płaszczyźnie osobistego bezpieczeństwa. Na skalę masową zdani jesteśmy na maseczki, przyłbice czy jednorazowe rękawiczki. Ale sektor osobistych środków ochrony, jak każdy inny element gospodarki kapitalistycznej, różnicuje produkty w zależności od tego, ile kto jest w stanie za nie zapłacić. Dlatego trafne okazało się założenie przyjęte na początku pandemii przez część

firm technologicznych, małych start-upów i indywidualnych wynalazców – że bezpieczeństwo dla niektórych może nie mieć ceny. Że będą tacy, którzy zgodzą się wydać pokaźne kwoty, by z wirusem współistnieć bez ryzyka zarażenia, ale przede wszystkim nie rezygnować z indywidualnego stylu życia.

Maseczki z pewnością tego kryterium nie spełniają. Bywa, że utrudniają oddychanie, nie nadają się do ciągłego używania, no i nie zawsze dobrze się w nich wygląda. Co innego okulary. Stylowe, trwałe i zapewniające bezpieczeństwo w niepewnych czasach. Takie połączenie brzmi jak recepta na idealny gadżet i na pewno przyniesie wielomilionowe zyski. Na to przynajmniej liczą właściciele chińskiego (choć działającego też na rynku amerykańskim) start-upu Rokid, producenta pierwszych na świecie okularów z technologią rozszerzonej

rzeczywistości (ang. *Augmented Reality* – AR) i wbudowanymi czytnikami termicznymi. W dużym skrócie to okulary, które zidentyfikują przebywające wokół nas osoby z podwyższoną temperaturą i ostrzegają, że możemy się znajdować w towarzystwie nosicieli wirusa – nie tylko COVID-19, ale także zwykłej grypy.

I choć produkt ten przychodzi na myśl Google Glass, największą porażkę kalifornijskiego giganta, Chińczycy we wprowadzaniu go do szerokiego obrotu mogą mieć lepsze wyniki. Okulary Rokid po raz pierwszy zostały użyte, przynajmniej oficjalnie, 23 marca w mieście Hangzhou na wschodzie kraju. Założyło je dwóch strażników miejskiego parku, którzy w ten sposób mierzyli temperaturę spacerowiczów. Eksperyment okazał się na tyle udany, że wynalazek wszedł do szerszego użycia najpierw w Chinach, a teraz już prawie w 40 krajach. Start-up eksportuje okulary od Singapuru po RPA i od Hiszpanii po Argentynę. Na razie głównymi klientami są prywatne przedsiębiorstwa i administracje publiczne, wykorzystujące je do kontrolowania sytuacji pandemicznej w dużych skupiskach ludzi. Sam Rokid informuje jednak, że pojawiają się pierwsi klienci detaliczni. I nie odstrasza ich nawet cena, od 7 tys. dol. wzwyż za parę.

Dzięki okularom jesteśmy w stanie odizolować się od potencjalnych nosicieli, ale jak zapewnimy innych, że sami nie stanowimy zagrożenia? Na to odpowiedź przygotowała izraelska firma Pangea, która w czerwcu wypuściła na rynek pierwsze cyfrowe „paszporty zdrowotne”. Warto podkreślić, że spółka ma doświadczenie w tworzeniu tego typu rozwiązań, bo na co dzień zaopatruje w oprogramowanie izraelskie (i nie tylko) służby graniczne. Paszport na pierwszy rzut oka wygląda jak skrzyżowanie dowodu osobistego z kartą kredytową. Zawiera zdjęcie właściciela, podstawowe dane osobowe, hologram i chip. Jego odczyt w skanerze umożliwia natychmiastowe połączenie z krajową – a docelowo z międzynarodową – bazą danych o chorobach zakaźnych. Na poziomie walki z pandemią koronawirusa przyda się więc do sprawdzenia, czy osoba próbująca przekroczyć granicę, wejść do kina albo na peron metra nie jest objęta kwarantanną. Przekaze też historię

zarażeń i pozwoli na weryfikację, czy właściciel dokumentu spełnia kryteria do podróży międzynarodowych lub uczestnictwa w zgromadzeniach.

Wynalazek Pangei natychmiast wywołał falę krytyki. Zwłaszcza wśród tych, którzy nie należą do fanów udostępniania tak wrażliwych danych. Pangea odpowiada, że to, komu pokazywalibyśmy naszą dokumentację medyczną, i tak zależałoby od nas. Informacje byłyby zapisane na chipie, a nie na stałe załadowane do państwowych baz danych, lecz to tłumaczenie przekonuje niewielu. Szczególnie że trudno wierzyć deklaracjom firmy, która na co dzień jest jednym z głównych dostawców technologicznych izraelskiej armii.

W czerwcu na rynek trafiły pierwsze cyfrowe „paszporty zdrowotne”.

Gadżety mają nam pomóc nie tylko uchronić się przed wirusem, ale również kontynuować życie, jak gdyby wirusa w ogóle nie było. Wrócić do porzuconych aktywności, w tym do zwiedzania. Jak to jednak zrobić bez kontaktowania się z innymi ludźmi? Chociażby za pomocą interaktywnego, mówiącego aż w 17 językach, opartego na uczeniu maszynowym przewodnika turystycznego SAHRA.

Na razie został on wyposażony w awatar szatynki i wsadzony do aplikacji na telefony komórkowe. Docelowo, jak piszą jego twórcy, ma „zamieszkać” w samochodach autonomicznych. Dziś można z nim rozmawiać na czacie albo wydawać polecenia głosowe. Podając nasze współrzędne geograficzne, otrzymamy dopasowaną do naszych wymagań trasę, według której możemy zwiedzać największe miasta Europy i Stanów Zjednoczonych. SAHRA może nam też zaplanować posiłek, w zależności od tego, na jakie jedzenie mamy ochotę. I to wszystko bez konieczności wchodzenia do lokali, pytania przechodniów o drogę czy nawet wielokrotnego dotyknięcia własnego telefonu.

Wszystkie te rozwiązania są jednak albo wciąż bardzo kosztowne, albo dotyczą jedynie wycinka rzeczywistości. A co z tymi, którzy nie kupią kosztujących fortunę okularów ani

nie zamierzają wrócić do regularnego latania międzynarodowego? Ich też czeka zmiana, choć innej natury. Patrząc bowiem na problem globalnie, pandemia znacznie przyspieszyła rozwój tych technologii, które ograniczają kontakty międzyludzkie. Coś, co do tej pory było często jedynie fanaberią albo luksusowym udogodnieniem, teraz wejdzie do powszechnego użytku. I nie mówimy tu tylko o płatnościach zbliżeniowych, ale też o bezdotykowych meldunkach w hotelach, skanowaniu biletów na pociąg, rejestrowaniu się do urzędów za pomocą aplikacji czy odbieraniu listów przez czytniki kodów QR.

Jakie będzie to miało konsekwencje dla naszego życia społecznego?

Trudno jeszcze je oszacować, ale widać, jaką rolę odegrała w tym wszystkim pandemia. Wbrew początkowym nadziejom i przewidywaniom nie stała się bodźcem do wielkiej zmiany. Była raczej przyspieszaczem i tak nieuchronnych zmian czy procesów. Podobnie jest w technologii – coraz więcej spersonalizowanych rozwiązań, podłączających nas na stałe do baz danych i sieci kontaktów, redukuje do minimum konieczność stykania się z innymi. Od dawna i tak częściej gadamy do ekranów niż do ludzi na żywo. Co gorsza, wraz z przyjsciem wirusa zyskaliśmy do tego bardzo dobrą wymówkę. ■

Zbrodnia z czasów nielegalnej „Solidarności”: strajkujący robotnicy mordują milicjanta, ale winnych nie ma. O tym, czy coś na ten temat zostało w IPN, informuje nowy numer tygodnika „NIE”.



Moja ekologia jest lepsza niż twoja

Prawicowa wojenka w pięknych okolicznościach przyrody



Kaplica na potrzeby inspektorów budowlanych została nazwana domem wspólnej modlitwy, bo tak łatwiej uzyskać pozwolenia.

Wacław Jerzy Koniecpolski

5 sierpnia, w piątą miesięcznicę objęcia stanowiska ministra środowiska przez wiceprezesa Solidarnej Polski Michała Wosia, na stronie Fundacji Ekologiczne Forum Młodzieży pojawił się znamieny komunikat: „Uprzejmie informujemy, że polski rząd na czele z Panem Premierem RP Mateuszem Morawieckim w projekcie ustawy o zmianie niektórych ustaw wspierających rozwój budowy domów (UD89) wraz z autopoprawkami zgłoszonymi w piśmie z dnia 23 lipca 2020 r. zamierza przekazać do Krajowego Zasobu Nieruchomości (KZN) ponad 300 tys. ha gruntów leśnych (...). Spowoduje to negatywne skutki dla Polski takie jak zmniejszenie powierzchni lasów w kraju, zagrożenie suszą i powodzią, zmniejszy pochłanianie dwutlenku węgla przez drzewa oraz ograniczy dostępność dla turystów. Jednocześnie chcemy zauważyć, że nie takie były obietnice Zjednoczonej Prawicy dotyczące Lasów Państwowych. W 2015 r. Prawo i Sprawiedliwość poparło inicjatywę społeczną zbierania podpisów

przeciw prywatyzacji lasów polskich. Dzisiaj pod przykrywką budowania domów w sposób inteligentny polski rząd chce zawłaszczyć sobie polską ziemię – działki leśne. Drodzy Polacy. Prosimy Was o wyrażenie swojego sprzeciwu i powiedzenie odważnego NIE dla tego haniebnego pomysłu początku UWŁASZCZANIA SIĘ NA POLSKICH LASACH – POLSKIEJ ZIEMI. Z poważaniem Zarząd Fundacji Ekologiczne Forum Młodzieży”.

Fasadowa Młodzieżowa Rada Ekologiczna, bez realnego wpływu na cokolwiek, poprawia wizerunek resortu środowiska.

Nikt personalnie pod komunikatem się nie podpisał, ale tajemnicą poliszynela jest fakt, że pierwsze skrzypce w organizacji, powołanej za życia ministra środowiska Jana Szyski w celu robienia mu klaki w wojnie z Komisją Europejską o metodologię walki z kornikiem drukarzem w Puszczy Białowieskiej, grają prezeska Marcelina Puchalska i ks. Tomasz Duszkiewicz, członek rady fundacji. O tym drugim media pisały wielokrotnie, czy to w kontekście jego przegranego procesu z ekologiem, którego fałszywie

oskarżył o pobicie w Puszczy Białowieskiej, czy upodobania do polowań na objęte ochroną rysie, o czym doniósł swego czasu „Newsweek”.

Prezeska EFM, dwudziestoparolatka, leśniczka, którą została ledwie po ukończeniu studiów, obdarowana dodatkowo kordelasem myśliwskim, co oburzyło pracowników Lasów Państwowych, bo to wyjątkowe wyróżnienie za długą i sumienną służbę, również zasługuje na uwagę. Nie

bała się swego czasu krytykować Jarosława Kaczyńskiego za uleganie lewackim wpływom, teraz atakuje przyszłego I wiceprezesa Prawa i Sprawiedliwości, gdy ten chce okroić królestwo Lasów Państwowych. Wbrew pozorom ten otwarty atak na rząd Mateusza Morawieckiego nie bierze się znikąd. – Od śmierci Szyski ich fundacja straciła duże ministerialne poparcie i wiążące się z tym dotacje. Teraz więc są niby przeciw PiS, ale za leśnikami – mówi pracownik resortu Wosia. – To gra o stracone

poparcie i przychody. Na pewno daleko im do opozycji.

Z drugiej strony nasz rozmówca uważa, że problemy w tym konkretnym przypadku dopiero czekają Morawieckiego. – Sama idea protestu przeciw rządowemu projektowi jest według mnie słuszna. Jeśli rząd odważy się to zrobić, PiS będzie miało problem z wyborcami. To ok. 1 mln głosów: leśnicy, myśliwi, przemysł drzewny, meblarski, przewoźnicy leśni, zakłady usług leśnych oraz ich rodziny i sympatycy.

– Woś tego nie rozumie czy ma za krótkie ręce?

– Minister nie ma w tej sprawie nic do gadania, jak i w wielu innych od dawna.

Jednak marginalizowanie Puchalskiej i ks. Duszkiewiczza zaczęło się dużo wcześniej. Mimo publicznych deklaracji samego Wosia, że jest on spadkobiercą myśli i dzieła Jana Szyski, 1 czerwca powołał przy swoim resorcie konkurencję wobec Ekologicznego Forum Młodzieży – Młodzieżową Radę Ekologiczną. Nabór do niej trwał do 19 sierpnia, a pierwsze posiedzenie 32-osobowego ciała złożonego z osobników w przedziale wiekowym od 13 do 21 lat ma się odbyć na dniach. „Rada będzie mieć nie tylko głos doradczy, lecz także będzie dysponować swoim budżetem przekazany ze środków partnera projektu – Lasów Państwowych. MRE będzie mogła także przyznawać granty na proekologiczne działania dzieci i młodzieży. Posiedzenia odbywać się będą przynajmniej raz na kwartał. Rada może również zebrać się i działać *ad hoc* w przypadku konieczności szybkiej reakcji. Wśród partnerów merytorycznych projektu są Lasy Państwowe, Parki Narodowe, Państwowy Instytut Geologiczny. Swoim patronatem projekt objął Rzecznik Praw Dziecka, Mikołaj Pawlak – czytamy na stronie Ministerstwa Środowiska. – Do kompetencji Młodzieżowej Rady Ekologicznej przy Ministrze Środowiska należy wyrażanie opinii w zakresie spraw objętych działaniami administracji rządowej dotyczącej środowiska, a w szczególności przedstawianie opinii na temat planowanych zmian polityki, strategii i zmian legislacyjnych w zakresie właściwości Ministra Środowiska, w tym propozycji rozwiązań”.

To oczywiście fasada, jak wiele podobnych młodzieżowych rad tworzonych np. przy samorządach terytorialnych, bez realnego wpływu na cokolwiek, poprawiająca wizerunek resortu, a przy okazji będąca subtelną, prawicową alternatywą wobec macek ekoterroryzmu spod znaku Greta Thunberg.

Dowcip polega jednak na tym, że kilkudziesięcioletni roczny budżet Wosiowej rady nie trafi już na pewno do Ekologicznego Forum Młodzieży, którego jak widać nie da się w pełni kontrolować. A te pieniądze na pewno teraz bardzo by mu się przydały. Oto

bowiem na działce dzierżawionej od Lasów Państwowych we wsi Czerlonka, w samym sercu Puszczy Białowiejskiej, fundacja Puchalskiej i ks. Duszkiewiczza od stycznia tego roku buduje kaplicę. Kaplica, która na potrzeby inspektorów budowlanych została nazwana domem wspólnej modlitwy, bo tak łatwiej uzyskać stosowne pozwolenia niż w przypadku obiektu sakralnego, jest już w stanie surowym. Kto wie, ile takich kaplic mogłoby powstać, gdyby Mateusz Morawiecki nie umyślił sobie nagle ratować kosztem Lasów Państwowych skompromitowanego programu Mieszkanie+.



Wyślij SMS o treści NIUNIEK

7412 koszt SMS 4,92 zł z VAT

7910 koszt SMS 11,07 zł z VAT

91950 koszt SMS 23,37 zł z VAT
i kup tapetę

O kotach mówi się, że zawsze spadają na 4 łapy. Jednak nie zawsze

Niuniek spogląda w obiektyw pełnym błagania spojrzeniem. Teraz, gdy jego życie wisi na najcieńszym z włosków, bardzo odczuwa, jak to jest być zupełnie samemu na świecie. Samemu jak palec. Bo Niuniek najpewniej nigdy nie miał nikogo. Gdyby Niuniek kogoś miał, pewnie ktoś stałby nad nim teraz, głaskał jego kocie uszy, trzymał za kocią łapkę i — tykając łąkę za łąką — obiecywał, że będzie dobrze. Może musiałby kłamać...

Ale nikt Niurka nie trzyma, łapki wiszą smętnie. Nikt nie kłamie, że bez szwanku z tego wyjdzie. Wokoło mnóstwo ludzi, ale cóż z tego. Tego jednego jedyne człowieka, który by zapalił w Niurku isierkę nadziei — nie ma. Wszystko już w jego kocich oczach spłonęło. Pozostała tylko nadzieja na jakiś cud.

Wstępna diagnoza Niurka brzmi jak wyrok. Martwica odbytu, ubytki skórne,

rany na głowie, nie staje na jednej łapce, złamanie kości biodrowej i wiele innych. Pierwsza noc to była zwyczajnie walka o życie Niurka. Druga i trzecia to trzymanie kciuków... Przed Niurkiem wiele nocy i wiele bitew, których bez nas nie wygra.

A skąd się wziął? Do nas go przyniesiono. Nie byliśmy pewni, czy jest jeszcze żywy. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, jak bardzo Niuniek chce żyć, mimo licznych obrażeń. Nie wiemy też, co się takiego wydarzyło, że los go tak sponiewierał. Czy to celowe działanie, czy wypadek? To w sumie bez znaczenia. Osoba, która go przyniosła, twierdziła, że kot został chwilę wcześniej wciągnięty pod koła samochodu. Być może. Jakby nie było, my wiemy, że nigdy nie przywrócimy Niurkowi pełnej sprawności. Możemy jedynie zdiagnozować, wyleczyć to, co wyleczyć się da — i otoczyć Niurka troskliwą opieką, aby reszta jego kociego życia była na tyle komfortowa, na ile komfortowa być może.

Chcielibyśmy, aby Niuniek dożył swych dni na naszym folwarku, wśród setek innych uratowanych zwierząt. Oczywiście, nie jesteśmy Bogiem. Nie wiemy, ile tych dni będzie. Ale widząc, jak bardzo ten kot walczy, nie chcemy go pozbawiać szansy na drugie życie.

Zapalisz z nami iskry nadziei w tych wielkich, kocich oczach? Niuniek, bez Ciebie, nie ma szans...

Jeśli chcesz pomóc, możesz przekazać darowiznę z tytułem NIUNIEK na PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Fundacja Centaurus
ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488

Akcja prowadzona w ramach
Kampanii Kochaj Mądrze
Regulamin: <http://centaurus.org.pl/rkkm>



TEATR

to nie muzeum

Chodzi o to, żeby teatr nie został w tyle, bo wtedy traci kontakt z widzami

NATALIA KORCZAKOWSKA

– dyrektorka artystyczna Studia teatrgalerii w Warszawie

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Józef Szajna, a potem Jerzy Grzegorzewski nadali Teatrowi Studio interdyscyplinarny i awangardowy klimat. Czuje się pani ich następczynią? Skoro nawet w samej nazwie wprowadziła pani znamienne zmiany.

– Awangardowa i interdyscyplinarna przeszłość Studia to mój punkt odniesienia i jeden z głównych powodów, dla których zdecydowałam się podjąć artystyczną dyrekcję tej instytucji. Szajna nazwał ją: Teatr Studio Galeria, ponieważ otworzył obok Dużej Sceny galerię sztuki nowoczesnej, co w tamtych czasach było nieoczywiste. Chciał, żeby te dwa gatunki sztuki inspirowały się wzajemnie. Jest to zgodne z postulatami tzw. wielkiej reformy teatralnej z przełomu wieków, która

Pani poprzedniczka Agnieszka Glińska pozostawała wierna formule teatru dramatycznego. Ten etap historii Studia jest już zamknięty?

– Jeśli ma pan na myśli teatr, w którym wszystko jest podporządkowane dramatu i pełni wobec autora funkcję służebną – to tak, to zamknięty etap. Był on zresztą w historii Studia wyjątkiem. Podobno kiedy aktorzy domagali się od Jerzego Grzegorzewskiego „roli”, odsyłał ich do Teatru Dramatycznego. Oba teatry w jednym budynku Pałacu Kultury i Nauki działały w opozycji estetycznej do siebie i to jest przy placu Defilad naturalny stan rzeczy. Podobnie było ze sztukami Witkacego, patrona teatru. Prawie żadna nie doczekała się inscenizacji za życia autora, pioniera światowej awangardy teatralnej XX w., ponieważ aktorzy „rzucali egzemplarzem”, skarżąc się na brak ról.

W Studiu można uprawiać teatr polityczny, społeczny, wizualny, byleby wymykał się obowiązującym standardom.

zdefiniowała teatr jako syntezę sztuk, sprzeciwiając się dominacji autora w teatrze. Nazwałam Studio teatrgalerią, ponieważ chcę pójść o krok dalej, z duchem czasu, aż do potencjalnego zniesienia granic między gatunkami. O tym, jak inspirowane są takie marzenia, świadczyć może fakt, że wizji teatrgalerii uległ Daniel Buren, ikona światowej rewolucji w sztuce współczesnej, który poświęcił jej pracę wykonaną specjalnie dla Studia. To godna kontynuacja tradycji tego Miejsca.

Tekst nie ma znaczenia?

– Nie uważam, że tekst jest nieważny czy niepotrzebny, przeciwnie, wystarczy spojrzeć na repertuar Studia, ale pora znów zacząć mówić i pisać o scenografii, kostiumie, świetle, dźwięku, filmie w teatrze. Ciągłe więcej się mówi o znaczeniu spektaklu niż o tym, jak został zrobiony. To jest nieporozumienie. Gościł w Studiu kultowy reżyser teatralny Rabih Mroué, który pochodzi z Libanu, więc jego spektakle są politycznie zaangażowane, ale w ramach wirtualnej

pracy mówił uczestnikom prawie wyłącznie o formie swojego teatru, która opiera się na dialogu tego, co realne, z iluzją, tego, co widzialne, z tym, co ukryte. Tak szeroko pojęta forma jest jego pasją, tylko dzięki temu, że jest doskonale przemyślana, może udźwignąć mocną treść i nie osunąć się w banał. Odejście od formuły teatru dramatycznego to też krytyka systemu Stanislawskiego, który podporządkowuje aktorstwo psychologii, oraz sprzeciw wobec reprezentacji w teatrze. Wszystkie te postulaty można znaleźć u Witkacego, Kantora, René Pollescha i wielu współczesnych reżyserów. Studio skupia artystów, którzy podzielają taki sposób myślenia.

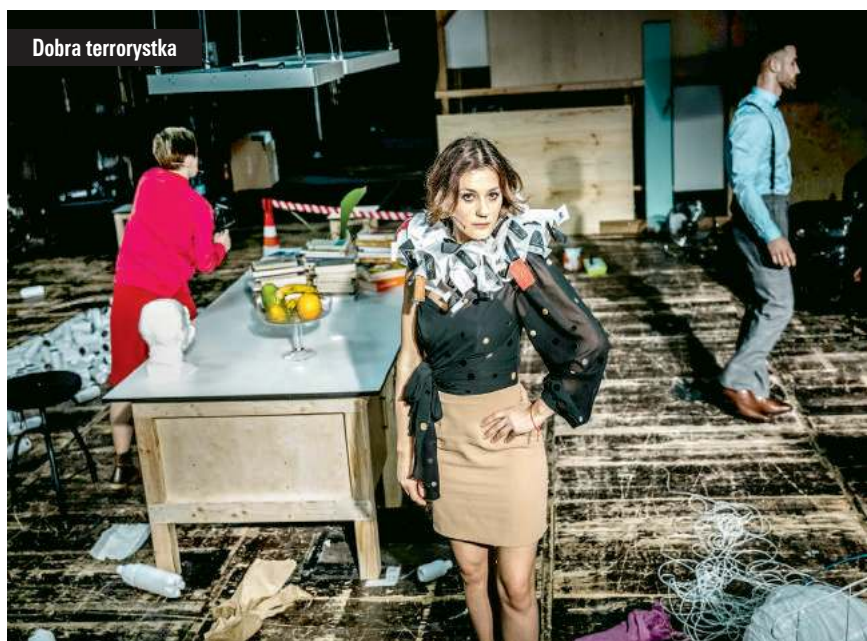
Studio od początku istnienia przełamywało granice teatru dramatycznego. Ale to za pani dyrekcją teatr szeroko otworzył drzwi na teatr ruchu, tańca.

– Scena Tańca Studio została powołana przez Romana Osadnika przed objęciem przeze mnie dyrekcji artystycznej. Ja widzę w niej szansę rozwoju języka teatru. Teatr repertuarowy zawsze będzie sercem Studia teatrgalerii, ale im więcej nowoczesnych i różnorodnych artystów tu pracuje, im więcej nowych form wykuwa się w tym budynku, tym szybciej i bardziej bezpośrednio możemy reagować na przemianę rzeczywistości społecznej, której jesteśmy świadkami. Nowe technologie, spektakl medialny zagarniający prawie wszystko, życie w bagnie bodźców i informacji – to wpływa na rozwój percepcji widzów. Chodzi o to, żeby teatr nie został w tyle, bo

wtedy traci kontakt z widzami i staje się muzeum, co oznacza stagnację i koniec żywej sztuki.

Jako ośrodek sztuki Studio szuka kontaktu ze swoją publicznością, także przyszłą. Stąd pomysły edukacyjne. Jakże przynoszą efekty?

– Jesteśmy też teatrem publicznym, nie chcemy tworzyć elit, chcemy mieć kontakt z jak najszerszą grupą widzów, niezależnie od ich wieku, pozycji społecznej, wyznania etc. Uważam, że awangarda może być popularna i komunikatywna, nie musi być tylko rozrywką środowiskową. Dlatego dział edukacji jest w Studiu kluczowy. Prowadzą go świetne Justyna Lipko i Gabriela Stankiewicz, które dbają o obecność w Studiu osób na co dzień wykluczonych z życia społecznego i kultury. Działania społeczne to najlepsze wyjście dla zespołu aktorskiego, kiedy zmuszony jest zejść ze sceny i nie ma możliwości grania repertuaru. Dlatego poprosiłam Justynę, żeby w czasie pandemii zaproponowała projekt angażujący osoby starsze, w największej skali ryzyka, izolacji i osamotnieniu. W ten sposób powstał BACKST/AGE, alternatywny nurt programowy Studia, a w ramach niego projekt DEKAMERON. FANTAZJE, na który składają się wielogodzinne warsztaty z osobami starszymi



nawiązanie do projektów przebudowy Dużej Sceny Szajny i architekta Oskara Hansena, które powstały w celu zmiany sceny „pudełkowej”, służącej do tworzenia iluzji, w odpowiednią dla form nowoczesnego teatru. Chodziło o zniesienie granicy między widownią a sceną, która w Studiu jest wyjątkowo wysoka, podkreśla dystans, nie sprzyja intymnemu kontaktowi z widzem. Co do skali niektórych wydarzeń, naszym

lat istniała mała scena w malarni czy scena we foyer, nie wspominając o spektaklu Macieja Wojtyzki „Tamara”, do którego zresztą wróciliście, choć złapała was za rękę pandemia.

– Z opóźnieniem, ale wróciliśmy. Premiera „Powrotu Tamary” odbyła się 15 sierpnia. Mimo zamknięcia teatru na parę miesięcy staraliśmy się realizować zobowiązania. Pandemia to przede wszystkim głęboki kryzys finansowy, ale w jej trakcie udało nam się uruchomić razem z Anną Lewanowicz (zajmującą się współpracą międzynarodową) nową scenę eksperymentalną, jaką są wirtualne pracownie artystów. To forma wykorzystania przez teatr mediów społecznościowych do stałej działalności. Platforma, w ramach której powstają nowe koncepcje, które potem mogą być realizowane na naszych scenach, ale też kopalnia wiedzy, która może służyć reformie instytucji teatru publicznego w przyszłości. Dzięki międzynarodowym pracownikom takich sław jak Daniel Wetzel ze wspomnianego Rimini Protokoll czy Rabiha Mroué, których uczestnikami są również profesjonalni artyści z całego świata, możemy się wsluchiwać w ich potrzeby i zmieniać zgodnie z duchem czasów. Projekt jest interdyscyplinarny, w ramach pierwszego przeglądu pracowni Open Studios można było przyjrzeć się pracy reżyserów (Daniel Wetzel, Łukasz Twarkowski, Rabiha

Ciągle więcej się mówi o znaczeniu spektaklu niż o tym, jak został zrobiony. To nieporozumienie.

i nagrane z nimi krótkie etiudy-fantazje filmowe Hanny Maciąg, które podejmują dyskusję ze społecznym wizerunkiem tej grupy wiekowej. Takie alternatywne myślenie teatrem ma już klasyków, jak choćby słynny niemiecki kolektyw Rimini Protokoll, który również otworzył niedawno w Studiu swoją wirtualną pracownię. **Studio nie unika przedsięwzięć na dużą skalę. Wspomnieć wypada o plenerowym spektaklu operowym na 5 tys. widzów, o wydarzeniach w przestrzeni wokół teatru. Unikatowym przedsięwzięciem była pani adaptacja powieści „Berlin Alexanderplatz” Alfreda Döblina. Przy tej okazji „zdemolowała” pani widownię teatralną.**

– To prawda, umieściliśmy ze scenografką Anną Met akcję „Berlina” w centrum widowni. Było to też

celem poza nowoczesną formą jest komunikatywność i wychodzenie naprzeciw potrzebom jak najszerszej widowni, niezależnie od przekonań i stanu społecznego. Stąd też różnorodność produkcji.

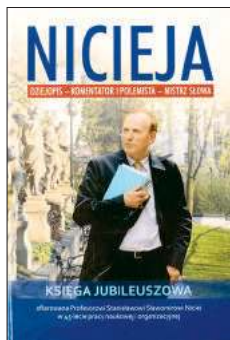
Studio akcentuje swoją „galeryjność”, ale ze ścian przy reprezentacyjnych schodach zniknęły obrazy, które wisiły tutaj za poprzednich dyrekcji.

– Ściany przy schodach są nadal wykorzystywane do wystaw, odbywają się na nich spektakle, np. performans-wykład „HA-M-LET” Petera Marka w ramach rezydencji CNP CalArts w 2018 r., spektakl-wystawa „Biesy VR” etc. Krótko mówiąc, jeśli schody w Studiu są puste, to w oczekiwaniu na coś.

Studio lubiło wychodzić poza salę teatralną także w przeszłości. Od

Nicieja
Dziejopis – komentator
i polemista – mistrz słowa
 pod redakcją Danuty Kisielewicz
 i Mariusza Sawickiego
 Uniwersytet Opolski, Opole 2020

To już 45 lat pracy naukowej organizacyjnej i społecznej prof. Stanisława Sławomira Nicieja. Jej nie taki



mały przecież wycinek i my przedstawialiśmy na naszych łamach, prezentując kolejne tomy „Kresowej Atlantydy”, których powstało już kilkanaście. „Nie jest wielkim wy-

czynem opisać przeszłość, ale niezwykłą sztuką, jest zrobić to tak, żeby narracja uczyła, wzruszała, rozśmieszała (...). Nie każdy umie malować obrazy przeszłości. Potrafi to Nicieja i jest w tym mistrzem”, piszą redaktorzy tomu. I w dedykowanej profesorowi księdze zamieszczają jego wywiady, wystąpienia, komentarze i polemiki.

Dowód istnienia
Księga jubileuszowa
 pod redakcją Danuty Kisielewicz
 i Mariusza Sawickiego
 Uniwersytet Opolski, Opole 2020

„Jeśli pytają, jaki jest dowód twojego istnienia – co im odpowiesz?” – to pytanie prof. Nicieja zadawał niejednokrotnie. Ale o swój



dowód istnienia nie musi się martwić. Księga jubileuszowa zawiera mnóstwo tych dowodów, śladów obecności profesora w życiu naukowym, uczelnianym i społecznym. Zebrano w niej

zarówno teksty ofiarowane Nicieja, jak i te poświęcone jego twórczości. „Nicieja jest marką, samą w sobie – najlepszą”, podsumowują Danuta Kisielewicz i Mariusz Sawicki.

► Mroué), muzyków (Marcin Masecki, Szymon Komasa, Mary Komasa, Andrew Mailliet), scenografów i artystów wizualnych (Zbigniew Bzymek z The Wooster Group w NYC, Michał Korchowiec, Rabih Mroué) online i na naszych scenach.

W poprzednim sezonie wysoko ustawiła pani poprzeczkę młodym reżyserom – mieli się wpisać w instalację Daniela Burena. Na czym polegał eksperyment i jaki był jego cel?

– To projekt edukacyjny dedykowany idei teatrgalerii, otwarcie dyskusji o tym, czy teatr jest sztuką wizualną. Młodzi reżyserzy wybrani przeze mnie po forum młodej reżyserii w Krakowie zaczęli od interpretacji przestrzeni i do niej dobierali resztę narzędzi, m.in. tekst. Wszyscy jesteśmy uczeni, że punktem wyjścia dla teatru jest dzieło literackie, tu chodziło o zaburzenie tego porządku. Pierwszym etapem projektu była „Izolotka” Mikołaja i Olgi Grosperre’ów, którzy zamienili najmniejszą scenę Studia, tzw. Modelatornię, w dzieło sztuki, wystawione w teatrze, a potem interpretowane przez młodych reżyserów. Daniel Buren

związany z teatrem wirtualne pracownie.

Jak określiłaby pani specyfikę Studia wobec innych teatrów warszawskich?

– Studio teatrgaleria tworzy nie program, tylko Miejsce, w którym spotykają się artyści spragnieni niezależności od programów i ideologii, szukający bezpośredniego kontaktu z widzami. Jako dyrektor artystyczna nie próbuję kontrolować znaczenia realizowanych tu spektakli, dbam o jakość i oryginalność ich formy. W Studiu można uprawiać teatr polityczny, społeczny, wizualny, ukierunkowany na poszukiwania formalne, byleby wymykał się obowiązującym standardom. Zależy mi, żeby artyści czuli się tu u siebie, marzy mi się instytucja jako rodzaj platformy, Miejsce niezależne i otwarte.

W czasie pandemii, kiedy „normalne”, repertuarowe działanie teatru zostało zablokowane, udało się powołać do życia taką platformę, rodzaj skłotu artystów z całego świata. Mam nadzieję, że idea wirtualnych pracowni pomoże nam przejść przez trudne czasy i będzie inspiracją do rozwoju w przyszłości.

Im więcej nowoczesnych artystów tu pracuje, tym szybciej możemy reagować na zmiany rzeczywistości społecznej.

zapropozował formę scenografii stałej i ruchomej jednocześnie – 10 obrotowych kolumn różnej wielkości, które mogą być wystawione w każdej przestrzeni teatru. Razem z reżyserem światła Saszą Prowalińskim, spędziłem kilka godzin, szukając ich najlepszego układu. Sam wernisaż, kiedy widzowie weszli między kolumny i zaczęli się nimi bawić, był już magicznym spektaklem.

Wróćmy do przestrzeni aranżowanych przez Studio – czy są im przypisane odrębne funkcje?

– Różnice są związane z ekonomią, czyli z liczbą miejsc na widowni. Wiadomo, że Duża Scena, która sprzedaje najwięcej biletów, dedykowana jest reżyserom doświadczonym, którzy mają w Warszawie swoją widownię. Teatr ma też scenę kameralną, Izolatkę, scenę foyer, scenę na placu Defilad, gdzie odbyła się premiera „Narkotyków” według Witkacego, i od niedawna scenę online, w ramach której otwiera artystom

Czy Studio ma jakąś misję?

– Studio teatrgaleria to instytucja interdyscyplinarna i awangardowa. W związku ze swoją awangardową tradycją i lokalizacją w centrum Warszawy, z jej potencjałem wykształconej widowni, szukamy tu nowoczesnych form teatru, dbając o ich komunikatywność i możliwie szeroki zasięg. Studio ma misję edukacyjną, rozumianą szeroko jako zajęcia dla dzieci, młodzieży i ludzi starszych, przeciwdziałanie wykluczaniu z kultury ludzi z marginesów społecznych, ale też po prostu popularyzację teatru awangardowego, uczenie wrażliwości na tę formę sztuki i formy jej pokrewne. I w końcu to wyjątkowy i bardzo zgrany zespół aktorów, producentów i pracowników technicznych, który wyróżniają brak wyniszczającego gwiazdorstwa, otwartość na niestandardowe sposoby myślenia i wyjątkowa atmosfera pracy.

Tomasz Miłkowski

NA EKRANACH

**EMA**

reż. Pablo Larraín, prod. Chile,
w kinach od 11 września

Chilijczyk Pablo Larraín zaprasza nas do tańca, ale to raczej *danse macabre* niż euforyczne płąsy. W pierwszej parze Gastón i tytułowa Ema, reżyser i aktorka, mąż i żona, byli ojciec i matka. Nie, to nie rodzinny melodramat, raczej próba wiwisekcji umysłów pary,

która marzyła o rodzinie, mimo to zdecydowała się oddać adoptowane dziecko. Początkowe partie filmu przeszywa ją, choć niby świetnie ten scenariusz znamy: on oskarża ją o niedojrzałość, ona jego o egoizm, nie potrafią być już razem, choć niby wspólnie podjęli trudną decyzję. Powtórki z rozrywki jednak nie ma, bo klótnie eskalują, gdy ci dwoje ćwiczą razem do spektaklu tanecznego, wykonując spektakularne figury pośród scenografii jak z kina sci-fi. Przepychanki twardego realizmu ze zrywającą się z łańcucha wyobraźnią na początku magnetyzują, ale okazuje się, że to film nastawiony na doraźny efekt, a nie rozmyślanie po seansie. Miał być zachwyt bywalców La Scali, jednak satysfakcję będą mieć raczej widzowie „Tańca z gwiazdami”.

Artur Zaborski

SERIAL

HUDSON I REX

reż. Alison Reid, Felipe Rodriguez, John Vatcher, Stopklatka TV

Tytuł kłamie. Detektyw Hudson nikogo nie obchodzi. Król ekranu od pierwszego do ostatniego odcinka jest jeden i jest nim Rex, owczarek niemiecki pracujący w policji. Partnerzy stają naprzeciwko bandziorów różnej proveniencji i specjalizacji. Na szczęście Rex radzi sobie tak samo



dobrze z terrorystami, porywaczami i ze złodziejami. Chociaż ani scenariusz nie jest wyszukany, ani postaci pogłębione, serial znajdzie fanów, bo to, co wyczynia na ekranie pies, nadrabia ludzki brak kreatywności. Czworonóg ukrywa się pod plan-

deką w aucie oprychów, wskakuje do szpitalnego łóżka postrzelonemu policjantowi, wyważa drzwi, a nawet wzbudza emocje w drewnianym Hudsonie. Jeśli wydaje się wam, że skądś już ich historię znacie, macie rację. Serial jest remakiem austriackiego „Komisarza Rexa”. Kanadyjska wersja może z nią konkurować ze względu na wcielającego się w Rexa psiaka Diesela vom Burgimwalda, który ma fan club i własną stronę w serwisie IMDb. Pozostaje mieć nadzieję, że i gażę dostał dobrą, bo napracował się najwięcej.

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

WYKAPANY TATA

Znakomicie obmyślona i zagrana sztuka amerykańskiego pisarza ma ciekawą konstrukcję. Najpierw jesteśmy świadkami rozmowy potomków dwóch zaprzyjaźnionych rodzin na temat spadku, a w drugiej części cofamy się ponad 30 lat i ci sami aktorzy grają swoich rodziców, synowie – ojców, córka – matkę. Powstaje świetna zabawa w teatr i okazja do oceny kunsztu aktorskiego. Prawdziwa sceniczna wirtuozeria, zwłaszcza że podobieństwo fizyczne osób jest oczywiste, ale dostrzegamy także pokrewieństwa charakterów, drobnych wad, może nawet chorób. Szkoda jednak, że w sztuce jest tylko troje wykonawców, więc jeden z bohaterów nie może mieć matki. Matka jest tylko jedna.



Bronisław Tumilowicz

Richard Greenberg, „Trzy dni deszczu”, przekład Hanna Szczerkowska, reżyseria Rafał Mohr, scenografia Olga Mazur i Łukasz Misztal, Teatr WARSawy, premiera 27 sierpnia 2020

WYDARZENIE

ANTONINA CAMPI OPERA MASTERCLASS 2020

Odbywające się w ramach Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Antoniny Campi z Miklaszewiczów Antonina Campi Opera Masterclass to tydzień artystycznego dialogu między profesjonalistami świata operowego i absolwentami uczelni muzycznych, uczniami lubelskich szkół oraz publicznością. Aż 21 młodych wokalistów będzie doskonalić umiejętności pod okiem śpiewaków pedagogów, a efektem ich pracy będzie koncert finałowy w Sali Operowej CSK w Lublinie (12 września, godz. 18.00, wstęp wolny). W tym roku warsztaty poprowadzą: Mariusz Kwiecień, gwiazda Metropolitan Opera w Nowym Jorku i dyrektor artystyczny Opery Wrocławskiej, Katarzyna Trylnik, śpiewaczka i pedagog współpracująca z Uniwersytetem Muzycznym Fryderyka Chopina

w Warszawie, oraz Ewa Vesin, dyrektor artystyczna konkursu. Artystom towarzyszyć będą uznani pianiści korepetytorzy: Justyna Skoczek, Tomasz Pawłowski i Mischa Kozłowski. Informacje: antonina.campi.spotkaniekultur.com, facebook.com/antoninacampicompetition.

**CENTRUM SPOTKANIA
KULTUR W LUBLINIE,
7-12 WRZEŚNIA**



Konrad Malec

Sokół (nie)wędrowny

Badacze uważają, że u większości gatunków ptaków trasa wędrówki została zapisana w DNA

W odpowiedzi na pytanie, dlaczego ptaki wędrują, zwykle słyszę: „Bo robi się zimno”. Oczywiście zdarzają się gatunki słabo znoszące chłody, ale nawet niektórzy ich przedstawiciele wolą zostać w kraju, niż szukać ciepła po świecie. Przykładem może być... wróbel. Nie ma się czemu dziwić, to imigrant z Indii, w Polsce na dobre zadomowił się dopiero w XVIII w. U szponiastych chłódów nie tolerują kobuzy, stąd dawniej, kiedy hodowali je (dość rzadko) sokolnicy (używali ich do polowania na skowronki), ptaki przetrzymywano w ogrzewanych izbach. Z kolei wątpię, by mróz przeschadzał błotniakom czy gadożerom. W cieplejsze rejony pcha je brak pokarmu. Trudno byłoby przeżyć rybołowowi, gadożerowi czy trzmiełojadowi bez pożywienia, któremu zawdzięczają swoje nazwy.

Inny mit dotyczący ptaków mówi o tym, że odlatują na południe. Owszem, tam też, ale równie często obierają kierunek południowo-zachodni lub wręcz zachodni, tak jak kania ruda. (...)

Różne ptaki nie tylko mają różne trasy przelotu, lecz także podróżują na różne odległości.

Myszołowy przemieszczają się z prędkością do 50 km na godzinę i dziennie pokonują do 400 km, ale one nie lecą daleko, więc nie muszą się śpieszyć. W wędrówce robią sobie kilkudniowe, a nawet dłuższe przerwy, dlatego często przelatują znacznie mniejsze odległości niż ich maksymalny zasięg. Najdalej na zimowiska mają rybołowy, niektóre nawet 11 tys. km.

zdarzają się momenty, gdy jest ich wyraźnie więcej (...).

Drapole (slangowe określenie szponiastych i sokołów), lecące na odległe zimowiska, takie jak trzmiełojady, błotniaki stawowe czy orliki krzykliwe, uwijają się szybko. Zwykle intensywne przeloty trwają u nich około trzech jesiennych tygodni.



Myszołowy w wędrówce robią sobie kilkudniowe, a nawet dłuższe przerwy.

Rybołowy to jedne z rzadziej przeze mnie widywanych drapoli, a jeśli już, to prawie wszystkie moje obserwacje przypadają jesienią (wrzesień-październik), w czasie wędrówek ptaków na zimowiska w Afryce. Wtedy najłatwiej je spotkać i niemal na pewno nie są to nasi współobywatele. W Polsce rybołowy mieszkają niezwykle rzadko, ale przez nasz kraj

zdziwienie. Najlepiej znany – przynajmniej ze słyszenia – ptak z północy to jemiołuska, pięknie ubarwiona, przypominająca trochę bombkę choinkową, o dzwoneczkowatym głosie (kiedyś porównywanym do dźwięku sokolniczych dzwoneczków).

Gęsi w większości również są przybyszami z dalekiej północy lub północnego wschodu. U nas gniazduje zaledwie ok. 5 tys. par gęgaw (choć ich liczebność rośnie), a do tego nieproszeni goście w postaci bernikli kanadyjskich. Niewiele osób zna takich zimowników jak śnieguły, rzepołuchy, czeczotki czy górniczki. Wśród naszych zimowych gości, i to dość częstych, znajdują się też wspomniane już myszołowy włochate. Nieco potężniejsze od krajowych, swoją nazwę zawdzięczają opierzonym skokom. Ten myszołowy lęgnie się w tundrze i lasotundrze. W swojej ojczyźnie żywi się głównie lemingami, u nas – mniejszymi gryzoniami. Wiedzie żywot podobny do naszego myszołowa, z tym że chętniej poluje z lotu patrolowego, no i gniazda zakłada zwykle na ziemi z powodu niewielkiej liczby (i wielkości) lub całkowitego braku drzew. Pojawia się w Polsce już w październiku, odlatuje w marcu i kwietniu. (...)

U jeszcze innych gatunków część osobników podejmuje wędrówkę, przeważnie niedaleką, a część zostaje na miejscu, by pilnować dogodnych łęgów. Zwykle takich ptaków widzimy więcej zimą niż późną wiosną, ponieważ do lokalsów dotarli przybysze z zimniejszych regionów. Do takich gatunków należą myszołowy, krogulce (te często lecą w ślad za wędrowną drobnicą), a od pewnego czasu również pustulki.

U wielu ptaków obserwujemy zmiany zachowań związanych z wędrówkami, czego najlepszym przykładem są żurawie, które coraz rzadziej zatrzymują się w południowej i zachodniej Europie w trakcie odlotów

Dla pewnych gatunków ciepłym krajem jest Polska.

Dwie szwedzkie samice tego gatunku zaopatrzone w nadajniki GPS na zimowiska udały się do Mozambiku. Jeśli nie robiły przystanków, by nieco odsapnąć w podróży, to przelatywały od 159 do 413 km dziennie i po nieco ponad 80 dniach były na miejscu. Ptaki udające się na ferie niedaleko domu mają wędrówki rozciągnięte w czasie. Właściwie można je obserwować przez całą jesień, choć

przelatują osobniki z paszportami norweskimi, szwedzkimi i fińskimi. Łączenie przez terytorium między Bugiem a Odrą i Nysą wiedzie szlak tranzytowy dla ok. 4 tys. ptaków z krajów nordyckich. Marcowe powroty przebiegają szybciej – przecież ptaki się śpieszą, by przystąpić do łęgów. (...)

Gdy wspominam o tym, że i my dla pewnych gatunków jesteśmy ciepłym krajem, również wywołuję

na afrykańskie zimowiska, a coraz częściej – w Polsce. (...) Podobne zjawisko obserwujemy u ptaków szponiastych.

Wspomniane (...) kanie rude nie odlatują z zachodniej Europy, lecz spędzają tam cały rok. Na zimę dołączają do nich te z Polski i innych krajów naszego regionu. Po prostu nie opłaca się odlatywać, skoro zima właściwie tam zaniknęła. Podobnie dzieje się u nas. Coraz częściej spotykam doniesienia, poparte dokumentacją fotograficzną, o kaniach rudych zimujących w Polsce. Dawniej nieliczne pustułki zostawały na zimę, i to tylko wówczas, gdy nie była zbyt śnieżna.

Obecnie coraz więcej tych małych sokołów cieszy nasze oczy zimową porą (...). Inne ptaki zostają w Polsce na zimę sporadycznie, to znaczy tylko nieliczne osobniki. Tak jest z błotniakami zbożowymi, które niestety w Polsce wyginęły, ale pojawiają się mniej lub bardziej licznie w czasie wędrówek, szczególnie jesiennych. Część osobników zostaje u nas na zimę, zwłaszcza samce. Moje pierwsze spotkanie z tym gatunkiem zdarzyło się właśnie zimą, na pograniczu województw łódzkiego i świętokrzyskiego. W pierwszej chwili byłem zdumiony, kiedy dość nisko nad śniegiem przeleciał niewielki, jasny drapieżnik. Działo się to w czasach, gdy w Polsce bywał jeszcze śnieg. (...)

Jeszcze inne ptaki w większości spędzają zimę na swoich terytoriach. Tak jest w przypadku orła przedniego czy sokoła wędrownego. To nie pomyłka, sokoły wędrowne,



Orliki czują strach przed nieskończoną potacją wody.

bezpiecznym miejscu. Około godziny dziesiątej przed południem zwykle przynosi sobie gołębia, którego najspokojniej oskubuje i rozdziera wobec gromadzącego się pospółstwa miejskiego, tak chciwego wszelkiego rodzaju widowiska [...] W ostatnich dniach marca albo w początku kwietnia opuszcza Warszawę i już

nie pokazuje się przez cały czas lęgowy i całe lato. Dopiero w połowie sierpnia na powrót się zjawia”.

Podobnie jest i dziś, choć pojawienia się sokoła w jakimś miejscu, nawet z ofiarą, nie zauważa „pospółstwo miejskie”, o ile nie zrobi się o tym głośno w mediach społecznościowych (a i to, jeśli algorytm okaże się łaskawy). Przykładowo do dwóch par

przynajmniej w naszej części świata, trzymają się swoich rewirów. (...)

W „O ptakach drapieżnych w Królestwie Polskim pod względem wpływu, jaki wywierają na gospodarstwo ogólne” z 1860 r. Władysław Taczanowski opisuje przypadek sokoła wędrownego: „W Warszawie od kilkunastu lat znana jest samica, która w jesieni regularnie przybywa

Ptaki niekoniecznie odlatują na południe. Równie często obierają kierunek południowo-zachodni lub zachodni.

do miasta i przesiaduje po całych dniach na gzymsach kościołów: Świętokrzyskiego i Karmelitów na Krakowskim Przedmieściu; nie zważając wcale na wrzawę i hałas miejski, i nieustanne sąsiedztwo z przechodzącymi ludźmi, w tym najwięcej ruchliwym punkcie miasta siedzi ona najspokojniej, drzynie, to znowu iska się, muska pióra i używa wszelkiej swobody w tem dla siebie

warszawskich sokołów wędrownych dołącza czwartą zimę z rzędu samica z podgatunku zamieszkującego daleką północ. Na mieszkanie obrała sobie praską katedrę, a jedynymi, którzy wykazują podniecenie tym faktem, są ornitolodzy (...).

Obecnie badacze uważają, że u większości gatunków trasa wędrówki została zapisana w DNA. Wpisują się w to ptaki szponiaste, bo przeważnie, także te młode, wędrują one samotnie. Oczywiście bywają widywane w dużych zagęszczeniach, ale dotyczy to miejsc dogodnych do przelotu, przede wszystkim Bosforu i Cieśniny Gibraltarskiej, ważnych dla ptaków szybujących z uwagi na niewielki fragment wody, nad którą muszą przelecieć.

O wadze wrodzonej znajomości trasy przelotu przekonali się boleśnie Niemcy, kiedy próbowali przywrócić u siebie orliki krzykliwe, wsiedlając młode osobniki pochodzące z Łotwy. Wypuszczono kilkadziesiąt młodych ptaków, z których 13 zaopatrzone w nadajniki GPS, dzięki czemu można było śledzić ich dalsze losy. Okazało się, że lot



Żurawie w trakcie odlotów coraz częściej zatrzymują się w Polsce.

► ku afrykańskim zimowiskom rozpoczęły dokładnie wtedy, gdy ptaki z Łotwy, czyli wcześniej niż polskie (wszak ze wschodnich wybrzeży Bałtyku prowadzi dłuższa droga). Co gorsza, skierowały się dokładnie na południe, tak jakby zmierzały z Łotwy nad Bosfor, aż stanęły przed Morzem Śródziemnym.

Trzeba czekać na ponowne, naturalne zasiedlenie terenu przez ptaki, to zaś potrwa bardzo długo.

Miejsca szczególnie intensywnych przelotów mogą dostarczać dochodów okolicznym mieszkańcom. Coraz popularniejsza turystyka przyrodnicza przyciąga rzesze miłośników ptaków, którzy w ciągu jednego dnia mają

można też skorzystać z oferty krajowych przewodników, którzy u nas oferują spotkania z ptakami wędrownymi w miejscach ich koncentracji, takich jak dolina Biebrzy, Półwysep Helski czy bagna Podlasia, choć tu raczej nie (tylko) o drapole chodzi.

Najbardziej znany obszar dużej koncentracji szponiastych na przelotach to Mierzeja Wiślana, gdzie co roku te ptaki (i inni skrzydlaci również) są liczone przez trzy jesienne miesiące w ramach akcji „Drapolicz”, obecnie koordynowanej przez stowarzyszenie o tej samej nazwie. Co roku samych szponiastych pojawia się kilkanaście tysięcy. Ostatnie badania z Karpat wskazują, że nie doceniano tam skali przelotów, bo i przez nasze góry lecą masy ptaków, w tym szponiastych.

Fragmenty książki
Konrada Malca *Mysliwce.
Życie ptaków drapieżnych*,
Czarne, Wołowiec 2020



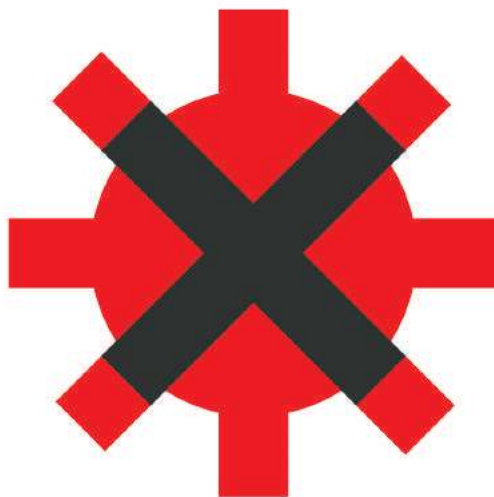
Zdarza się, że ptak zimuje np. na Krecie, bo z jakiegoś powodu źle poleciał i dalej bał się wędrować.

Orliki czują duży strach przed nieskończoną połacią wody – latają na prądach wstępujących, które nad zbiornikami nie występują. Zdarza się, że jakiś ptak zimuje np. na Krecie, ponieważ z jakiegoś powodu źle poleciał i dalej bał się wędrować, a kretańskie warunki pozwalały przeżyć zimę. Mimo strachu aż osiem orlików podjęło ryzyko, co skończyło się ich utonięciem. To była gorzka lekcja dla przyrodników i osób działających na rzecz ochrony przyrody, ale wyciągnięto z niej wnioski. (...)

szansę zaobserwować niezliczone ilości obiektów swojej fascynacji. Do najczęstszych celów takich wypraw należą Gibraltary i Izrael, ale kolejne kraje depczą im po piętach. Jeszcze inne zaczynają próbować swoich sił na tej drodze, np. Gruzja usiłuje wabić już nie tylko legendarnymi sanatoriami i winami, lecz także ptakami, głównie szponiastymi. Podczas corocznych przelotów samych szponiastych w najbardziej obleganych miejscach da się naliczyć grubo ponad milion osobników. (...) Coraz częściej



WWW.BADZBEZPIECZNY.PCK.PL



RAZEM W WALCE Z KORONAWIRUSEM!

POMÓŻ NAM POMAGAĆ. WPŁAĆ NA KONTO PCK **16 1160 2202 0000 0002 7718 3060**

Z DOPISKIEM KORONAWIRUS

Gerard, czyli karma, co nie wraca

Niektórzy mówią, że karma wraca. Że jak ktoś kogoś skrzywdzi, to sam zostanie później skrzywdzony. Albo odwrotnie – pomoże innym, to i jemu potem się powiedzie. Przykłady z życia MSZ dowodzą, że to tak nie działa.

Właśnie rozpisują się media o awanturach w ambasadzie RP w Islandii. Ambasador Gerard Pokruszyński oskarżany jest o homofobię, mobbing i bezpodstawne zwolnienie konsula Jakuba Pilcha.

Konsul wraz z żoną i dwójką małych dzieci dostał na opuszczenie Islandii zaledwie trzy dni, a dowiedział się o tym dobę przed planowanym urlopem. Gdy za konsulem ujęły się organizacje polonijne, ambasador uznał, że „ingerują w wewnętrzne sprawy MSZ”, i na ich przedstawicieli nakrzyczał. Wcześniej wszedł w konflikt z sekretarką ambasady. Otóż uczestniczyła ona w Paradzie Równości organizowanej w Reykjavíku, a zdjęcia z imprezy umieściła na prywatnym profilu na Instagramie. Te zdjęcia dotarły do ambasadora, więc ją wezwał na rozmowę do gabinetu. Tam powiedział, że zdjęcia zobaczył na kościelnej uroczystości i musiał za sekretarkę się wstydzić. Pouczył ją też, że nie powinna brać udziału w takich wydarzeniach, bo to szkodzi wizerunkowi placówki. Ten konflikt też wygrał silniejszy, sekretarka musiała z ambasady się zwolnić.

A teraz o karmie (której nie ma). Otóż Pokruszyński dziś ustawia tych słabszych z pozycji siły, a były czasy, że sam był w opałach i traktowano go z wyrozumiałością.

Do pracy w MSZ przyszedł w roku 1991. Dwa lata później wyjechał na placówkę do Mediolanu, na stanowisko konsula generalnego. Podobno lobbował za nim Henryk Goryszewski, wicepremier z partii Zjednoczenie

Chrześcijańsko-Narodowe. I tam zdarzyła mu się wpadka – na przyjęciu u konsula honorowego RP w Bolonii zmogła go ilość wypitych trunków i zanieczyścił oficjalne pomieszczenie. Byli świadkowie tego wydarzenia, więc później niektórzy domagali się dla niego kary. Ale mu odpuszczono, tłumacząc incydent młodym wiekiem i brakiem doświadczenia.

Gdy Pokruszyński zakończył konsulowanie w Mediolanie, wrócił do kraju i w MSZ mianowano go dyrektorem Departamentu Promocji. Ale ewidentnie celował wyżej, więc przeniósł się, na zasadzie urlopu bezpłatnego, do kancelarii premiera (wówczas Jerzego Buzka).

To był czas, kiedy stało się jasne, że AWS przegra wybory i odda władzę SLD, więc różni urzędnicy ewakuowali się na placówki, a poprzez kancelarię premiera było to łatwiejsze niż przez MSZ. Zabrał się wtedy, co warto przypomnieć, m.in. dyrektor Departamentu Zagranicznego Ryszard Schnepf na ambasadora do Kostaryki, a wicedyrektor CIR Andrzej Papierz na dyrektora Instytutu Polskiego w Sofii... Takie to są ludzkie losy.

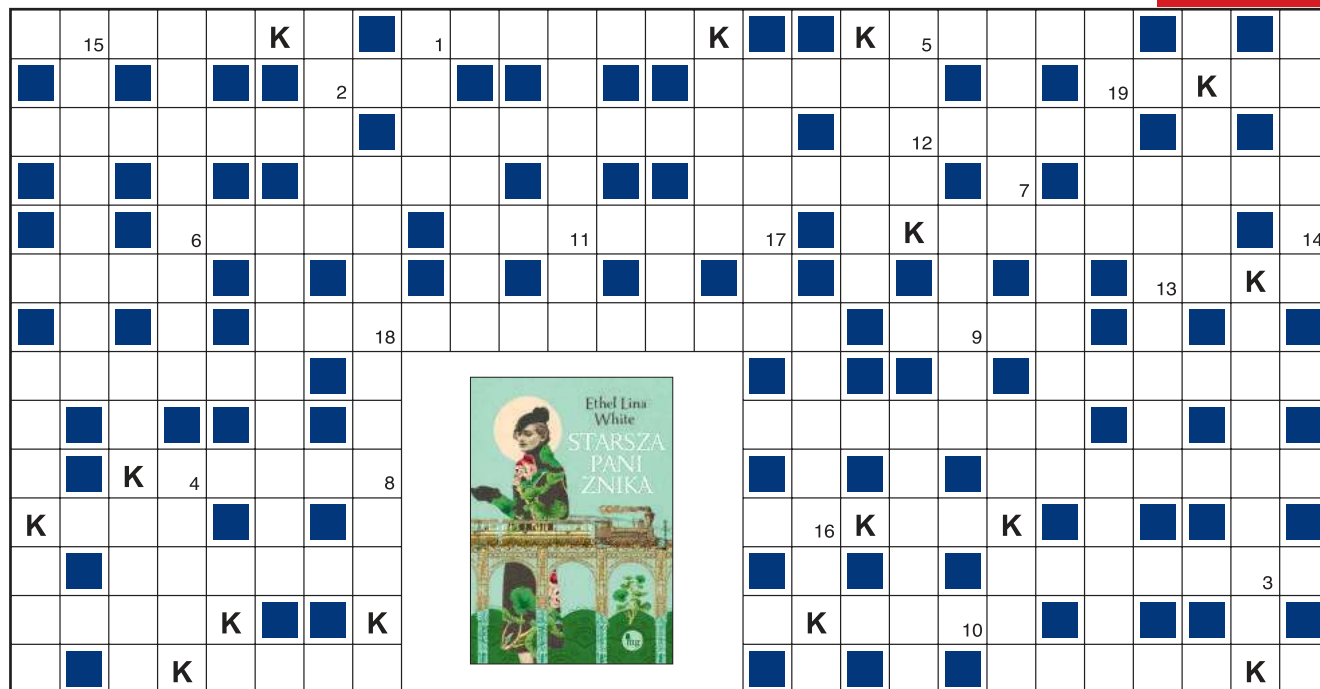
Ale Pokruszyński wyjechać nie zdążył, więc wrócił do MSZ. I co? No i przyszedł minister Cimoszewicz i wysłał go na placówkę do Malmö. Uzasadniając, że Pokruszyński ma doświadczenie konsularne (wiadomo – Mediolan), a Szwecję zna (studiował w Lund). Tak uratował mu karierę.

Z historii Pokruszyńskiego możemy więc się dowiedzieć paru spraw. Po pierwsze, że lewica jest łagodna, wyrozumiała i wybacza. Po drugie, że prawica jest zupełnie inna. No i że karma nie wraca.

Attaché

Z kolanem na gardle. Izraelski żołnierz bezpardonowo obezwładnia protestującego Palestyńczyka. Jabara, Zachodni Brzeg.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pół ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- z niej guma arabska
- ustęp tekstu od nowego wiersza
- salto mortale mu niestrasne
- stolica na wschód od Rowu Jordanu
- wszelkie naboże, pociski
- chusteczka wiązana na szyi
- przestarzałe o zachęcie, powódzie

- cyrenaik Teodor, zwalczał wiarę w bogów
- druczek w skrzynce na listy
- pies z serialu „Gliniarz i prokurator”
- i sknera, i krakowianin ironicznie
- prawda i... ginie od złota
- czwarta część arkusza drukarskiego
- możność dotarcia gdzieś, do czegoś

- cecha wypowiedzi z ukrytą aluzją
- produkt wulkanizacji kauczuku
- można go zaliczyć lub oblać
- imię autora powieści „Motory”
- dla filatelisty nalepka znak polecenia pocztowego
- chrust posypyany cukrem pudrem
- pregowane, brunatne – antylopa
- zbudowane przez Odapiego
- miasto nad Angarą, na trasie Kolei Transsyberyjskiej
- Kuba pije do niego, on do Michała
- uproszczona uзда bez wędzidla
- łączą jeza z różą
- drwinkarz, prześmiewca

- o prostej maszynie na korbkę
- nieznane szerzej okoliczności zdarzenia
- zgaduj-zgadula
- plan układu graficznego czasopisma
- przystąpiła do egzaminu kończącego naukę w liceum
- plaskorzeźba, malowidło w okrągłym obramieniu
- wieża meczetu
- spektakl lub film z partiami śpiewanymi i tanecznymi
- Mazowiecka albo Padańska
- „Czerwona...” z Fernandem
- ...Burz na Księżycu
- balsamiczny do dań kuchni włoskiej
- pętle sieci
- najbliższa oka część mikroskopu, teleskopu
- halucynacja, przywidzenie
- i nałogowe nadużywanie alkoholu, i libacja
- lekkie obuwie bez cholewek

- miał w twórczości okres błękitny i różowy
- niejeden na karczewisku
- przestarzały, bezwartościowy utwór literacki
- gdy nikt nie wygrał
- przepląta przez Kobleniec i Moguncję
- najwyższy stopień przyjemności, radości
- Wyspy Żeglarzy na Oceanie Spokojnym
- część modlitwy brewiarzowej odmawiana w południe
- chleb z przesianej mąki razowej
- trzy są symbolem antyfaszystowskim
- wypłynął tylko raz
- sąsiad Kazacha, Tadżyka, Turkmena
- zaleta, pozytywna cecha
- film z DiCaprio w roli Hugh Glassa
- był nim Benvenuto Cellini
- polarna w formie barwnych pasm
- minestrone w kuchni włoskiej

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-977”. Do rozlosowania książki „Starsza pani znika” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 13 września 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-974” z 23 sierpnia: Przyszłość i tak przyjdzie.
Nagrody otrzymują: Grażyna Kłoszewska z Olsztyna, Mieczysław Olejnik z Gniezna, Kazimierz Szulowski z Lesznowoli.

PENETRACJE

MONDE
diplomatique

**PRZEMYSŁAW
WIELGOSZ,**
REDAKTOR NACZELNY

Ciekawe, że ci sami eksperci, którzy podnoszą larum z powodu długu publicznego, nie kłopotzą się prezentami dla kapitału, choć to przecież one przyczyniają się do wzrostu zadłużenia państw. Skąd ta schizofrenia? Stąd, że przeszkadza im nie sam deficyt, ale to, co miałby sfinansować. Wsparcie dla korporacji farmaceutycznych jest OK, ale już nie dla publicznych szpitali. Prezenty dla rad nadzorczych zwalnających pracowników, by wypłacić sobie wyższe dywidendy, są dobre, ale broń Boże nie wolno podnosić płacy minimalnej itd.

POLSKA

JANUSZ ROLICKI,
PUBLICYSTA

Gierka powinno się potraktować serio i zrobić o nim przyzwoity film. Film o dylematach tamtych czasów. Gierek wykonał bardzo wiele ruchów, które sprawiały, że życie w tym kraju stawało się łatwiejsze. Dziś mało kto wie, że Uniwersytet Śląski powstał wskutek jego zabiegów i starań. A Zamek Królewski w Warszawie? Został odbudowany dzięki jego decyzji. Oficjalnie nigdy go do Zamku nie zaproszono. Uważam, że Gierka powinno się potraktować jako postać historyczną, znaczącą dla rozwoju

Polski. Tymczasem potraktuje się go jak Nikodema Dyzmę, a aktor odgrywający jego rolę będzie tylko robił miny.

URODA

JACEK CYGAN,
AUTOR TEKSTÓW
PIOSENEK

Ryszard Rynkowski powiedział kiedyś, że mógłbym być jego bratem. I jeśli tekściarz powinien mieć swojego wokalistę, dla mnie jest nim on. Skłamałbym, mówiąc, że nie śpiewa w pewnym stopniu o mnie. Wymyśliłem: „Czego może chcieć od życia taki gość jak ja”. Bo wydawało mi się, że on, po odejściu z grupy Vox, może być na scenie jednym ze zwyczajnych facetów, takim, z którym wielu może się identyfikować, bardzo wielu. Wyobrażałem go sobie jako mężczyznę z dwudniowym zarostem, przyjaznego, a przy tym z wypisanym na twarzy jakimś rodzajem zadumy nad własnym niespełnieniem, brakiem zgody na rzeczywistość, w jakiej żyje. Dlatego zaśpiewałem „Wypijmy za błędy, za błędy na górę”. Wygrał tą piosenką konkurs premier w Opolu.

TYGODNIK
ANGORA

**„ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE”,
WŁOCHY**

– Dlaczego światowa gospodarka jest na krawędzi przez koronawirusa?

– Bo ludzie zaczęli kupować tylko to, czego naprawdę potrzebują.

Aby język giętki...

STANISŁAW TYM
O POLITYCE RODZINNEJ PiS

Rodziny polityków tej partii zgłaszają się tłumnie do każdej pracy. Wszystkie ręce na pokład. Pokład to oczywiście spółki skarbu państwa.

MAREK NIEDŹWIECKI
O KUBIE STRYCHKOWSKIM

Zadzwońił raz, a potem to opisał w gazecie. Niefajnie wyszło.

PROF. MARCIN KRÓL
O BARBARZE NOWACKIEJ

To, co powiedziała [o podwyżkach], jest przegnębiącym absurdem, tego nie da się wytłumaczyć. Jej wypowiedź jest głupia i to jest delikatna ocena.

ANTONI SZPAK O WOLNOŚCI

Polska jest wolnym krajem, przyjaznym dla wszystkich ludzi. Przykładem lawendowa mafia, którą władza hojnie dofinansowuje, a nie pałuje.

JOANNA SZCZEPKOWSKA
O NIEZALEŻNOŚCI

Nie zrezygnowałam ze swojej niezależności w poglądach. Więc przyszedł moment, że przestano mnie zapraszać do dyskusji, do mediów.

JOLANTA FRASZYŃSKA O PRZYSZŁOŚCI

Zapuszczę długie, siwe warkocz, będę chodzić boso po łące w powłóczystych sukienkach i żyć w zgodzie z naturą.

MARIUSZ SZCZYGIEL O INTERECIE

Robi rzeczy straszne, ale bez niego byłibyśmy ślepi i głusi.

DOROTA MASŁOWSKA O SZCZUCI

Od początku było nacechowane pośpiechem i niedbałością. Szyłam bardzo sprawnie, ale niedbale.

ANDRZEJ GRABOWSKI
O POSTACI, KTÓRĄ CHCIAŁBY ZAGRAĆ

Wiem, że się kompletnie do tego nie nadaję, ale chętnie bym się wcielił w Dalajlamę... bo znam jego poglądy i wydaje mi się, że to dobry człowiek.

PAULINA KRUPIŃSKA-KARPIEL
O BYŁYM PARTNERZE

Miałam kiedyś takiego faceta, który z pozoru nie był trudny. I był wylewny. I kochał mnie. A potem się okazało, że nie tylko mnie.



Wywiad drive-thru. Alexander Kristoff przed drugim etapem Tour de France.

FOT. JEEP/VIDON/SIPA/SIPA/EAST NEWS

Hej, kto Słowak, na YouTube

Słowacka wicepremierka oraz ministra rozwoju i cyfryzacji Veronika Remišová poprosiła współobywateli, by oglądali rządowe spoty i w ten sposób uratowali kraj przed koniecznością zwrotu eurodotacji. Mowa o 10 filmikach poświęconych m.in. cyberbezpieczeństwu; zostały one zamówione przez poprzednika pani minister, a UE przekazała na ich przygotowanie 80 tys. euro. Remišová wystosowała apel, gdyż klipy miały po kilkaset wyświetleń, a jeśli do 2023 r. nie zobaczy ich 100 tys. osób, budżet państwa będzie musiał oddać dofinansowanie. Polityczka zapowiedziała jednocześnie, że tak bezsensowne projekty nie będą już realizowane.

Kryzys wielki a bąbelki

Ze względu na nieliczne powody do świętowania oraz ograniczenia w funkcjonowaniu restauracji rok 2020 przynosi ogromne straty producentom szampana. Luksusowego francuskiego wina musującego prawdopodobnie sprzeda się mniej niż 200 mln butelek, wobec 297 mln w zeszłym roku. W związku z tym Międzybranżowy Komitet ds. Wina z Szampanii zdecydował o ograniczeniu



zbiorów. Mimo urodzaju właściciele winnic będą mogli dostarczyć na rynek jedynie 8 ton winogron z hektara, a resztę będą musieli zutylizować. Trzymamy kciuki, aby w przyszłym roku ich nastroje były szampańskie!

A to byli przebierańcy

Policjanci patrolujący Juszczyn w województwie małopolskim musieli się uszczypnąć, gdy ich oczom ukazał się radiowóz z lat 90. Stary passat miał nie tylko odpowiednie malowanie i lampy błyskowe, ale nawet radiostację i miernik prędkości, a kierowca i pasażerka byli ubrani w mundury „z epoki”. W związku z podejrzeniem podawania się za funkcjonariuszy publicznych 40-latkowie zostali zatrzymani, a ich pojazd zabezpieczono. Samozwańcy radarowcy ostatecznie okazali się nie oszustami czyhającymi na naiwnych piratów drogowych, lecz rekonstruktorami, którzy zmierzali na złot starych samochodów; co więcej, zabytkowe auto zostało odkupione bezpośrednio od policji. Nie zmienia to faktu, że para złamała prawo, m.in. pozostawiając w wozie sygnalizację dźwiękową.

MEMY BEZ ŚCIEMY**Tak dalej być nie będzie!**

Melanie Wolfson, obywatelka Wielkiej Brytanii i Izraela, pozwała linie lotnicze easyJet za to, że wymuszono na niej zmianę miejsca w samolocie. Stało się to na żądanie ortodoksyjnego Żyda, który nie chciał siedzieć obok kobiety. 38-latką domaga się równowartości ok. 15 tys. funtów i zakazu tego rodzaju dyskryminacji. Podkreśla, że została upokorzona, w dodatku sytuacja taka przytrafiła się jej dwukrotnie. Za każdym razem składała skargę na zachowanie załogi i dopiero brak reakcji firmy skłonił ją do wejścia na drogę prawną.

Śpieszno ci? Nie tędy droga

Policja zatrzymała trzech mieszkańców Mysłowic, którzy ukradli... progi zwalniające. Młodzieńcy wyznali, że zdemonstrowali je z powodu frustracji, jaką przeży-



Małe jest piękne, zwłaszcza samodzielnie wykonane. Chłopiec z Palu w Indonezji oraz mężczyzna na targu w Karaczi w Pakistanie.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

www.tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– **sekretarz redakcji:** Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest,
Bronisław Tumiłowicz, Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczkowski,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoedytorzy: Magdalena Głuska,

Karina Krystosiak, Rafał Pysznar

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski,

Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzegląd.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Katarzyna Chilecka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

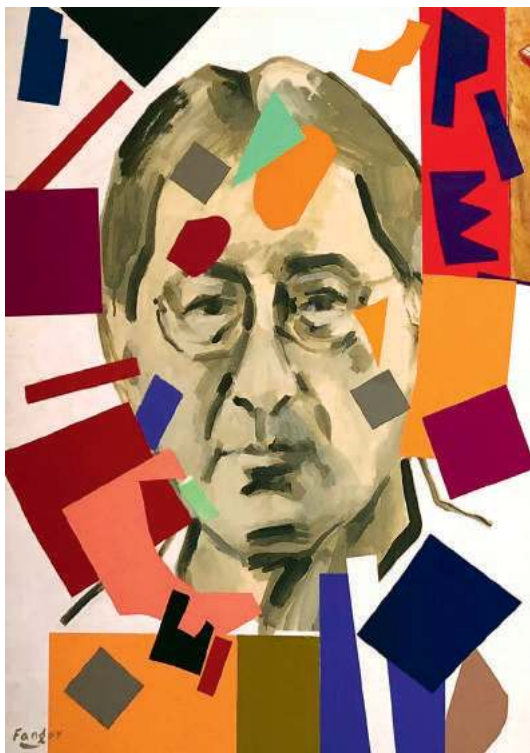
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPLP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Wojciech Fangor, Portret Krzysztofa Musiała



Tymon Niesiołowski, Akt

KOLORY PRZEMIAN

Kolekcja Krzysztofa Musiała jest jednym z najbardziej znaczących prywatnych zbiorów w Polsce. Elementem łączącym zgromadzone obiekty jest najwyższa jakość artystyczna, połączona z indywidualnym spojrzeniem twórców. Na wystawie zaprezentowano 170 dzieł powstałych na przestrzeni prawie 170 lat, od połowy XIX w. aż po czasy obecne. Lista nazwisk artystów robi wrażenie: Matejko, Gerson, Wyczółkowski, Fałat, Sławiński, Boznańska, Wyspiański, Weiss, Makowski,

Irena Teofila Jasińska-Dybowska, Odpoczywający tancerze

Malczewski, Strzebiński, Cybis, Fangor i wielu innych. Jak wspomina kolekcjoner, pierwszym nabytkiem była jedna z akwarel Nikifora. Te skromne początki miały zaskakującą kontynuację, a Krzysztof Musiał od wielu lat dzieli się swoimi zbiorami z miłośnikami polskiego malarstwa.

Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie
plac Zdrojowy 2
do 22 listopada

Jerzy Nowosielski, Gimnastyczka



NOWY FILM WĘGIERSKIEGO MISTRZA ABSURDU
GÁBORA REISZA
(„SENS ŻYCIA ORAZ JEGO BRAK”)



WĘGIERSKI TYDZIEŃ
FILMOWY
NAJLEPSZA AKTORKA
OBUDOPŁANOWA
NAJLEPSZY MONTAŻ



FESTIWAL FILMÓW
KOMEDIOWYCH
W MONTE CARLO
NAGRODA JURY
ZA NAJLEPSZY FILM



FORUM KINA
EUROPEJSKIEGO
CINEROJA
NAGRODA PUBLICZNOŚCI
(2. PRZEGŁĘD)



NAGRODY
WĘGIERSKICH
KRYTYKÓW FILMOWYCH
NAJLEPSZY FILM
NAJLEPSZA AKTORKA
I AKTOR OBUDOPŁANOWY



MFF W TURYNIE
NAGRODA SPECJALNA JURY
NAGRODA SCIOŁA HOLDEN
NAGRODA AVANTI



Najgorsze wiersze świata

W KINACH OD 4 WRZEŚNIA



Projekt współfinansowany w
całkowitym zakresie przez
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa
Narodowego



AURORA

MUZYCZNA
SYRENKA



happysad

25/09/2020 **stadion syrenka**



FUNDACJA
UNIVERSITATIS
VARSOVIENSIS



STODOLA

BILETY DOSTĘPNE NA:

WWW.TICKETCLUB.PL / WWW.STODOLA.PL / WWW.PALLADIUM.PL /

WWW.HYBRYDY.PL / WWW.KLUBPROXIMA.COM.PL